1) Orkan - Komornicy 2) Gréville - Voeu de Nadia 3) Serao - Nowe…
4) Bełkowski - Poważna panna 5) Czerwiński - Żywot ……
6) Danikowski - Zmierzonych dni 7) Zacharyasiewicz - Chleb

JAN ZACHARYASIEWICZ.

CHLEB.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

PETERSBURG.
KSIĘGARNIA K. GRENDYSZYŃSKIEGO.
Jekateryńska, № 2.
1895.

Типографія Тренке и Фюсно, Максимил. пер., № 13.

I.

— Jesteśmy u celu,—zawołał niski, pękaty mężczyzna w złotych okularach do siedzącej w dorożce towarzyszki.

Dorożka zatrzymała się przed gankiem dworu, który jak biały łabędź wychylał się z poza gałęzi drzew starych.

Dwór jak na siedzibę szlachecką miał może za wiele pretensji. Kilka kolumn wyskakiwało od muru, aby oprzeć się na kamiennych wschodach. Ściana była widocznie później udekorowana gzymsami, od których spadały w ostrołukach obramowania szerokich okien. Od tylnej ściany wznosiła się ponad dach mała wieżyczka z rzeźbioną galerją.

Jegomość w złotych okularach wysiadł z dorożki, nie oglądając się wcale na swoją towarzyszkę, która z niemałym trudem dostała się na poziom ganku.

Była to kobieta już niemłoda, ubrana w grubą

żałobę. Twarz miała bladą, czarną woalką przyćmioną.

Na ganku ukazał się lokaj.

— Czy zastałem młodego pana? — zapytał jegomość w okularach.

— Jaśnie pan prosi zaczekać.

— Prowadźże nas przyjacielu.

Służący poszedł naprzód, a jegomość z towarzyszką pośpieszyli za nim. Weszli do pokoju, gdzie im służący czekać polecił.

Jegomość w okularach rzucił się na fotel aksamitny a towarzyszce wskazał drugi.

— Pańskie mieszkanie, — rzekł do niej,— parkiety w kunsztowne arabeski, meble stary mahoń, tapety gustowne.

— Piękne mieszkanie — odrzekła towarzyszka, wzdychając,—w takich pokojach nie czuje się tak boleśnie zwykłych udręczeń życia.

— Co pani mówi! tutaj o udręczeniach nikt nie myśli. Bawić się to hasło życia. Przynajmniej tak było dawniej. Pamiętam, nieboszczyk hulał sobie jak mały królik. Festyny, polowania, no—i zabawa w karty należały do codziennego programu. Trzeba było wyrównać sąsiadowi, który miał majątek pięć razy większy. Toteż konie, kareta, służba nie różniły się w niczem. No, a koniec tego wszystkiego niebardzo pocieszny.

— Bardzo smutny,—westchnęła towarzyszka.

— Gdyby choć dzisiaj jeszcze mieli rozum!

— I wzgląd na mnie, na biedną z trojgiem dzieci kobietę.

— Bądź pani pewną, że jakoś to będzie.

Wstał i przystąpił do okna. Przez okno widać było szeroką płaszczyznę, zlewającą się w szarej oddali z brzegiem nieba. Na pierwszym planie były krzewy, kunsztownie pielęgnowane, grupy niskich drzewek, gęsty trawnik ścieżkami poprzerzynany—dalej żywopłot, wzmocniony ostrokołem. Poza tem wszystkiem zaczynała się szeroka równina, ubarwiona świeżą ściernią, po której rozsiadły się oazy zieleni. Sierpniowe słońce schylało się właśnie nad krańcem tej równiny, ozłacając szorstkie ściernisko i zielone kępy.

Jegomość w okularach patrzał na ten obraz wspaniały, ale zdaje się że go nie widział. bębnił palcami po szybie, naśladując marsz pruskich grenadjerów.

Nagle przysunął okulary do okna. Tam, daleko na samym krańcu nieba wysunął się nagle z ziemi biały słup, który zrazu prosto a potem w coraz gęściejszych kręgach podnosił się ku niebu.

— Co to jest,—zawołał,—czy się tam pali?

Kobieta w żałobie zbliżyła się do okna.

— To wstaje wieczorna mgła z Noteci, — odpowiedziała,—jak to zwykle bywa wieczorem po skwarnym dniu.

— Czy Noteć tam płynie?

— Noteć.

Jegomość przeszedł się kilka razy po parkietach z arabeskami. Z lubością deptał artystyczne utwory, a nawet splunął na nie kilka razy, chociaż elegancka spluwaczka stała tuż koło pieca. Wyrzucił głowę do góry.

— Czy pani umiesz tak... prędko płakać?

Kobieta w żałobie spojrzała zdziwiona.

— Moje oczy z łez prawie nie wysychają,— odpowiedziała.

— Ale tak... gdy potrzeba... zjawią się w oczach?

— One gdzieś tam są zawsze.

— To dobrze. Sprawa może nam się udać. Będzie wilk syty i owca cała. Byle tylko niedługo czekać.

W tej chwili otworzyły się drzwi. Młody mężczyzna wpadł do pokoju i drzwi za sobą zatrzasnął.

— Przepraszam panie Greifer, — rzekł do jegomościa w złotych okularach,—żeś tak długo czekał. Witam panią. Proszę siadać.

Młody mężczyzna miał maniery pańskie i ową swobodę w ruchach, jaką nabywa się zwykle w sferach wyższych. Był słusznego wzrostu, twarzy podłużnej lekko żółtym włosem ocienionej i oczy niebieskie, rozumnie patrzące. Krótki tużurek z ciemnej, kraciastej tkaniny uwydatniał wdzięcznie jego postać wysmukłą.

— Sprawa, w której pan przyjechałeś, jest mi wiadoma,—rzekł do jegomości w okularach— ale chciałbym wiedzieć, czem pani mogę służyć,—dodał zwrócony do kobiety w żałobie.— Zdaje mi się, że o pani zawsze pamiętałem.

— Nieskończenie za to wdzięczną jestem,— odrzekła kobieta w żałobie,—ale pan Greifer...

— To jedna i ta sama sprawa,— przerwał tenże.

— Nie rozumiem.

— W toku rozmowy to się wyjaśni.

Młody mężczyzna podał gościowi cygaro.

— Zaczynam od tego,—rzekł po chwili jegomość, zapaliwszy cygaro,—co ostatnim razem panu powiedziałem. Kolonizacja nasza chce nabyć majątek pana, a wiadomo, że dobrze płaci. Przedewszystkiem chodzi komisji kolonizacyjnej o to, aby Polacy nie skarżyli się przed światem, że się ich przemocą z dawnych siedzib wyrzuca. Przeciwnie, my chcemy, abyście dobrowolnie, i — jak to niegdyś książęta wasi w kontraktach sprzedaży z Zakonem Krzyżackim pisali: „dobrowolnie, przy zdrowych zmysłach

i z uśmiechem na twarzy" wasze majątki nam sprzedawali!

— Nie mów pan z uśmiechem, — zawołał młody mężczyzna,—gdzie zębami zgrzytać potrzeba!

— Przepraszam, nikogo nie przymuszamy— ale jeżeli panowie pod przymusem, niezależnym od komisji, sprzedawać musicie, to nasza komisja jest prawdziwą Opatrznością boską, jeżeli ten przymus hojnie ozłoci!

Młody mężczyzna zerwał się z krzesła i potarł ręką po czole. Po chwili rzekł półgłosem niby do myśli swoich:—Są sytuacje...

— A właśnie w takiej sytuacji właściciele Wierzbowa, — uzupełnił jegomość w złotych okularach.

— Nie przeczę—ale widzisz pan.

— Nic nie widzę — prócz tego ścierniska, zachodzącem słońcem wyróżowanego... i prócz tych tumanów mgły, podnoszących się tam daleko z wód Noteci... Z tego ścierniska już plony sprzedane, a na te tumany mgły któżby zważał.

— Co pan przez to chcesz powiedzieć?

— Rzecz jasna. Wierzbowo wystawione na subhastę. Za kilka tygodni, za miesiąc, będzie sprzedane. Mniejsza o to czy się ostateczna sprzedaż różnemi sztuczkami odwlecze, koniec

będzie zawsze ten sam. Na subhaście może Wierzbowo pójść za cenę o dwadzieścia procent niższą od tej, jaką my dajemy. A w takim razie stracisz pan dobrowolnie sumkę, która nie jest do odrzucenia.

Młody mężczyzna przeszedł się kilka razy po pokoju. Zagryzł usta jakby doznał bardzo przykrego uczucia.

Zatrzymał się nagle.

— Mówiłem już panu,—rzekł z kurczowem drganiem na ustach,—że argumenty te uznaję, że przymusowe położenie nasze nie każe nam odrzucać oferty komisji, ale...

— Jakie ale? Czy te krzyki krótkowidzącej opinji, czy te nawoływania gazeciarzy, którym dobrze jest pisać przy zielonym biurku, a którzy nie myślą o tem, co się z dawnymi dziedzicami, sprzedanych na subhaście majątków, stać może?

— Jesteś pan nielitościwy, znasz rany, które nas pieką, a jednak dotykasz się ich szorstką ręką. Przyznaję, że masz pan słuszność, ale słuszność ta jest zimnem wyrachowaniem rozumu, jakiem nam w tej sprawie kierować się trudno.

Jegomość w złotych okularach założył nogę na nogę.

— Sentymentalna polityka,—rzekł z uśmie-

chem,—zgubiła potężną niegdyś waszą ojczyznę. Wasze wojska kroczyły na ratunek Wiednia i jakże się wam za to odwdzięczono? A gdy się cały wschód przed wami otworzył, słabe skrupuły wywinęły wam z rąk gotowe zwycięztwo!

— Za to wpisano do księgi dziejów, żeśmy godni nazywać się przedmurzem cywilizacji.

— Które to przedmurze romantyczne rozpada się teraz, aby na niem osiedlić się mogli pracowici koloniści.

— Historja nie skończyła jeszcze rachunku...

— My jej powiemy, bądź pan tego pewny. Opatrznościowa wasza wiara przewleka tylko niepotrzebnie to, co się stać musi!

— Przecież i robakowi wolno bronić się, chociaż wie, że będzie zgnieciony!

— Smutny zaszczyt takiej obrony, która tylko koniec przyśpiesza!

Młody mężczyzna wstał szybko i zbliżył się do okna. Zachodzące słońce ozłociło szczyty drzew—i coraz wyżej wzbijały się tumany z wód Noteci.

— Pan utrudniasz sprawę interesu,—zawołał z przykrym uśmiechem,—a przecież przodkowie wasi—Krzyżacy—lubili spisywać kontrakty z książętami naszego szczepu, że ci sprzedają ziemie i księstwa przy zdrowych zmysłach „z uśmiechem na twarzy“...

— I ja bym radził panu taki kontrakt sporządzić. W każdym razie będzie to lepiej dla pana—inaczej—rydwan czasu i dziejów nie zatrzyma się ani na łzach ani na protestach!..

Młody człowiek zrobił ręką ruch spazmatyczny.

— Dajmy temu pokój,—rzekł z goryczą,—mówmy o interesie.

— Dwadzieścia pięć procent wyżej nad oszacowanie da komisja kolonizacji — a na subhaście można stracić pięćdziesiąt.

Kobieta w żałobie zalała się łzami. Młody mężczyzna zrozumiał te łzy. Spuścił oczy na ziemię.

— To pan masz pierwszy objaw subhasty!—zawołał jegomość w okularach.—Ta pani przyszła właśnie z takiemi samemi łzami do mnie i prosiła mnie, abym ją wziął z sobą. Cały jej fundusik, jaki ojciec pana od jej męża pożyczył, jest na ostatniej pozycji w hipotece Wierzbowa. Na subhaście spadnie ta pozycja...

— A ja z trojgiem dzieci zostanę na łasce losu, — zawołała kobieta w żałobie i zaczęła głośno płakać.

Młody mężczyzna zagryzł usta i poruszył się na krześle. Nastąpiła dłuższa pauza. Jegomość zdjął złote okulary i przetarł je starannie, aby lepiej przez nie widzieć. Z nieopisanym

uśmiechem utkwił badawcze spojrzenie w twarzy gospodarza.

Twarz gospodarza była dla niego w tej chwili zagadką. Zaciśnięte usta otwarły się z pewnem zadowoleniem, czoło rozjaśniło się.

Zwrócił się do kobiety w żałobie i gorączkowo wziął ją za rękę. Trzymał tę rękę chwilę, jakby się namyślał.

— Bądź pani przekonaną,—rzekł do niej,— że wszystko zrobię, co tylko zrobić będzie można, aby wierzyciele mego ojca nie przeklinali jego pamięci.

A zwracając się do jegomościa w złotych okularach, dodał z ponurem wejrzeniem:

— Pan wiesz o kogo w tej sprawie chodzi. Może da się co zrobić jutro albo pojutrze, ale dzisiaj nie mogę panu nic jeszcze odpowiedzieć.

— A więc za kilka dni znowu się zgłoszę,— odpowiedział z ukłonem jegomość w złotych okularach.

Przy pożegnaniu miał jegomość uśmiech na twarzy, jakby w połowie interes się udał. Wsiadając zaś do dorożki rzekł półgłosem do towarzyszki:

— Spodziewam się, że mi pani te trudy moje wynagrodzisz.

Po ich odjeździe młody gospodarz przystąpił do okna i długi czas patrzył na pola, chociaż rozpościerał się już zmierzch wieczora, a szare jego barwy zamieniały powoli całą równinę na jakiś obraz fantastyczny. Tylko tam na krawędzi nieba, z wód Noteci wznosiły się białe mgły ku niebu, jakby dym z palącej się ofiary.

Po niejakim czasie otworzył drzwi boczne i znikł w amfiladzie ciemnych pokoi.

II.

Kroki jego usłyszało ucho kobiece. Otworzyły się drzwi w głębi salonu, z których uderzyło naprzód jasne światło, a na tle tego światła zarysowała się wysmukła postać młodej kobiety.

Położyła palec na ustach na znak milczenia, a ruchem drugiej ręki kazała mu zatrzymać się w obszernej sali. Cofnęła się na chwilę do oświeconego pokoju i stamtąd wyszła z lampką z różową obsłonką.

Zamknąwszy za sobą drzwi starannie postawiła lampkę na bocznym stoliku.

— Cóż Witoldzie, ozwała się cicho, mów, jestem bardzo niespokojna. Dziadunio pytał się kilka razy o ciebie, pytał się kto przyjechał,

a ty wiesz dobrze jak mi trudno kłamać.... Przecież nie skończyłeś?

— Nie skończyłem, odparł tenże całując w rękę siostrę.

— Spodziewałam się tego, że Witold Leliwita wie dobrze co winien przodkom swoim, odpowiedziała, rzucając się na szyję ukochanego brata.

— Mówisz jak Marya — chociaż nazywasz się Marta!

— Czyż każda Marta tylko o rzeczy doczesne troszczyć się powinna?

Witold Leliwita nie słyszał tych słów. Chodził szerokim krokiem po sali, na której ścianach wisiały w ramach złotych olbrzymie portrety przodków jego. A było ich sporo. Jeden z nich walczył pod Grunwaldem, drugi wsławił się w zapasach z Szwedami, trzeci z Batorym szedł na północ, a czwarty na kresach walczył z dziczą tatarską.

Wobec takich postaci trudno było mówić o rzeczach powszednich. Dosyć czasu upłynęło zanim ostatni potomek przywykł do atmosfery, w której się teraz znajdował.

Podczas tej pauzy młodsza siostra jego, szatynka, jakby wycięta z obrazu Watteau, ubrana w różową bluzkę obszytą koronkami, wodziła szklącemi oczyma za bratem, czekając niecierpliwie, co jej dalej powie. Na jej bladej twarzy majaczył uśmiech, złączony z pewną energią, która w jej oczach jaśniała.

Nagle zatrzymał się przed nią Witold.

— Czy dziadunio mówił co o interesach?

— Wiesz dobrze, że tego unikam. Obecnie kładzie passjansa i jest z niego bardzo zadowolony.

— A jednak nam pali się nad głową — trzeba koniecznie coś zrobić, czasu niema do stracenia.

— Czy pan Greifer proponował znowu sprzedaż dla kolonizacji? Czemu on taki natrętny z tą propozycją?

— Przecież to jego służba urzędowa.

Nastąpiła dłuższa pauza. Witold przeszedł się kilka razy po sali. Zdawało się Marcie, że oczy starych Leliwitów patrzą za nim, że ich sarmackie twarze uśmiechają się.

— Dziadunio nie da sobie nawet wspomnieć o sprzedaży, odezwała się z cicha Marta.

— A ty? zapytał Witold, zatrzymawszy się nagle.

— Ja — odpowiedziała z cicha Marta, tak samo myślę jak dziadunio.

Witold potarł ręką po głowie i rzucił się na fotel.

— To prawdziwe nieszczęście nasze, zawołał w podrażnieniu, że ten sentymentalizm naro-

dowy mieszamy do interesów rachunkowych. Niemcy rzucili sto milionów na zakupno ziemi naszej, i, prędzej czy później, dokażą tego że ziemię wykupią. Te sto milionów to wielkie nieszczęście dla nas, ale jeżeli to nieszczęście jest nieodparte, to naszym obowiązkiem jest wyzyskać je na naszą możliwą korzyść. Majątki mamy zadłużone, sprzedają je wierzyciele na subhastach, a nas wyrzucają z kijem i torbą. Komisja kolonizacyi korzysta z tego, i, chcąc wobec świata okazać się w lepszem świetle, proponuje nam przed subhastą cenę znacznie wyższą, za jakąby na subhaście majątek sprzedano. A ta zwyżka jest często jedynem naszem mieniem pozostałem. Bez niej jesteśmy żebrakami.

Marta zasłoniła oczy białą, przezroczystą prawie ręką i westchnęła głęboko.

— Nie mów dalej, bo mnie zabijesz!

— Potrzeba mówić — potrzeba raz w oczy spojrzyć nieubłaganej rzeczywistości!

— Ach ta nieubłagana rzeczywistość!

— Trzeba dziadunia raz przygotować na sprzedaż dobrowolną Wierzbowa. Trzeba aby się z tem oswoił, i raz porzucił swoje mrzonki o walce na kresach „usque ad finem“. Zwyciężyć nie możemy, trzeba ratować co się da. Takie zawsze było moje zdanie.

— Ależ opinja i sumienie własne!

— Opinja jest często krótkowidząca, a zamiast romantyzmu w sprawach publicznych potrzeba nam rozsądku i rachunku.

— Jakiż ten rachunek?

— Jeżeli Wierzbowo na subhaście sprzedadzą, to nam nic nie zostanie. Ja pójdę szukać służby, a ty, która umiesz trzy języki, śpiewać, grać i malować pójdziesz do jakiego dorobkiewicza za nauczycielkę lub bonę do dzieci. Czyż nie piękna perspektywa?

Marta zasłoniła oczy ręką, z pod której zaczęły płynąć łzy obfite.

— Jeszcze inne nieszczęście przyłącza się do tego. Gdy Wierzbowo na subhaście sprzedane będzie, spadnie kilku wierzycieli z ostatnich pozycji a między nimi pani Żurska, wdowa z trojgiem dzieci, która św. p. naszemu ojcu całe swoje mienie powierzyła.

— Pani Żurska! ach to okropnie!

— Zostawszy bez jutra, będzie przeklinała pamięć naszego ojca, a łzy cudzej krzywdy nie będą błogosławieństwem dla jego dzieci.

— Przestań, zawołała Marta, podnosząc się nagle z fotelu, nie mów więcej o łzach pokrzywdzonych i świętej pamięci naszego ojca... Sprzedać Wierzbowo, aby nikt ojcu nie złorzeczył, a na nas nie płakał!

Witold uściskał siostrę.

— Teraz poznaję córkę Leliwitów... ale trzeba dziadunia na to przygotować.

— Sądzę, gdy usłyszy to, coś mi powiedział, to się zgodzi z nami.

— Tylko ostrożnie i zwolna.

I uścisnęli się brat i siostra i długo w tym uścisku pozostali. Z ram obrazów patrzali na nich Leliwici i potrząsali sarmackimi wąsami. Tylko Marcin Leliwita, który był pod Grunwaldem, zmarszczył czoło, i zdawał się wydymać swoje rumiane policzki.

— Teraz chodźmy do dziadunia, rzekł po chwili Witold, pociągając za sobą siostrę Martę ku drzwiom, z których do sali była weszła.

III.

Pokój dziadunia był więcej podobny do zbrojowni lub schroniska myśliwych, niżeli do sypialni starego człowieka. Sprzęty były proste, obliczone na trwałość. Dębowe krzesła obite były skórą, sofa pokryta tkaniną z włosienia. Nad skromnem łóżkiem wisiały okazy rozmaitej broni, zacząwszy od tureckich szabli i staroświeckich jataganów — od starych pistoletów

z kurkiem na górze — aż do misternej szabli tego wieku, srebrem nabijanych pistoletów i cennych strzelb myśliwskich.

Jelenie rogi wyglądały ze ścian, jak grzyby w próchniejącym budynku, a na nich wisiały przybory myśliwskie, lub opierały się tureckie cybuchy z czerwono haftowanymi woreczkami i olbrzymimi bursztynami przy wylocie. Na ścianach wisiały zadymione obrazy, przedstawiające bitwy na lądzie i na morzu, zegar starożytny z kukułką, a przy rogu srebrne naczynie z wodą święconą. Przed starym kantorkiem, ubranym w bronzy i heban leżała na posadzce skóra niedźwiedzia i stało duże poręczowe krzesło, wybite safjanem czerwonym. Na środku stał stół marmurowy i drugie, takie same krzesło, na którem najmilej przesiadywał teraz białowłosy staruszek. Stosy kart różnego kroju leżały na tym stole, za nimi połyskiwało kilka par okularów, a na przeciwnej stronie leżały w nieładzie gazety, przygniecione kalendarzem.

Przy tym stole zwykł siadywać staruszek, czytywać gazety, a w braku innego zajęcia bawić się w układanie kart w pewnym systemie i czytanie w nich różnych wyroczni.

Gdy Marta i Witold do pokoju weszli, siedział staruszek w swoim fotelu, a bezładnie

rzucone karty okazywały, że w ulubionej jego zabawie ktoś mu przeszkodził.

Przeszkodą tą był gość, który siedział tuż koło stołu, a którego Witold i Marta nie znali.

Ten gość nieznany wywołał na ich twarzach pewne zdziwienie, a może i niechęć, że przyszedł nie w porę.

Brat i siostra przygotowali się właśnie do ważnej z dziaduniem rozmowy, chcieli ostrożnie i delikatnie wytłómaczyć mu konieczność sprzedania rodzinnego majątku przed grożącą subhastą. Mieli już wszystko w głowie ułożone, a nawet kobieta w żałobie ze swemi łzami i grożącem przekleństwem miała im dopomódz do tego ważnego dzieła.

Dziadunio o sprzedaży dobrowolnej majątku nie chciał ani słyszeć. Komisja kolonizacyjna była u niego antychrystem, od którego święconą wodą się żegnał.

Właśnie chciał Witold tę sprawę domową choć o jeden krok naprzód popchnąć—ale gość nieznany pomieszał mu szyki.

Był to młody mężczyzna, twarzy zdrowej i rumianej, kruczych, nieco kręconych włosów i brwi prawie razem zrośniętych, z pod których patrzyły szafirowe, rozmarzone oczy. Czarny zarost zaledwie ocieniał mu brodę i wierzchnią wargę naprzód wystającą. Wydatne usta były

w końcach zaciśnięte, jak to u ludzi energicznych i stanowczych bywa. Ręce, które na stole swobodnie oparł, były czerwone i szorstkie, jakby od ręcznej pracy. Czarny surdut, niedbale zapięty uwydatniał szeroką pierś i silne ramiona.

Siedzący po drugiej stronie stary Leliwita, miał twarz jak zwykle bladą i rysy mocno zmęczone, ale oczy połyskiwały jakiemś światłem niezwykłem. Szarawe brwi podnosiły się i ściągały jakby przy jakimś bólu wewnętrznym, ale zbielałe jak zawsze usta oznaczały słodycz i łagodność prawie gołębią. Trzymał w ręku asa treflowego, a rozmawiając z gościem, od czasu do czasu patrzał na kartę złowrogą.

Gdy dzieci ujrzał na progu, rozjaśnił czoło.

— Zgadnijcie co to za gość zawitał dzisiaj do naszego domu, — zawołał z uśmiechem. — Marto, czy go poznajesz?

Młodzieniec wstał i ukłonił się, Marta oddała ukłon i czuła, że rumieniec przebiegł po jej twarzy. Zdaje się że widok młodzieńca sprawił to wrażenie, a do rumieńca żadne wspomnienie się nie przyczyniło. Nie znała go wcale.

— A ty Witoldzie—mówił dalej stary Leliwita — nie, ty byłeś wtedy z matką u wód, gdy mały Karolek był u nas z ojcem.

— A... pan Szolc,— zawołała Marta,—przy-

pominam sobie, chociaż wtedy miałam zaledwie lat kilka. Jeżeli się nie mylę, nazywałeś mnie pan kuzynką.

Młody człowiek zarumienił się aż po kołnierz surduta i znowu ukłonił się także zarumienionej Marcie. Witold patrzał na tę scenę badawczym wzrokiem, a twarz jego była spokojna, zimna.

— Ależ jest pokrewieństwo po waszej matce, matka Karola, Grubska z domu, jest jej cioteczną siostrą. Dziad Karola był zaś stryjecnym bratem naszego ubóstwianego Szolca. Był żołnierzem jakich mało, a my młodzi patrzeliśmy w niego jak w obraz święty!.. Hej mocny Boże, jakie to były czasy! I wszystko przeminęło jak sen, jak mara, a gdy dzisiaj koło siebie patrzę, to zdaje mi się, że sam o tem wszystkiem tylko śniłem!.. Słyszałem potem, że Szolc był w Turcji i że tam, albo w Egipcie umarł!.. Sit ei terra levis, a światłość wiekuista niech mu przyświeca na wieki!..

Coś jak łzy zamigotały w oczach młodzieńca, Marta nakryła swoje oczy długą rzęsą, a Witold stał i patrzał jak dawniej.

— Jeżeli tak,—ozwała się Marta,—to witam pana jako kuzyna i miło mi będzie taką samą nazwę usłyszeć z ust pana, jak za dni szczęśliwych, dziecięcych.

Przykryła znowu oczy rzęsą, jakby tam coś ukryć chciała, i podała odszukanemu kuzynowi białą, drobną rączkę.

Młodzieniec ujął tę rękę jak w kleszcze i byłby ją może rozgniótł z wielkiego afektu, gdyby nie Witold, który w tej chwili wyciągnął do niego swoją niemniej arystokratyczną rękę, starannie pielęgnowaną. Nic jednak do nowego krewniaka nie powiedział.

Stary Leliwita wpatrywał się tymczasem w fatalną kartę, którą trzymał w ręku. Oczy jednak jego nie dochodziły do fatalnej żołędzi, bo zawieszały się gdzieś w powietrzu na jakichś dawnych wspomnieniach. Stosownie do obrazu, jaki przed duszą mu stawał, uśmiechały się jego usta, lub ściągały brwi szare.

— Hej mocny Boże,—mówił jakby do myśli swoich,—gdzież się podzieli ci ludzie, na których patrzałem... w jaką bezdeń zapadły te czasy, w których tak roskosznie się żyło?.. Wszystko przeminęło, a ja pozostałem sam, jak wielbłąd sam jeden, z towarzyszy, których już piasek pustyni przysypał!.. Trudno dźwigać jednemu za wszystkich, to też i on ugina się pod ciężarem, na niego włożonym i czuje po skrzypiących nogach swoich, że i jemu przyjdzie wkrótce legnąć wśród piasków pustyni!

A zwróciwszy się do młodzieńca, rzekł, jakby przebudzony ze snu głębokiego:

— Wszakże ojciec twój był profesorem w Poznaniu.

— Tak jest, — odpowiedział tenże, a usta jego zadrgały, — ale teraz jest daleko na zachodzie. Rząd przeniósł go tam do krainy niemieckiej.

— Wiem, wiem, wszystkich wydalili i tam osiedlili ich,— dorzucił stary Leliwita i machnął kilka razy po powietrzu asem treflowym.

— Ach, tak daleko od swoich! — szepnęła Marta.

— Daleko od swoich i tylko wśród tych, których kochać nie można,— uzupełnił młody Szolc i poczerwieniał cały na twarzy.

— Czy wam tam było bardzo tęskno? — zapytała Marta.

— Odpowiem na to krótko faktami. Matka moja zaraz w pierwszych latach zaczęła chorować, schnąć i wiednąć. Lekarze nazwali tę chorobę nostalgją. Za trzy lata umarła biedna. Grób jej jest w ziemi niemieckiej.

Marta wyciągła ręce do góry i splotła je jakby do modlitwy.

— Okropnie! Boże, Ty na to patrzysz!

— Ojciec,—mówił dalej młodzieniec,—chodził przez kilka lat jak automat, jak automat

pełnił swoje obowiązki—w końcu przestał do nas mówić. Miesiącami nie słyszeliśmy jego głosu... Wreszcie oskarżono go za jakieś bluźnierstwa przeciw kanclerzowi państwa, wsadzono do więzienia, ale wkrótce przekonano się, że to był warjat! Dziś zamieszkuje dom obłąkanych!

Z oczu Marty puściły się łzy. Zaczęła szlochać płaczem spazmatycznym.

— Uspokój się Marto, — zawołał starzec głosem ledwo dosłyszalnym. „Nie płaczcie nademną, ale nad dziećmi waszemi płaczcie“, powiedział Zbawiciel... a ja wam to samo powiadam, bo przyjdą czasy jeszcze gorsze! Przeczuwam je, choć ich nie dożyję!

Nastało głębokie milczenie. Światło migocącej lampy, zawieszonej nad stołem rzucało fantastyczne cienie po ścianach i posadzce, a tym, co na te cienie teraz w milczeniu patrzyli, zdawało się, że widzą straszne potwory, które wyłażą ze szpar posadzki, drzwi i okien i w zbitych kłębach posuwają się coraz dalej do mieszkańców tego dworu.

Stary Leliwita podparł ręką czoło i patrzał w karty porozrzucane na stole, a oddychał ciężko.

Podniósł głowę i zapytał:

— Wszak miałeś starszego brata?

— Jest aplikantem w przybocznem biurze

kanclerza państwa, — odpowiedział zapytany i spuścił oczy w ziemię. Witold na te słowa ciekawie podniósł głowę.

— A ty kochanie,—pytał dalej staruszek,— jaki wybrałeś sobie zawód? Wszak byłeś w szkołach.

— Byłem na uniwersytecie, ale ojciec po śmierci matki rzekł mi, abym chleba w naukach nie szukał, ale był człowiekiem niezależnym.

— I cóż zrobiłeś?

— Opuściłem szkołę i poszedłem do warsztatu.

— Warsztatu?—zapytał ciekawie stary Leliwita.

— Jestem ślusarzem... to jest ślusarzem-mechanikiem,—uzupełnił młody Szolc, widząc, że jedno słowo nie sprawiło jakoś dobrego wrażenia.

Nastało dłuższe milczenie. Stary Leliwita patrzał na karty, Witold oglądał białą swoją rękę, starannie pielęgnowaną, a Marta zawiesiła swe oczy w powietrzu, jakby tam coś widziała.

Po chwili zabrał głos stary Leliwita:

— Każda praca jest uczciwa i każdy chleb jest smaczny, byle uczciwie zarobiony. Ale chleb jest dwojaki. O jeden stara się człowiek codzienną pracą w jakiemkolwiek miejscu; drugi jest przywiązany do miejsca, na którem zmieniają się liczne pokolenia. Pierwszy chleb nie pociąga za sobą żadnych obowiązków prócz pracy sumiennej, drugi zaś nakłada na potomne pokolenia obowiązek żołnierza, stojącego załogą na placówce. Te dwa chleby są sobie równe, ale praca przy drugim jest często bardzo uciążliwa, i wymaga nieraz wielkich cnót i poświęceń.

— Wybrałem pierwszy, bo drugiego nie mieliśmy,—wtrącił młody rękodzielnik.

— Nie czynię ujmy twej pracy, chciałem tylko powiedzieć, że chleb nasz, to jest chleb Leliwitów, od kilku wieków nam nadany, jest dzisiaj bardzo gorzki!

Dłuższy czas milczał, podczas gdy Witold i Marta zamienili kilka spojrzeń, które widocznie mówiły, jak trudną będzie sprawa, z którą przyszli. Po chwili mówił stary Leliwita:

— Zapewnie ci wiadomo, że ten chleb, który od przodków odziedziczyliśmy, teraz nam zabierają. Sto milionów rzucili Niemcy na targ naszych rodzinnych majątków. Łapią jednych na wyższe ceny, drugich podstępnie wywłaszczają. Dwory nasze, które są skarbnicą tradycyj świetnych, rozbierają z dawnego uroku, a ziemie rozdzielają niemieckim kolonistom. Z każdym dniem kurczy się nasza ziemia rodzinna, z każdym dniem walą się jej lądy pod parciem ger-

mańskich bałwanów... A to nietylko był chleb nasz, ale była placówka, nam przez ojców naszych powierzona, której mieliśmy bronić po wieki!

Witold wstał i przeszedł się parę razy po pokoju. Kroki jego były niespokojne, ruchy gorączkowe.

Zatrzymał się przed stołem.

— Święte słowa, — rzekł ze smutkiem, — ale żelazna konieczność radzi nam iść inną drogą. Możemy zmarnieć i zginąć na placówkach naszych, lecz obowiązkiem żołnierza nie jest śmierć bohaterska, ale walka skuteczna na innym posterunku.

Blada twarz starego Leliwity ożywiła się.

— Znam te wasze nowe hasła, zawołał żywo, znam te doktryny, poza które chowa się niedołęztwo, jeżeli nie co gorszego! Idziemy w służbę, aby coś sobie wysłużyć, a spodlenie nasze nazywamy rozumem stanu. Nie nowa to zresztą rzecz, w dziejach to się często powtarza, a historyk nazywa to upadkiem.

Witold spojrzał na Martę, w oczach Marty zakręciły się łzy. Splotła białe rączęta i ściskała je kurczowo, jakby jakiś ból wewnętrzny przygłuszyć chciała. Witold podniósł rękę do czoła, aby ochłodzić palący się tam ogień.

Młody Szolc wodził oczyma po wszystkich,

jakby przeczuwał jakiś dramat rodzinny. Wiedział on już coś o tym dramacie. W sąsiednim majątku, do którego właśnie był wysłany przez firmę fabryki, w której pracował, do umontowania parowego młyna przy browarze, coś mu o tem już powiedziano.

Oczy jego najdłużej zatrzymały się na twarzy Marty. Blada cera tej twarzy miała teraz pręgi różowe, oczy oszklone łzami wyrażały jakąś energję, chociaż celu nieświadomą. Czuł wyraźnie, że wstąpił w atmosferę tragedji.

— Przez upór możemy wszystko stracić, ozwał się po dłuższem milczeniu Witold — przecież i wśród najzawziętszej walki następuje czasem zawieszenie broni, a za niem, jaki taki pokój.

— To prawda, odparł gniewnie stary Leliwita, przychodzą z oliwną gałązką i powiadają: My z wami walczyć nie chcemy, opuśćcie dobrowolnie wasze posterunki, a my wam za to dobrze zapłacimy! A wiecie wy, co to znaczy opuścić wiekowy posterunek na glebie rodzinnej?

Wyprostował nagle pochylone barki, twarz jego zarumieniła się światłem jutrzenki. Spazmatycznym ruchem ręki wskazał na dąb kilkuwiekowy, który ocieniał oficynę, i rzekł głosem podniesionym:

— Chcesz to drzewo ściąć siekierą — to je zetniesz i uprzątniesz. Ale powiedz mu, aby ono dobrowolnie wyszło z ziemi rodzinnej i przeniosło się do innej gleby, to żądasz od niego więcej, niżeli śmierci doraźnej!... Przez długie wieki pracowało ono nad pogłębieniem i rozgałęzieniem korzeni swoich. Tysiące niewidzialnych nitek wybiega od tych korzeni, szukając w najniższych pokładach pożywienia dla wspaniałej tego drzewa korony i owoców jego przeznaczonych dla następnych pokoleń!... Jeżeli mu więc każecie wyjść z tej ziemi, powyciągać z niej te korzenie, związane z sobą pracą wiekową, pozrywać i zostawić w niższych pokładach te nitki subtelne, które je przez tyle wieków żywiły — to woli już runąć pod siekierą, niżeli taką boleść przebyć!

Witold spojrzał na siostrę.

— I jakaż ztąd korzyść, rzekł ostrożnie, jeżeli ścięte siekierą powali się na ziemię, i tam jako kłoda bez życia w zgniliznę przejdzie?

Porwał się z krzesła młody Szolc. Zdrowa twarz jego żarzyła się jak żelazo rozpalone, z oczu strzelały błyskawice ponure.

— Nie zgnije ta kłoda bezpożytecznie, zawołał jakby w natchnieniu! Pozbawiona siekierą życia, wyda z siebie strasznego mściciela w postaci owych niewidzialnych prawie żyjątek i zarazków roślinnych, które rozejdą się po całym obszarze nowego pana. Podgryzą fundamenta dzieł jego, roztoczą piaskowiec i granit, a gmachy okazałe rozpadną się w gruzy!

Zdziwienie malowało się na wszystkich twarzach. Stary Leliwita patrzał na niego czas niejaki, w oczach jego migotała pewna radość.

— Niejasne mi twoje słowa, rzekł ze słodyczą, ale poznaję w nich krew twego dziada.

Młody Szolc pokraśniał jeszcze więcej po tych słowach, a z podniesioną wysoko piersią był podobny do natchnionego proroka.

Witold i Marta milczeli. Słowa młodego człowieka sprawiły na nich silne wrażenie, ale nie mogli ich jeszcze dobrze zrozumieć. Marta utkwiła swe wilgotne oczy w natchnioną twarz młodego Wernyhory i zdawało się jej, chociaż już mówić przestał, że słyszy jeszcze głos jego tak dźwięczny i tak głęboko wnikający do serca.

Stary Leliwita milczał czas dłuższy. Widać że po niezwykłem wzruszeniu potrzebował wypoczynku. Twarz jego bladła teraz coraz więcej, oczy przygasały, a nawet ruch nerwowy po licach zamierał. Swiatło lampy, zawieszonej u pułapu przedłużało cienie na tej białej teraz jak kreda twarzy, i czyniły ją podobną do twarzy nieboszczyka. Zdawało się, że wszystka krew

starca pospieszyła gdzieś na wewnątrz, gdzie w tej chwili odbywał się ważny proces życiowy.

Wreszcie podniósł głowę, a obecni widzieli oczy jego, jakby gęstą mgłą przysłonięte. Były podobne do oczu lunatyka.

— Jest legenda w rodzie Leliwitów, mówił głosem cichym, że w orszaku króla Bolesława, gdy biskupa krakowskiego zabijał, był także Leliwita. Otóż za karę padł wyrok Boski, że dusza jego, musi przejść przez dwadzieścia cztery pokoleń Leliwitów, zanim się do Boga dostanie. Trudno te pokolenia dziś zliczyć, ale nieraz mi się wydaje, że dusza naszego pierwszego przodka jeszcze we mnie pokutuje!

Głębokie zaległo milczenie.

— Raz mi się śniło, że byłem Marcinem Leliwitą, który bił Krzyżaków pod Grunwaldem... Jeszcze dziś widzę przed oczyma ten bój krwawy..., widzę Jagiełłę pod wysokiem drzewem, a księcia Witolda goniącego jak wicher na karym rumaku. Przed nim otwierały się szeregi krzyżackie, jak się otwierają wody przed dziobem okrętu, a za nim wznosił się wał trupów pokładziony na ziemi, jak się kładzie skiba za żelazem pługa!...

Biała twarz jego zaczęła się gorączkowo ożywiać.

— Stałem wtedy na lewem skrzydle, gdy

nagle kilku rajterów niemieckiego zakonu wysunęło się z boku i natarło na księcia... Podniósłem szablę do góry, dałem ostrogi koniowi i jak strzała wyleciałem na zbirów niemieckich!...

Zatrzymał się chwilę, a potem mówił dalej:

— Było ich czterech, chłopi rośli jak dęby. Z przekleństwem i zgrzytem rzucili się na mnie. Jeszcze dziś widzę te rude twarze, jakby wściekłe, i te miecze dwułokciowe, które nademną zawisły... Usunąłem się na prawo i jednym cięciem rozpłatałem najbliższemu prawe ramię, z którego zbroja się zsunęła... Drugiego zaszedłem z tyłu, a cięcie w biodro powaliło go z konia... Zostało dwóch, a moja ręka nie mogła już podnieść szabli, bo ją w stawie nadwyrężyłem..., ale w tej chwili stanął przy mnie mój towarzysz i za jego pomocą uspokoiliśmy napastników.

Twarz starca zaczęła płonąć jak ogień.

— Zwyciężyliśmy, zawołał donośnie, a barki jego wyprostowały się, tak jest, zwyciężyliśmy! Czy wy znacie roskosze zwycięstwa? Czy możecie pojąć, co to jest walczyć i zwyciężyć? Pytajcie oto starych pokoleń, pytajcie mnie, który byłem pod Grunwaldem, jak słodkie uczucie rozdymało pierś moją..., jak pełnym haustem wciągałem w siebie to powietrze bo-

jowe, w którem grały nasze rogi zwycięskie. Zdaje mi się, że wzrok mój wtedy sięgał setki mil i widział dom rodzinny, a w nim radującą się z mego zwycięstwa rodzinę całą... Dziś jeszcze czuję tę roskosz, która przebiega mnie całego, w żyły zastygłe wlewa krew gorącą, pierś rozpiera do głośnego okrzyku: Zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo!

Przy ostatnich trzech słowach głos jego rósł coraz więcej, jak rośnie uragan, gdy się przez góry przedziera. Przy ostatniem słowie zdawało się że ochrypł — a potem umilkł.

Twarz mu posiniała, oczy kurczowo zadrgnęły... i głowa na poręcz krzesła upadła. Wszyscy zerwali się na nogi, przybiegli do stołu.

Stary Leliwita już nie żył.

Zasnął na wieki, upojony zwycięstwem.

Śmierć szczęśliwa.

Pozostali mają już ręce rozwiązane.

Kolonizacja niemiecka zabierze jeden zagon więcej z ziemi polskiej...

IV.

Wczesna jesień zaczęła napełniać stolicę nowego, wielkiego państwa. Zaludniały się pokoje

pierwszopiętrowe, napełniały się hotele wspaniałe. Opera i teatra ogłosiły jesienne programy, mistrze tonów stroili instrumenta do koncertów, ludowe widowiska i cyrki zaopatrywały się w lwy i tygrysy, a niezbyt hygieniczne kotły restauracji kipiały dniem i nocą, aby wyżywić głodną rzeszę nowej stolicy.

Dniem i nocą odzywały się sygnały pociągów parowych i nawoływania stangretów karet i powozów. Dzienniki donosiły o kradzieżach, pożarach i samobójstwach, wypełniały sumiennie rubryki ślubów, rozwodów i pogrzebów. Dla ludzi wyższych pragnień snuły misterną sieć politycznych horoskopów, nadzieje i obawy walk stronnictw parlamentarnych, a w nawiasie od czasu do czasu, osobliwie, gdy państwu pieniędzy potrzeba było, straszyły wojną z zewnątrz, a wewnątrz robotą podziemną malkontentów. Słowem — stolica nowego, wielkiego państwa była w pełnym ruchu życia. Nawet Sprea, skromna arterja Europy środkowej, napęczniała w ostatnich dniach na wzór Łaby lub Dunaju i jak rzeka pierwszorzędna podpłynęła pod zamek króla i cesarza.

Mieszkańcy stolicy gotowali się do nowego sezonu. Korzystając z resztek pogody i ciepła, właściciele domów malowali kurytarze, stawiali

piece i wywozili śmiecie z dziedzińców. Krawców zarzucono zamówieniami cieplejszej odzieży, a kapłanki mody jakby na przekorę wywieszały w oknach sklepowych powiewne, przezroczyste suknie, które mimo dojmującego chłodu miały najwięcej spektatorów, a raczej spektatorek.

Między temi odznaczały się w tej chwili dwie kobiece postacie. Jedna wysmukła i słuszna o złotawych włosach i twarzy białej przypominała ów fantom Schillera, nazwany Laurą — druga niższego wzrostu, pełnych kształtów z nabrzmiałemi ustami była jakoby kopią realniejszych bohaterek Goethego. Pierwsza przy lekko naznaczonych brwiach miała oczy ciemnoszafirowe — druga przy zdrowej cerze i ciemnych włosach miała brwi prawie czarne, pod któremi błyszczały dwa czarne węgle w sinawe srebro oprawne. Kontrast ten niezwykły był zapewne powodem, że zwracały na siebie uwagę przechodniów. Stawali przy oknie, przypatrując się także wystawionym sukniom i zarzutkom eleganckim. Między nimi było dwóch młodych mężczyzn wykwintnie ubranych.

— Patrz Witoldzie — ozwał się jeden — na te dwie damy. Niepospolite urodą, która tutaj należy prawie do wyjątków.

— Szykiem i elegancją przypominają mi

owe Ondyny z Ostendy lub Boulogne sur mer. Chciałbym się dowiedzieć kto one są. Zatrzymajmy się trochę.

Ten, który to mówił, był słusznego wzrostu, z pod jesiennego palta wyglądał kołnierz z żałobną na brzegu klapy obwódką.

To nasz znajomy, Witold Leliwita. Przybladł na twarzy i przychudł od tego czasu, gdyśmy go w białym dworze poznali.

Obaj ciekawi towarzysze przypatrywali się już dość długo sukniom i oczom szafirowym, a nie chcąc okazać natrętnych, przeszli do innej wystawy, nie spuszczając jednak z oczu tych, o których się coś dowiedzieć chcieli.

Zapewne odgadła ich zamiary złotowłosa sąsiadka, bo nagłym ruchem zwróciła się do nadjeżdżającej dorożki, a szepnąwszy coś stangretowi siadła wraz ze swoją towarzyszką. Dorożka pomknęła naprzód jak strzała, a że drugiej wolnej nie było, obaj ciekawcy zostali na bruku.

— Spłatały nam figla — zawołał towarzysz Witolda, który patrzył ciągle ku wylotowi ulicy, chociaż tam owej tajemniczej dorożki już dawno nie było.

— Ha, cóż robić, rzekł z uśmiechem Witold, trzeba się czemś innem pocieszyć. Chodźmy na koncert do hotelu.

Za pół godziny, zatrzymując się jeszcze tu

i ówdzie przed wystawami dotarli wreszcie do celu. Stanęli przed hotelem, który już zdala głośniejszymi tonami muzyki zapraszał ich gościnnie do swego zimowego ogrodu.

Był to pałac okazały, wykwintną architekturą przypominający pałace królewskie. Piętrzyły się na nim kolumny, złocone gzymsy błyszczały w słońcu, a na fantastycznym dachu rozsiadły się pękate kopuły. Pierwsze piętro, wysunięte ku ulicy tworzyło olbrzymi taras, na którym właśnie był ów ogród zimowy. Na tym tarasie zwykła po obiedzie przygrywać wyborowa orkiestra, której mogło słuchać tysiąc osób, za biletami przybyłych. Podróżni, w hotelu zamieszkali, mieli wstęp na ten koncert bezpłatny.

Obaj znajomi weszli teraz na taras. Oczom ich przedstawił się widok prawie czarodziejski. Przed nimi otworzyła się nagle po nudnych ulicach i szarych jak popiół domach, pełna zieleni oaza, jakby wprost z pustyni afrykańskiej wyjęta. Egzotyczne rośliny ugrupowały się malowniczo, z kępy kaktusów i arumów strzelała wysmukła palma, a dalej zwieszały się w szerokich kiściach długolistne rośliny, jakby wierzby płaczące. Śród tej południowej wegetacji biły wodotryski i cichym szelestem swoim dawały muzyce Wagnera jakiś podkład fantastyczny..

Witold i towarzysz przeszli się wzdłuż tarasu, napełnionego licznymi słuchaczami. Orkiestra kończyła właśnie uwerturę z Nibelungów.

Gdy się napowrót zwrócili, zaleciał do ich uszu głos z bocznego stolika.

— Patrz — to Leliwita, który niedawno sprzedał majątek komisji kolonizacyjnej.

— A jak butnie jeszcze wygląda!

Leliwita poczerwieniał na twarzy i przyspieszył kroku. W kącie pod cyprysem przy ocienionym stole zasiedli obaj.

— Jaka głupota u nas, rzekł do towarzysza podrażniony Witold, czy słyszałeś, co tam przy stole pod kaktusem o mnie mówiono?

— Jest wiele prawdy w tych słowach — odpowiedział tenże — tak mówią ludzie, którzy widzą fakta, a powodów nie znają. Facta loquuntur!

— Czyż miałem czekać subhasty? Czyż miałem z zimną krwią patrzyć na łzy spadłych z hipoteki wierzycieli i słuchać przekleństw, miotanych na nieboszczyka mego ojca?... A wreszcie czyż miałem się wyrzec tych kilkudziesięciu tysięcy, które po kupnie przez komisję kolonizacji, zostały mi po zaspokojeniu wszystkich naszych dłużników?

— Niema o tem co mówić, trzeba tylko teraz z tem co zostało dobrze gospodarować.

— Przyznam się że myślę i myślę nad tem i nic dotąd nie wymyśliłem. A przecież nie będę zakładał handelku delikatesów, lub mierzył łokciem towarów bławatnych. albo co gorsza nie pójdę do warsztatu, jak to twój kochany braciszek uczynił!

Starszy brat Karola Szolca, urzędnik w przybocznem biurze kanclerza, Henryk Szolc, zmarszczył czoło na te słowa swego krewniaka. Machnął gniewnie ręką i rzekł:

— Daj pokój temu szaleńcowi, któremu śmierć matki na obczyznie, a choroba nieuleczalna ojca szyki w głowie pomieszały. Bo rzeczywiście z tego, cośmy tam wycierpieli można oszaleć. Wielkie cierpienia mają to do siebie, że jednych hartują do twardej, a zmudnej pracy, a innym ostrzą sztylety do zemsty nad sprawcami tych nieszczęść. Ja wybrałem pierwsze, on drugie.

— Czy jego krew gorąca nie szkodzi ci na twojem stanowisku dzisiejszem?... Przyznam się że z pewną bojaźnią szukałem wczoraj ciebie w kancelarji tak blisko kanclerza państwa.

Henryk Szolc odetchnął głęboko.

— Karol — odrzekł zniżonym głosem — jest chłopcem szlachetnym. Wstępując do fabryki zapisał się jako Niemiec.

Leliwita porwał się na krześle.

— Jakto — zapytał — wyparł się swego urodzenia?

— W gruncie rzeczy — nie wyparł się, ale uczynił to w pewnej myśli, która mu zaszczyt czyni...

Witold rzucił na krewniaka badawcze spojrzenie.

— Aha... domyślam się, mówił powoli, zapewne nie chciał ci, przez wybrany swój zawód, w twojej karjerze przeszkadzać.

Starszy Szolc uśmiechnął się dyplomatycznie.

— To nie — cedził powoli przez zęby — prędzej mogłoby mi szkodzić, gdyby się afiszował swojem pochodzeniem. Musisz wiedzieć że i ja w oczach niektórych moich kolegów biura uchodzę za pół Niemca. Myli ich moje nazwisko.

Witold Leliwita westchnął.

— Mój Boże... do tego idzie, że dla chleba...

— Broń Boże, nie myśl tak źle, na tej drodze nie jestem. Jestem w głębi duszy takim, jakim mnie matka urodziła i ojciec wychował, ale nasze położenie wymaga od nas układności kociej, a przezorności węża. Tym tylko sposobem możemy się uratować od germańskiej zagłady. Naród ten filozofów i poetów wielkich tak zdziczał po ostatniej wojnie z nieprzyjacielem, że wszystko gniótłby, deptał i miażdżył co mu jest nie po myśli w uwielbianiu

siebie samego jako pierwszego narodu w świecie. A ta zdziczałość rodzi w nim nawet popędy zaborcze, chciałby zabrać i pożreć wszystko, co mu się opiera.

A potem dodał pocichu:

— A to wszystko jest dziełem owego złego ducha wieku, który sam zwie się jego pierwszym bohaterem.

Leliwita uścisnął rękę krewniaka, na znak, że go rozumie. Właśnie zagrała orkiestra ulubionego Strausa.

Melodja naddunajska rozweseliła posępną atmosferę tarasu. Tu i ówdzie odezwały się półgłosem wtóry do wiedeńskich walczyków, a ruch kulinarny w przybytku sztuki ożywił się w dwójnasób. Kelnerzy od wina i piwa, od potraw i owoców przebiegali raźno pomiędzy stolikami. Do skocznych tanów wmieszał się brzęk talerzy i szklanek.

Leliwita kazał podać butelkę.

Przy butelce i tonach walca zmieniła się rozmowa. Mówiono o wypadkach dnia, o cyrku, teatrze i kobietach.

— Muszę ci jeszcze coś w stolicy pokazać,— ozwał się Szolc do towarzysza,— tylko trzeba u kwiaciarki kupić sobie kwiatki odpowiedniej barwy.

Witold spojrzał ciekawie na towarzysza.

Gdy skończymy butelkę — mówił tenże dalej, — pójdziemy na tak zwaną grę w barwy, czyli raczej rozmowę barw. Czy cię to dziwi?

— Co to jest?

— W drodze opowiem ci.

Obaj towarzysze wypróżnili kieliszki, a kupiwszy od kwiaciarki dwa kwiatki barwy błękitnej, zatknęli je w dziurki od klap i wyszli.

Leliwita był za czerwonym, ale towarzysz zażądał błękitnych, co mu w drodze wytłómaczyć przyobiecał.

V.

Już od lata spostrzeżono w nowej stolicy świata pewne zjawisko, którego sobie zrazu nikt wytłómaczyć nie mógł.

Nowa stolica wzrastała wśród wyjątkowych warunków. To, na co innym stolicom wieku potrzeba było, robiło się tu w dziesiątkach lat. Od czasu manifestu, podpisanego w Wersalu, który zjednoczone niemieckie państwo utworzył, nowa tego państwa stolica zaczęła rość z każdym dniem prawie. A gdy miecz zwycięski w hali sławy zawieszono, zaczęło w stolicy zbierać się wszystko to, co w tym wielkim okresie dziejowym było gorętsze, dzielniejsze i ruchliw-

sze. Liczba mieszkańców wzmagała się od tygodnia do tygodnia, rzemieślnicy pracowali dniem i nocą, aby dla tak licznej rzeszy wygotować przybytki, a kapitały z całego kraju zbiegły się do szczęśliwego miasta, aby je uczynić wielkiem, wspaniałem i godnem narodu. Pałace wznosiły się jak grzyby z pod ziemi, częstokroć z mianem hoteli, tworzono nowe ulice zamiejskie, i robiono wszystko, coby wielkich zwycięztw godnem było.

W tej dobie tworzenia się wielkiej stolicy, wśród miejscowej i napływowej ludności, powstały pewne prądy, jakich dawniej tam nie znano. Wywołała je gorączka rozrostu miasta, przyniosły je z sobą gorętsze napływowe żywioły, które dawną jego ciasnotę małomiejską rozpierały. Przyczyniło się do tego zdziczenie wojenne i upojenie niespodziewanem zwycięstwem!

Wszystkie te porywy wyższe i niższe musiały podziałać na towarzyskie i życiowe stosunki mieszkańców. Zbitej masie ludności nie wystarczały drogi zwyczajne, szukano nowych i wymyślono je w sposób dosyć oryginalny. Maskaradę przeniesiono na ulice.

Oto czujna straż bezpieczeństwa spostrzegła przy jednym z mostów stolicy zagadkowe zjawisko.

Przed wieczorem zgromadzała się przy tym

moście niby od niechcenia znaczna liczba ludzi obojej płci. Przechadzali się po ulicy, wracali napowrót, zawiązywali z sobą rozmowy, tworząc tu i ówdzie grupy. Rozmowa była zazwyczaj wesoła, pojedyńcze osoby odrywały się od większej grupy, i przechadzały się tak długo, póki wreszcie z oczu nie znikły. Pikielhauby strażników zwracały się napróżno w tę i ową stronę, nie mogąc zrozumieć tego ruchu.

Najwięcej to uderzało, że każdy z tego tłumu miał jakąś oznakę zewnętrzną. Mężczyźni mieli w butonierce kwiatki rozmaitego koloru, a kobiety niosły w ręku zwoje papieru, jakby nuty i pisma jakie, obwiązane wstążką kolorową. W braku papieru miały odpowiednie kokardki.

Uderzało to także męża porządku publicznego, że zazwyczaj rozmawiały z sobą kolory jednakie, to jest mężczyzna z czerwonym gwoździkiem w butonierce, rozmawiał z damą, trzymającą w ręku zwój papieru, związany wstążką czerwoną, a kwiatek niebieski rozmawiał ze wstążką lub kokardą niebieską.

Zrazu było to zabawne dla znudzonego długim posterunkiem strażnika porządku. Uśmiechał się na to malownicze łączenie się barw bratnich. Stojąc na brzegu mostu miał widok na cały wylot ulicy, a patrząc na ruch kolo-

rów, zdawało mu się, że zagląda do kalejdoskopu w ulubionem Panopticum.

Przy zwiększającej się z każdym dniem grze kolorów, wydało mu się wreszcie rzeczą podejrzaną. Jakimi drogami porozumiewali się ci ludzie, jeżeli żadnych plakatów, ani inseratów w gazetach nie było? Co znaczą te znaki masońskie, te szepty, uśmiechy i jakieś dziwne spojrzenia?

Wyższa straż porządku publicznego bezpieczeństwa została tem zjawiskiem zaniepokojona. Przypuszczano zrazu, że „w państwie bojaźni Bożej“ dzieją się jakieś rzeczy zdrożne. Po bliższej rozwadze widziano w tem jakiś spisek tajemniczy, który nietylko moralności, ale nawet państwu zagraża. Ostatnie to przypuszczenie znalazło w niższej sferze władzy bezpieczeństwa wielu zwolenników, bo obiecywało zwiększony ruch służbowy a temsamem i dodatki do skromnych wynagrodzeń rządowych.

Rzucono na teren niebezpieczny kilkunastu agentów, w przyzwoite palta jesienne ubranych. Zakupiono u ogrodnika kwiaty różnych barw i kształtów, i nauczono służbę publiczną możliwego szyku i elegancji. Nowe życie zawrzało przy moście.

Pierwsze raporty były zastraszające. Jakaś otchłań bezdenna otwierała się oczom utajonych agentów. Zasłyszane słowa i półsłówka nic nie zdradzały, przeciwnie, okrywały jakąś niezbadaną tajemnicę. Pustych żartów było niewiele, za to były jakieś poważne rozmowy, które kończyły się w zupełnem odosobnieniu na pustych, poprzecznych ulicach. Widoki osobiste sprawozdawców kazały jeszcze znaczniej pogłębiać te cienie, w jakich ta sprawa tajemnicza ich oczom się przedstawiała.

Przy wyższej jednak kontroli straciły te raporty wiele na uroku. Przekonano się bowiem, że była to zwyczajna maskarada tylko bez masek.

Zwyczaje towarzyskie rozrosłej tak nagle stolicy nie dawały uprawnionej sposobności bliższego zetknięcia się i poznania. Prywatne domy były prawie zamknięte, w publicznych lokalach nie zawsze odpowiadało towarzystwo powziętym intencjom, a teatr i widowiska oddzielały jakby żelazną kratą bogatszych od mniej bogatych.

Jakim sposobem przyszło do tego to porozumiewanie się i zbliżenie zapomocą barw, kto to pierwszy wymyślił, kto dał hasło do pierwszego kroku, a potem w pewien system to ujął — niewiadomo.

Był to jakiś ruch nieświadomy siebie, odczuty tylko z potrzeb życiowych. Wyższe i niż-

sze instynkta ludzkie parły ludzi do siebie, jedna płeć szukała drugiej, aby się porozumieć, zbliżyć do siebie i, jeżeli to było możliwe, założyć współkę życiową. Biura małżeństw nie dopisywały, inseraty w dziennikach dawały szerokie pole mistyfikacjom i żartom bezcelowym. Zrazu pojawiały się na moście tylko kwiatki czerwone. Potem, stosownie do lepszych potrzeb życiowych rozwinięto całą tęczę kolorów.

Czerwony kolor oznaczał uczucie gorejące chociażby bez wyraźnego celu. Pączek róży oznaczał pragnienie duszy bratniej, potrzebę wpatrywania się w gwiazdy i etery, odbite czasem w szafirowych oczach. Jasno-niebieska niezapominajka pragnęła trwałej, niczem nie zamąconej dozgonnej przyjaźni, podczas gdy fijoletowy heliotrop godził się nawet na pewne przerwy tejże. Biała chryzantema oznaczała wyższe poświęcenie się bez widoków osobistych, a żółta „gloire de Dijon“ rozkosze życia bez żadnych zastrzeżeń.

W taki sposób odczytała straż bezpieczeństwa po długich studjach te barwne hieroglify. Nie miała nic zrazu przeciw tej towarzyskiej maskaradzie przy moście, która ruchu miastowego bynajmniej nie tamowała, baczyła tylko na to, aby niższe instynkta nie owładnęły tej areny.

W takiej właśnie fazie było to zjawisko w nowej stolicy, gdy Witold Leliwita i starszy Szolc ku własnej zabawie chcieli je bliżej poznać. Wybrali barwę błękitną, bo ona przedstawiała się szlachetniej.

VI.

Właśnie w tym samym czasie zdążały owe dwie damy, które przed godziną wystawę modniarki podziwiały, w otwartym powozie ku szarej trzypiętrowej kamienicy przy „Fridrichstrasse“. Złotawa blondynka wysiadła pierwsza i lekkim krokiem wbiegła do sieni. Za nią wolniej nieco podążyła towarzyszka.

Służący w liberji otworzył drzwi do salonu, z którego było wejście do buduaru kobiecego, przystrojonego wykwintnie.

Złotawa blondynka zrzuciła jedwabiem podszytą zarzutkę na fotel, w barwne kwiaty przystrojony kapelusik ulokowała na kozetce, a sama stanęła przed zwierciadłem.

Poprawiwszy jasne pukle na skroniach, uśmiechnęła się z zadowoleniem do swego sobowtóra.

I miała prawo do tego. Z weneckiego szkła

wyszła do niej postać pełna wdzięku i wyższego uroku. Mimo wysokiego kołnierza, obszytego złotą taśmą, mimo niezliczonych marszczek i fałdzików, które od kołnierza na jej piersi i ramiona spadały, można było odgadnąć, że to, co one ukryć usiłują, ma daleko więcej uroku od tego, na co patrzeć pozwalają. Najmniejszy ruch biustu stwierdzał to przypuszczenie, a nawet obiecywał więcej. Gdy podniosła obie ręce do góry, aby rozluźnione węzły włosów zacieśnić, stworzyła w zwierciadle weneckiem tak piękny obraz, że śmiało mógł być umieszczony w salonie Louvru. Twarz tylko nie była zupełnie w zgodzie z całą uroczą postacią. Była piękna bez zarzutu. Cera nadzwyczaj biała miała miejscami cieplejsze pręgi, oznaczające żywszy temperament. Usta, choć często do uśmiechu składane, miały jednak cień smutku i żalu do świata. Zamiast nieustającej pogody, do jakiej kobieta z taką urodą prawo mieć mogła, przemykały po tej twarzy co chwila jakieś chmurki, zdradzające nieznaczne drgania tak zwanego sympatycznego nerwu.

Towarzyszka jej o zdrowej, pełnej twarzy, zrzuciwszy z siebie wierzchnie ubranie zbliżyła się do małego stoliczka, na którym stał flakon z ananasowym sokiem i karafka wody. Do misternie oszlifowanej szklanki nalała naprzód

soku, potem wody i zaczęła zwolna popijać, smakując za każdym haustem.

— Gdybym ja miała takie mieszkanko,— ozwała się po piątym hauście, — byłabym już zupełnie szczęśliwą.

Złotawa blondynka odwróciła się szybko od zwierciadła.

— Cóżby ci przyszło z tej wyzłaconej łupiny?—zapytała głosem, w którym drżała urocza struna mandoliny.

— Moja Ido, — odpowiedziała po szóstym hauście brunetka, — łupina, która nas otacza, znaczy bardzo wiele. Przyrodnicy twierdzą, że barwa i wykwintność kwiatów na to jest dana roślinom, aby stosownie do barwy i wykwintności nęciły do siebie niższe lub wyższe twory zwierzęce. Czyś nie spostrzegła nigdy, że do okazalszych kwiatów ciągną okazalsze motyle i lśniące chrząszczyki, podczas, gdy podlejszy latawiec zadawalnia się barwą niezbyt wykwintną.

— Gdybyśmy mogły te łupiny ciągle nosić na sobie!

— Łupiny w ściślejszem znaczeniu tego słowa nie nosimy, ale nosimy atmosferę, która odpowiedniej łupiny spodziewać się każe.

— Tak... to w części prawda, ale cóż nam dać może sama łupina?

— Wspaniałego motyla, albo chrząszcza, który różami pachnie!

Rozśmiała się i nalała drugą szklankę napoju. Złotawa blondynka przeszła się kilka razy po perskim dywanie. Miała głowę spuszczoną, w oczach migotało jakieś niespełnione marzenie.

— Już sam tytuł „hrabina“, nęci przechodnia niezwykłą wonią, jak ukryta za krzakiem „Gloire de France“.

Hrabina Ida uśmiechnęła się cierpko.

— Masz poniekąd słuszność moja Paulino, że tytuły dodają nam blasku, który olśniewa innych jak światła elektryczne. Ale nie zapominaj o tem, że światło elektryczne, aby ciągle działać mogło, potrzebuje ukrytej maszyny parowej, która pożera dużo węgla, a ten węgiel i ta maszyna w ciągłym ruchu kosztuje wiele, bardzo wiele.

Westchnęła i dalej chodziła po perskich wzorach.

— Powracasz zawsze do jednego — rzekła Paulina — a co jabym powiedzieć mogła?

— Mój Otton mi pozostawił wiele majątku!

— A mój poczciwy Rudolf (świeć Panie nad jego duszą), zostawił mi tak skromną pensyjkę kapitana w rezerwie, że z niej nawet wyżyć nie można. Gdyby nie twoja przyjaźń, która

od czasu do czasu otworzy mi teatr, albo twój elegancki powozik, w którym jadąc przy tobie przez „zwierzyniec“ zamarzę sobie słodko o niebieskich migdałach — tobym zapleśniała w moich dwóch pokoikach z kuchenką.

Hrabina stanęła przed nią i spojrzała w jej twarz rumianą.

— Ja jednak zazdroszczę tobie, rzekła ze smutnym uśmiechem, bo ty nie upadniesz niżej, od poziomu, na którym dzisiaj stoisz.

— Piękny mi poziom! Dwie klateczki, kuchenka o trzech łokciach i obiad z pod „złotej gęsi“ za dwadzieścia trzy marki.

— Ale świat nie wymaga od ciebie tego co mnie obowiązuje.

— Nie przeczę, wszak mówią „noblesse oblige“.

Nastała dłuższa pauza. Hrabina rozpoczęła na nowo swoję przechadzkę, która tym razem wydłużała się aż do sąsiedniego salonu. Towarzyszka przeglądała tymczasem elegancką gotowalnię, na której zwykły się znajdować w barwnych bombonierkach różne cukry. Tymczasem nic tam nie było.

— To prawda — rzekła smutno — przyjemne życie potrzebuje wiele, bardzo wiele pieniędzy.

— To, co ty nazywasz przyjemnością jest

u mnie codzienną potrzebą. Rok upłynął od śmierci Ottona...

Przyłożyła batystową chusteczkę do oczu.

— Wspomnienie to — mówiła dalej — wyciska mi zawsze łzy i napawa mnie tak strasznem przerażeniem...

— Nie mówmy o tem.

— Rok ten chodziłam w żałobie. Żałoba jest zawsze oszczędnością dla nas. Dwie suknie, dwa kapelusze, to wystarcza. Nie mamy obowiązku pokazywać się w lożach pierwszopiętrowych, płacić drogich koncertów, lub bywać na rautach, na których nas według odzieży i brylantów oceniają. Teraz skończyła się żałoba. Rozpoczyna się sezon towarzyski. Zapowiadają rauty i pikniki, muzycy grożą koncertami, teatra wabią kolorowymi afiszami. Na to wszystko trzeba po całorocznej żałobie kompletnej wyprawy ślubnej. A to są dopiero wstępne koszta do późniejszych kolosalnych wydatków zimowego sezonu... a jak temu podołać, sama nie wiem.

— Po skończonej żałobie — możesz się jakiemu Krezusowi podobać i zostać jego żoną.

— Nie sprzedałam się raz, nie sprzedam się i drugi.

— Moja ty złota. Kobieta zawsze się sprzedaje. Czyż każda nie płacze przy ślubie? Czyż

te łzy nie oznaczają rozstania się z urojonym ideałem a pogodzenia z rzeczywistością na *pewnych*, jako tako korzystnych warunkach?

— Skądże ci ta filozofja nagle przyszła, jakiej dotąd w tobie nie przeczuwałam?

— Wiesz dobrze, że nieboszczyka kapitana kochałam szczerze, ale w *pewnych*, chociażby na wpół sennych chwilach życia przemykał mi się przed oczy porucznik, którego z braku kaucji poślubić nie mogłam.

Hrabina Ida przeszła się kilka razy po dywanie.

— Ja wybrałam odrazu — rzekła jakby do swoich myśli — chociaż Otton nie był wcale bogaty.

— Przecież miał tyle, co wystarczyło, aby cię ozłocić.

Stąd też złe języki przyprowadziły go do katastrofy...

— Pies szczeka, a wiatr niesie.

— Mówiono że grał szczęśliwie w karty, ale ja o tem nic nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że mi niczego nie brakło, żeśmy żyli na odpowiednią stopę, a w domu wiele gości przyjmowali.

— Człowiek większego rodu ma zawsze pewne źródła wypływające z jego pochodzenia. Są bogaci krewni, zaszczyty i honory.

— Ale te źródła teraz wyschły i nie można się nawet domacać ich początku. Ciotka Hermina kładzie po całych dniach kabałę, zapytuje duchów w nogach stołowych mieszkających, a nawet jeździła do jakiejś wróżbitki, ale wszystko na darmo. Złotodajnej żyły nie odkryła. Co dalej będzie, strach pomyśleć. Sprzedałam już parę garniturów brylantowych.

Nastała dłuższa pauza. Obie kobiety zamyśliły się, a myśli ich rozbiegały się w różnych kierunkach. Hrabina Ida widziała przed sobą festyny, teatra i koncerty, a wdowa po kapitanie w rezerwie przypominała sobie z rozkoszą, jak mężowi na talerz puchowych knedli nakładała i własnym widelcem na mniejsze kawałki je dzieliła. Obie westchnęły głęboko.

— Poco się dręczyć, jeżeli rzeczy nie odmienimy, rzekła po chwili pani kapitanowa. Napiłabym się kieliszek wina. Czy nie zostało co po twoim obiedzie? Widzę na kredensie butelkę.

Hrabina zadzwoniła. Na jej rozkaz wniósł lokaj na srebrnej tacy, spostrzeżoną przez kapitanową butelkę i dwa kieliszki.

— Bądźmy wesołe, dopóki czas nam sprzyja, zawołała kapitanowa, nalewając kieliszki.

— Na lepsze czasy! dodała po chwili, trącając o drugi kieliszek.

Hrabina Ida wychyliła także kieliszek.

— Ach! moje nerwy dzisiaj tak grają — rzekła z rosnącym blaskiem w oczach — że sama siebie nie poznaję.

— Spoczywały przez cały rok żałoby, nic dziwnego że zapragnęły ręki artysty.

Kapitanowa wypiła drugi kieliszek.

I mnie zaczyna się cieplej robić pod fryzurą — rzekła — wypij drugi, a poczujesz to samo.

Nalała drugi kieliszek, i przyłożyła do wpół otwartych ust hrabiny, która była w tej chwili bez oporu. Szafirowe jej oczy wybiegły gdzieś po za ściany szarej kamienicy i utonęły w mglistej oddali. Co tam widziała, nie wiedzieć. Zdaje się, że tylko czegoś szukała, czegoś pragnęła, za czemś goniła. Po drugim kieliszku zamajaczyły wprawdzie w tej oddali jakieś błędne światełka, ale światełka te były nieuchwytne.

Tymczasem wypiła kapitanowa trzeci kieliszek.

— Ojciec naszego kościoła — rzekła z wesołym uśmiechem — powiedział, że trzy rzeczy stanowią szczęście życia: wino, śpiew i kobieta! Kobiety są, wino jest, tylko śpiewu brak.

Pobiegła do salonu. Wkrótce dał się słyszeć głos silny, altowy.—Kapitanowa śpiewała:

«Ist denn Liebe ein Verbrechen?
Kann man denn nicht zärtlich sein?»

Hrabina Ida przeszła także do salonu i oparła się o okno, przy którem stał Bösendorfer.

Altowy głos kapitanowej był dźwięczny i silny. Hrabina czuła, że jakaś siła demoniczna ściska jej serce i gra po nerwach rozdrażnionych. Dawne wspomnienia i nowe pragnienia przebiegały po tych nerwach. Pierwsze były niepowrotne, drugie nieuchwytne.

Tymczasem piosnka kapitanowej opiewała czary miłości, w której były ogniste spojrzenia, gorące uściski, płomienne szepty, szmer liści i strumyka i księżyc, nieunikniony świadek tego wszystkiego.

— Który adorator z czasów żałoby był ci najmilszy? — zapytała przy ostatnim akordzie.

— Żaden, — odpowiedziała hrabina. — Podczas żałoby w większych towarzystwach nie bywałam. Dwóch poruczników i jeden assesor kolegjalny nie wchodzą w rachunek.

— Rozumiem, kroisz na większego zwierza.

— Nie poluję bynajmniej — ale czekam cierpliwie.

Siadła do fortepianu. Mimo nienawiści, głoszonej po dziennikach przeciw Francji, zanuciła jeden z tych romansów francuskich, który półśpiewem, a pół mową, bawi się figlarnie z utajonem pragnieniem serca.

— Tak mi się podobasz, — zawołała kapitanowa, całując rozgorączkowane usta śpiewaczki, — cóż życie nasze warte bez uśmiechu, bez gorętszego spojrzenia, a nawet bez małego szaliku?

— Ostatniego się boję, bo mogłabym zajść dalej...

— A ostrożność od czego?.. Przychodzi mi coś na myśl.

— Pragnę świeżego powietrza.

— Możemy sie przejechać, do wieczora jeszcze spora godzina.

— Każę zaprzęgać.

— Pojedziemy do owego mostu, przy którym o tej porze toczą się rozmowy barw i kwiatów. Czy słyszałaś co o tem?

— Ależ...

— Nic ależ. Dlaczegóż nie mamy się ubawić... a może po drodze kogo zaniepokoisz!

— Co ci do głowy przychodzi?

— Weźmiemy dwa kwiatki... w braku żywych wyjmę z mego kapelusza czerwone gwoździki.

— Nigdy w świecie!

— Jeżeli się lękasz płomiennego hasła, to wyjmę dla ciebie ten bławatek, jako hasło szyllerowskiej eterycznej przyjaźni.

— Gdyby nas kto tam ujrzał...

— Nasze kwiatki nie będą dla wszystkich...

zasłonimy je rotundami, które wtedy się tylko otworzą, gdy urok nieznajomego przechodnia nas do tego zmusi.

Hrabina Ida chciała coś jeszcze mówić, ale kapitanowa położyła jej palec na ustach, nakryła głowę kapeluszem, a przymocowawszy do piersi bławatek przykryła go szeroką, piaskowego koloru rotundą. Resztę zrobiło wino.

Za kilka chwil siedziały w powozie.

Konie raźno przebiegły połowę ulicy arystokratycznej i skręciły w boczną.

Przy ujściu tej ulicy spostrzegła kapitanowa liczniejsze tłumy.

— Wnet jesteśmy u celu,—szepnęła do towarzyszki.

Towarzyszka w milczeniu przyjęła tę zapowiedź.

Powóz wjechał między tłum, który po jednej i drugiej stronie otaczał ulicę. Byli to niby ludzie używający przechadzki przedwieczornej. Prawie co drugi miał jakiś kwiatek w butonierce, albo w zewnętrznej kieszeni fular odpowiedniego koloru. Kobiety miały kokardki, lub niosły drobne sprawunki związane wstążką kolorową.

— Prawdziwie dziwna ta rozmowa bez masek,—zauważyła hrabina Ida.

— Z tej rozmowy znam już kilka poważnych związków.

— Pfe... na ulicy!

— Mniejsza o to gdzie się zacznie, czy w tramwaju, czy w kościele, w teatrze lub na koncercie, ale to co ja wiem, skończyło się w poważnem gronie rodzinnem i przyzwoitym salonie.

— Romantyzm dziwnie praktyczny.

W tej chwili przejeżdżał powóz przez most. Na moście stało dwóch mężczyzn z błękitnymi kwiatkami w butonierce. Mówili po polsku.

— Patrz,—zawołał niższy wzrostem: — Te damy, któreśmy widzieli przy wystawie modniarki.

Witold Leliwita spojrzał do powozu. Urocze usta złotawej blondynki złożyły się do półuśmiechu, a nieposłuszna rotunda uchyliła się w tej chwili od drobnych paluszków, które ją trzymały Na falującej piersi ukazał się na chwilę i znikł wkrótce — bławatek.

Wkrótce wszystko znikło, powóz i bławatek.

Obaj towarzysze stali długo zwróceni w stronę tumanu, który biegł za powozem, i stali jeszcze, chociaż nie było już ani powozu ani tumanu.

— Chciałbym wiedzieć co to za dama, — rzekł po chwili Witold do towarzysza.

— Na taki sposób,—odpowiedział tenże,—

nie miałbyś w stolicy nic do czynienia, jak tylko dowiadywać się o poznane na ulicy piękności stołeczne.

— I to jest zabawne.

— Pomówimy o tem przy herbacie w kawiarni Bauera.

VII.

Już było szaro gdy towarzyszki romantycznej wycieczki powróciły do szarej kamienicy.

— Więc ten wysmukły brunet uzyskał twoje względy, — rzekła pani kapitanowa, zdejmując z niej rotundę. — Przystojny, młody człowiek. Widać należy do wyższej sfery...

— Ależ Paulino, co pleciesz, — odrzekła Ida, — rotunda przypadkiem wymknęła mi się z palców, a on zapewne sam tego nie widział.

— Widział, dobrze widział, mam na to wprawne oko.

Hrabina uderzyła ją po ramieniu.

— Przy tobie,—rzekła z wyrzutem,—można naprawdę oszaleć.

I przeszła się kilka razy po buduarze.

Zatrzymała się nagle.

— Zdaje mi się, że dzisiaj już go gdzieś widziałyśmy.

— Przy wystawie modniarki.

— Prawda... ale wstydzę się teraz, że mnie widział z kwiatkiem na moście.

— A widzisz, żeś go poznała, a teraz chodzi ci już o jego opinję! Wtedy patrzał na ciebie jak w tuza. A mnie zupełnie ignorował!

— Czemu nie powiesz jak w damę kierową?..

Hrabina Ida zaśmiała się sama ze swego dowcipu, do którego pani kapitanowa chciała właśnie coś swego nawiązać — gdy się drzwi bocznego pokoju otworzyły, a wysoka, koścista kobieta stanęła nagle przed nimi.

Była to owa ciocia hrabiny Idy, która na intencję swojej siostrzenicy nietylko pasjansa i kabałę kładła, ale nawet do wróżbitek jeździła.

Stara panna, starsza siostra nieboszczyka. Wysoka, jak deska płaska, miała na chudych ramionach długą głowę, z wysokiem czołem, długim nosem i ukośnemi oczyma. Wązkie usta były zacięte, jakby ze złości na świat cały i na wszystkich mężczyzn, którzy się dłużej przy niej nie zatrzymali. Z małych oczu błyszczała bystrość i pewien spryt dyplomatyczny. Rysy wogóle były zawsze ożywione i zdradzały pochodzenie z dawnego rodu. Strój jej był wykwintny nawet, dobrany z całą troskliwością staropanieńską.

W tej chwili była w jakiemś wyjątkowem usposobieniu. Oczy jej rzucały światła błyskawiczne, wąskie usta nabrzmiały i drgały, jakby coś gwałtem chciały mówić, a nie mogły, nozdrza były ruchome, jak u zająca, gdy coś zwietrzył, a chudy palec lewej ręki suwał się po długim nosie, jakby wesołej siostrzenicy chciał dawać jakiś sygnał tajemniczy.

Sygnał ten nie ustał po kaskadzie komplementów, które z ust kapitanowej wprost na nią uderzyły, ani nawet po karesach młodej hrabiny, która się z nią czulej niż zwykle witała. Korzystając wreszcie z odwrócenia się kapitanowej, sygnał ten stał się dla Idy tak zrozumiały i czytelny, że nie mogła już dłużej nie zrozumieć go. Wnosiła z niego, że ciotka ma dla niej coś ciekawego, ale w obecności kapitanowej tego powiedzieć nie może.

— Czuję że po tych wrażeniach dzisiejszych zbliża się moja, wcale nie upragniona migrena,— rzekła młoda hrabina, zwracając się do zwierciadła.

— Na migrenę tylko spokój i samotność,— zawyrokowała ciocia Hermina.

— W takim razie pożegnam cię Ido, i zostawiam twoim samotnym marzeniom.

Kapitanowa uścisnęła przyjaciółkę, ukłoniła się ciotce, i wybiegła jak kula z pokoju.

Po odejściu kapitanowej wyszła ciocia Hermina do przedpokoju, zamknęła drzwi od kredensu, a przeszedłszy po salonie, patrząc, czy tam kogo niema, zjawiła się przed zdumioną Idą w buduarze.

Na jej twarzy grały nerwy, ruchy jej były gorączkowe. Czoło zmarszczyło się jakby od jakiej myśli poważnej, a usta usiłowały uśmiechać się, chociaż do tego uśmiechu nie przywykły.

— Ido, Ido! — zawołała, chwytając jej rękę, — gdybyś wiedziała co ci mam do powiedzenia.., gdybyś przeczuła tę wielką tajemnicę, która dotąd spoczywa za tą kwarantanną...

Tu wskazała na szereg białych jak perły— sztucznych zębów, poczem zniżając głos mówiła dalej:

— Ale tobie wszystkiego nie powiem... powiedzieć nie mogę...

— Dlaczego cociu?

— Bo... masz słabe nerwy, a... zbytnia radość mogłaby ci zaszkodzić.

— Więc to wesoła nowina?—podjęła młoda wdowa, a szafirowe jej oczy wybiegły gdzieś w dal, jakby tam czegoś szukały.

Ciocia Hermina patrzyła z uwagą na nią. Patrzyła w jej szafirowe oczy, jakby z nich coś chciała wyczytać, patrzyła na te usta wil-

gotne, na wpół rozwarte, jakby się czegoś, co z nich wyjść miało, obawiała, patrzyła na ten blady rumieniec, z którym tak uroczo wyglądała. Pociągnęła ją za rękę do sofy, na której obie usiadły.

— Wstęp ten do wesołej nowiny zaczyna mnie trwożyć, — rzekła Ida z nieokreślonym uśmiechem.

— Bądź spokojna. Pozory tego, cobym ci powiedziała, mogłyby wzbudzić u ciebie pewne obawy, ale wierz mi, że grunt jest piękny i szlachetny.

— To mnie już męczy.

— Dowiedz się więc, że odszukałam dawną złotą żyłę!

— Złotą żyłę?

— Tę rękę niewidomą, a dla nas tak dobroczynną przez kilka lat ostatnich! Milczysz?

— Nie rozumiem.

— Przypomnij sobie, jeszcze za życia Ottona te złe języki, które nam naszego szczęścia zazdrościły, a które w końcu sprowadziły tak smutną katastrofę... wszak o tem wiedziałaś?

— Mówiono... że Otton grał szczęśliwie w karty.

— Rzucono nawet na niego kalumnią. On jednak ani szczęśliwie, ani nieszczęśliwie nie grał w karty, a dochody jego płynęły ze źródła,

którego grunt był piękny, szlachetny, patryotyczny!

— Patryotyczny? — podjęła hrabina Ida — wszyscy jesteśmy patryotami.

— Stary nasz ród hrabiów „von und zu Hohenest“ miał w dawnych dziejach wielkie zasługi.

— Więc za te dawne zasługi...

— Dawne zasługi przodków wkładają i na potomnych te same obowiązki, które tamci tak chlubnie spełnili.

— Był w ostatniej wojnie i walczył dzielnie pod Paryżem. Dzisiaj zaś...

— Dzisiaj walczy się także, ale inną bronią — walczy się o wielkie, zjednoczone państwo.

Hrabina Ida patrzyła zamyślona na perski dywan. Szumnie wygłoszone nazwisko jej męża, które i ona dzisiaj nosiła uderzyło w ukrytą strunę próżności kobiecej. Hrabina Hohenest mogła być z tego dumną.

Nie mogła tylko pojąć, jaki cel miała mieć owa ręka niewidoma, tak hojnie sypiąca na nią dobrodziejstwa. Dawało się to jeszcze wytłómaczyć, gdy żył jej mąż. Potomek wysokiego rodu, którego przodkowie zasługi mieli w dziejach niemieckich, mógł z niewidomej dla niej ręki pobierać pewne datki, które urok

starego rodu podtrzymać miały z zasad czysto monarchicznych, jakie wyznawał dzisiejszy władca wielkiego, zjednoczonego narodu. Wiedziała nawet, że mąż jej miał otrzymać jakiś wyższy urząd, do czego jednak nie przyszło. Nie mogła jednak pojąć, z jakich powodów miała się i dla niej otworzyć ta ręka dobroczynna, która widocznie przez cały rok żałoby była się dla niej zamknęła.

Ta myśl ostatnia zrodziła w niej zapytanie:

— Dlaczegoż przez cały rok mojej żałoby ta hojna ręka o nas zapomniała? Jeżeli nie dla mnie, to dla cioci, która to samo, co mój mąż, nosi nazwisko, powinna była być otwartą?

Hrabina Hermina Hohenest uśmiechnęła się dyplomatycznie.

— Nie znasz moja Ido owych dróg, jakiemi niektóre rzeczy zwykły chadzać w sferach wyższych. Nawet w urzędach zwykłych wydarza się, że wdowa po urzędniku niejaki czas jest bez pensji, zanim różnym formalnościom zadość się stanie. Kaucja po kasjerze rządowym leży nieraz długie lata zanim, sprawdziwszy wszystkie rachunki kasy, zwrócą ją wdowie.

— Przecież to z nami nie ma żadnej styczności.

— Mówiłam tylko dla przykładu.

Nastąpiło dłuższe milczenie. Hrabina Ida

patrzyła na złotem przetykane tapety ściany, a długie, chude palce cioci Herminy biegały po arabeskach sofy, jakby tam czegoś z niepokojem szukały.

— Czy ta niewidoma ręka nie upokarza mnie — zapytała nagle, jakby zbudzona ze snu Ida.

— Ta ręka otwiera się dla mnie — odpowiedziała szybko ciocia Hermina, której twarz wyglądała w tej chwili starszą niż zwykle.

— Tylko dla cioci?—zdziwiona zawołała Ida.

— Dla mnie i dla ciebie — szybko odparła ciocia Hermina—bo ja zawsze będę przy tobie i z tobą, choćbyś nawet zaszczytne nazwisko nieboszczyka na inne zamienić chciała.

— Nie mów mi ciociu w tej chwili o tem.

— Mówię ci to na każdy wypadek.

Przyciągnęła rozmarzoną Idę do siebie.

— A teraz uściskaj mnie — mówiła dalej z gorączką — bo wiele trudu, pracy... no, kabał i pasjansów mnie to kosztowało, zanim do celu dotarłam. Trzeba lokatorom wymówić te trzy pokoje, któreśmy im odnajęli, trzeba wszystko odświeżyć i odnowić a jutro pójdziemy do magazynów, abyś z tej rocznej żałoby mogła się wyłonić złotoskrzydlnym motylem. Dawnym przyjaciołom trzeba porobić wizyty, a mam nadzieję że i nowych sporo przybędzie.

Ucałowała zamyślone czoło Idy i zadzwoniła na służącego, aby przyniósł lampę.

W buduarze było już ciemno.

VIII.

Kawiarnia Bauera był to lokal imponujący, do którego ze wszech stron o szarej godzinie ściągali się goście, spragnieni dzienników wieczornych, pogadanki politycznej, słowem, owej atmosfery kawiarnianej, która jak narkotyk upaja na parę godzin.

Przy zbiegu dwóch głównych arterji miasta, „Fridrichstrasse“ i „Unter den Linden“ walczą jej jasne okna z jednej strony z elektrycznem światłem łukowych latarni, z drugiej strony z czarodziejskiem oświetleniem, prowadzącem do pasażu „Panopticum“. Dwóch odźwiernych otwiera gościom jedne drzwi do sali na dole tym, którzy tytoniu nie palą, a drugie do galerji, obiegającej w koło tej sali dla palących.

Imponujące jest wnętrze tego lokalu. Setki płomyków elektrycznych w kształcie różnorakich arabesków oświecają *a giorno* obszerny dolny salon. Ściany tego salonu składają się z olbrzymich płócien znakomitych malarzy, z których jedne przedstawiają dzieje biblijne, inne dzieje Germanji.

Sala ta natłoczona jest gośćmi obojej płci. Przy kawie, czekoladzie lub herbacie toczą się głośne i ciche rozmowy, odzywają się dzwonki i nawoływania służby. Na wysokości pierwszego piętra obiega po ścianach galerja, przeznaczona dla tych, którzy tytoń palą. Osłoniona w wyższej połowie obłokami dymu przedstawia w świetle elektrycznem ową mytyczną „Walhalle“, w której przebywają bogowie i duchy bohaterów.

Na tę galerję weszli dwaj nasi znajomi z błękitnymi kwiatkami w butonierkach. Zasiedli przy stoliku, który stał przy oknie frontowem, skąd mogli dobrze obserwować cały lokal czarodziejski.

Całą ich uwagę zwróciła rozmowa, tocząca się głośno przy sąsiednim stoliku.

Było ich trzech. Jeden chudy, z twarzą wyrazistą, drugi niski, krępy, z nosem trochę zarumienionym, a trzeci stał co do wzrostu i tuszy w pośrodku, a wyrazem twarzy przypominał swych *obrońców,* którzy przed kratkami sądu *bronią* obwinionych.

Mówiono o wyborach do parlamentu, które właśnie w tym czasie odbyć się miały, jak to rozlepione na murach afisze zapowiadały.

Mówiono o kandydatach. Jeden chciał tego, inny drugiego, a każdy z nich obliczał szansę swego ulubieńca politycznego według życzeń swoich.

— Gdybym chciał być kandydatem — ozwał się długi i chudy — szedłbym o zakład, że za trzy dni figurować będę na liście wybrańców narodu.

— Nie trudnoby to przyszło panu baronowi — odpowiedział towarzysz przeciętny — a mając stosunki z wyższem towarzystwem i bankami, miałbyś pan pod ręką ów „nervus rerum“, który nawet w polityce wielką rolę odgrywa. Zresztą przyjaciele i znajomi wyższych i bogatych sfer prędzejby się zgodzili na pana, niżeli na mieszczanina, który ma fabrykę gwoździ stalowych.

— W tej sferze nie próbowałbym szczęścia — odpowiedział baron z grymasem na ustach—znalazłbym tam wielu rywali a jeszcze więcej zawiści. Udałbym się do ludu, do tych niewidzialnych w dzień powszedni robotników, którzy w niedzielę po „Thiergartenie“ spacerują.

— Jakto, do poczciwych rzemieślników — podjął niski, z twarzą zadowoloną towarzysz— ci pana wcale nie znają.

— Miałbym głównie na widoku tych poczciwych robotników, którzy przepasani siwym fartuchem pchają przed sobą taczkę życia. Dla tych nazwiska nie trzeba, tylko słów wiele obiecujących, haseł, które im serce drażnią, a nędzę ich obiecują przemienić w pałace dostatków. Na ten lep pójdą wszyscy.

Wyjął hawańskie cygaro, i zapalił je z wprawą prawdziwego dżentelmana.

— Nazwisko pana możeby mu w tej roli przeszkadzało — zauważył towarzysz ni długi, ni chudy.

— Czy sądzisz pan — odpowiedział baron, wydmuchując dym na pękatego mieszczanina— że najstosowniejszy do tej roli byłby adwokat? Mógłby im zaraz ofiarować swoję kancelarję (Unter den Linden № 27) do procesów contra plus posidentes!

Adwokat pogładził bakenbardy i uśmiechnął się.

— Byłby to hazard — odpowiedział — bo po skończonym mandacie poselskim mogliby mi zburzyć kancelarją za karę, żem obietnicy nie dotrzymał. Pana barona taka obietnica nie obowiązuje, bo rola jego byłaby tylko rodzajem sportu politycznego, jaki dzisiaj w różnych krajach rówieśnicy jego uprawiają. Wszak na czele anarchistów stoi książę, a radykały francuscy ubóstwiają Markiza!

Rozśmiał się donośnie baron.

— To tylko dowodzi, że ludzie wyższej sfery, trzymają z postępem, że prądom czasu nietylko się nie opierają ale nawet stają na ich czele!

— Dowodzi to także ich krwi rycerskiej, która zawsze w dziejach ludzkości przodowała — zauważył adwokat z nieokreślonym uśmiechem.

— Jeżeli my walczymy — rzekł mieszczanin — to stać nas także i na wodzów naszej sprawy.

— Ależ baron nie chce walczyć za waszą sprawę — wtrącił adwokat — ale przeciw wam, bo chce mandatu od zwykłych robotników, którzy nieprzyjaźnie patrzą na wasze kamienice.

— Socjaliści i anarchiści! — krzyknął z oburzeniem kamienicznik i uderzył pięścią o stół.

— Tak, tak—wycedził przez zęby baron— „trema Bizantia“!

Mieszczanin uczuł lekki dreszcz w plecach i podejrzliwie spojrzał na barona. Adwokat gotował się do obrony jednego i drugiego.

— Są żarty — rzekł mieszczanin przytłumionym głosem, którymi igrać nie można. Nasze kamienice, a nawet pałace z herbową tarczą na bramie, stoją dziś na wulkanie. Nie wiem,

czy w suterenach tej kawiarni nie radzą właśnie w tej chwili podziemne duchy nad dynamitem!

Rzekłszy to, ściągnął nogi pod siebie, aby być jak najdalej od tych suteren. Baron puszczał kółka z dymu.

— Poruszyliśmy temat niewłaściwy do rozmowy w lokalu publicznym,—zauważył adwokat,—bo może nam się dostać od wyznawców albo przeciwników tych nowych prądów. Zostawmy to gustom.

— I kandydatom przy wyborach do parlamentu.

Politycy kawiarni przeszli do innych tematów pogadanki, a nasi dwaj znajomi, wypiwszy herbatę zebrali się do wyjścia. Odźwierny galerji otworzył im drzwi i ukłonił się nisko.

Przecinając ulicę „Unter den Linden“ zatrzymali się kilka chwil. Widok z ulicy był wspaniały. Zawieszone wysoko latarnie rzucały światło elektryczne na falującą rzeszę przechodniów, która jak potok wezbrany poruszała się od zamku królewskiego aż do bramy brandeburgskiej, na której spienione bronzowe rumaki zdawały się rżeć i parskać z nadmiaru jasności.

Prawdziwie to królewska ulica i widok królewski.

Upojony tym widokiem Leliwita westchnął po cichu, bo w tym widoku królewskim znikł jak atom, zupełnie tu obcy i nieznany. Starszy Szolc pociągnął go dalej. Przeszli kawałek ulicy Fryderyka, i skierowali kroki w poprzeczną ulicę św. Doroty, gdzie był hotel Witolda.

Zaraz przy wejściu do bocznej ulicy natknęli na grupę wesołą, która, wracając z libacji w „Thiergartenie", nuciła chórem:

«Heil dir im Siegeskranz».

Byli to patryoci, i jak pieśń okazuje, specyficznie pruscy.

Niedaleko za nimi ciągnęła druga grupa, która nuciła:

«Was ist des deutschen Vaterland?»

Byli to także patryoci, ale już szerszej niemieckiej ojczyzny, którzy uważali to wszystko za swoje, „wo die deutsche Zunge klingt».

Starszy Szolc objaśniał Witoldowi śpiewy tych grup, które nawet w stronnictwach parlamentarnych swój oddźwięk mają.

Nim jeszcze do hotelu zdążyli, zaleciał do ich uszu nowy śpiew, więcej do gwaru jarmarcznego, albo do huku wód wzburzonych podobny. Stawał się coraz wyraźniejszy, coraz

silniejszy i czuć było, że z silnych pochodzi piersi.

Jakoż niebawem zaczerniła się w dali masa ruchoma, niezbyt w porządku idąca. Pogięte kapelusze i twarze po większej części zarosłe przypominały owe kolumny ochotników wojennych, którymi nieraz, osobliwie w ruchach narodowych, posługują się wojska regularne. Pieśń ich nie była wyraźna, a może nawet przygodna, lecz jakoś tak zrozumiałą, jakie zazwyczaj są owe „pieśni bez słów" ulubione przez niemieckich kompozytorów.

Gdy czarna falanga do hotelu się zbliżała, przed którym właśnie stał Witold i Szolc, spostrzegł pierwszy w jednym z pierwszych szeregów, rosłego młodzieńca z miną buńczuczną, który nietylko śpiewał, ale nawet zaciśniętą pięścią prawej ręki wymachiwał w powietrzu.

Zdaje się, że i młody człowiek spostrzegł i poznał stojących przed hotelem dwóch towarzyszy, bo szybko kapelusz na oczy nacisnął i głowę w przeciwną stronę zwrócił.

— Jeżeli się nie mylę—ozwał się Witold,— to twój brat, Karol.

Szolc miał usta zaciśnięte i czoło zmarszczone.

— Być może,—odrzekł,—bo ten zapaleniec jest gotów do wszystkiego. Dziwna, nieokiełz-

nana natura. Zresztą „tout comprendre c'est tout pardonner".

I obaj patrzyli czas niejaki za ruchomą masą, która jak pociąg ciężarowy sunęła się wzdłuż kamienic trzypiętrowych i na rogu ulicy, jakby w przepaść jaką, zapadła.

Widok ten, jak się zdaje dał obu towarzyszom wiele do myślenia, podali więc sobie ręce i w milczeniu pożegnali się.

IX.

W bramie hotelu podał odźwierny Witoldowi kartę. Na karcie było nazwisko i numer pokoju hotelowego.

Szybko wbiegł na schody.

Otworzywszy drzwi numeru ujrzał młodą damę w podróżnym ubiorze, która siedziała na fotelu. Przy niej starsza towarzyszka wyjmowała z otwartego kufra różne drobiazgi kobiece.

— Marto, — krzyknął Witold, — cóż się to stało, żeś nagle tu przyjechała?

Siostra Witolda rzuciła się mu w objęcia.

— Nie gniewaj się mój bracie, — zawołała wśród serdecznych uścisków, — żem cię listem nie uprzedziła. List musiałby być długi, bardzo długi, a tak wszystko ustnie ci opowiem, a zresztą zatęskniłam do ciebie, bo nas tylko dwoje teraz na obszernej wyspie rozbitków.

Zaczęła płakać. Czerwone pręgi wzruszenia wystąpiły na jej twarz bladą, a ręce drżały.

— Cóż się stało?—pytał Witold zaniepokojony.

— Nic się nie stało... chciałam być przy tobie.

— Czyś się obawiała, — odpowiedział Witold z uśmiechem,—abym z resztkami fortuny nie pojechał do Monaco, jak to nam radził wielki kanclerz państwa?

— Czasem i o tem myślałam... ale nie na serjo.

— Dziękuję ci za lepszą opinję o mnie, ale proszę cię nie poddawaj mi tej myśli choćby żartem tylko. Położenie nasze wogóle jest tak rozpaczliwe, że usposabia nas—do wszystkiego.

— Jeżeli rozpaczać, to już razem mój Witoldzie!

Oboje rzucili się w swoje objęcia i długi czas tak pozostali.

Z krainy wzruszeń i cierpień trzeba było zejść do rzeczywistości

Teraz dopiero spostrzegł Witold, że jest trzeci świadek. Niewinny to świadek i zaufany, bo stara piastunka Marty. Przywitał poczciwą

kobietę, która swojej panienki nie chciała samej w świat puścić i serdecznie szorstką jej rękę uścisnął. Zadzwonił na służącego i kazał przynieść herbatę i przekąskę.

Po herbacie wyszła stara piastunka do służby hotelowej, aby tam się poznajomić, zostawiając Witolda i Martę samych, dla poufnej rozmowy.

Po niejakim wstępie o różnych krewnych i znajomych, u których dotąd Marta bawiła, nastąpiło wyjaśnienie jej przyjazdu do stolicy.

— Zostawiłeś mnie Witoldzie, — mówiła Marta — u jednej z ciotek naszej nieboszczki matki w tem mniemaniu, że będzie mi tam bardzo dobrze. Zostawiłeś mi także część pozostałej fortunki naszej. Za jedno i drugie dziękuję ci mój bracie. U ciotki było mi nieźle, a jaki taki fundusik w kieszeni dawał mi nawet pozory niezawisłości. Wszystko to mogło mi wystarczyć na dłuższy pobyt, gdybym się zdecydowała żyć na łasce krewnych. Po dłuższym jednak namyśle i po niejakich, drobnych doświadczeniach zdecydowałam zrzec się takiego łaskawego chleba.

Nastąpiła pauza. W oczach Marty połyskiwały i chowały się łzy. Witold patrzył zamyślony przed siebie.

— Chleb łaskawy,—zauważył,—nie zawsze jest bez ości.

— Nie skarżę się bynajmniej na niego, bo mówię ci, że było mi dobrze. Ale jaka przyszłość? Być na łasce, a przez to samo na usłudze tych, którzy nam chleba dają aż do śmierci?

— Możesz wyjść za mąż—mamy tam licznych krewnych i znajomych, między którymi znalazłby się ktoś, któryby się tobie mógł podobać!..

Marta wstała i szybko przebiegła kilka razy po pokoju.

— Ale czy jabym mu się podobała? — zawołała z pewną ironią w intonacji.

— Dlaczegóż nie?

— Mówisz jak człowiek z okresu romantycznej literatury, a my jesteśmy dzięki Bogu przy końcu wieku. „Fin de siècle!“

— Czyż pod koniec wieku już wszystko ma być pozbawione lepszych uczuć?

— Uczucia lepsze niby są, ale mają warunki nie wszystkim dostępne.

— Jak to rozumiesz?

— Podstawą tych „lepszych uczuć“ jest dzisiaj koniecznie lepszy byt materjalny. Czy temu przeczysz?

— Nie przeczę, ale...

— Powiedz mi szczerze i otwarcie, czy ty sam, z tym małym fundusikiem, który nam

z naszej fortuny pozostał, chciałbyś tych „lepszych uczuć“ szukać u jakiej biednej, bezposażnej dziewczyny?

Witold potarł ręką po czole.

— Ależ to co innego moja Marto, ja szukam teraz pewnego bytu materjalnego, a gdybym go znalazł, to chętnie podzieliłbym się nim nawet z ubogą, bezposażną dziewczyną, gdybym ją ukochał.

Uśmiech ironiczny przebiegł po twarzy Marty.

— Bywają może takie wypadki, ale na nie liczyć nie można. W tych paru miesiącach widziałam mężczyzn z pewnym „bytem materjalnym“, którzy flirtowali ze mną, ale oczy swe na posagi innych zwracali. Może i ty tak kiedy zrobisz, choć się teraz tego wypierasz.

Witold wstał i przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Nie wypieram się tego,—rzekł po chwili,— bo na mnie, jako pozostałej latorośli naszego domu, pewien obowiązek ciąży. Trzeba podtrzymać należytą oprawą nazwisko, które noszę i które potomstwu memu przekażę. Rola jednak kobiety w tym względzie jest inną. Jej nazwisko gaśnie i znika przy tym, którego mężem została.

Marta rozśmiała się i uderzyła brata po ramieniu.

— Wygłaszając piękne zasady, zostawiasz sobie naprzód furtkę mój Witoldzie, pamiętaj tylko, gdzie cię ta furtka zaprowadzić może— bo nic gorszego nad chleb żony.

Witold rozśmiał się także.

Po niejakim czasie ozwała się Marta.

— Powiedziałeś przed chwilą, że oglądasz się za stanowiskiem, któreby mogło ci dać byt materjalny. Czyś co upatrzył sobie?

— Dotąd nic, myślę dopiero nad tem i rozpatruję się. Odszukałem w tym celu naszego kuzynka, który jest urzędnikiem w przybocznem biurze kanclerza. Jakkolwiek nie jest on jeszcze wybitną figurą, jednak z miejsca, które zajmuje może mi dać niejedną cenną informację.

— A młodszy brat jego?—zapytała skwapliwie Marta.

Witold nachmurzył czoło.

— Nie pytaj o to,—odrzekł po chwili,— bo ani mnie, ani starszemu bratu jego nie zrobiłabyś takiem zapytaniem wielkiej przyjemności.

Marta zdziwiona spojrzała na brata.

— Czy różnica zawodu...

— No i to nie zawsze jest na rękę nietylko najbliższym krewnym, ale także i powinowatym. Każdy chce żyć w pewnej sferze, do której się przysposobił, ale sfera ta nie zawsze

chce znać jego krewnych, którzy do innej sfery należą.

Marta zamyśliła się.

— Nie wiem, — odrzekła, — czy sfera jego brata, który jest urzędnikiem leży tak daleko od sfery rękodzielnika, który uczciwie na chleb zarabia.

— Czytałaś nowe książki, ale co w tych książkach piszą, to w społeczeństwo jeszcze nie wsiąkło. Osobliwie mnie, przyznam ci się szczerze, nie bardzo jest na rękę, jeżeli jakiś ślusarczyk nazywa się moim krewnym.

Marta poczerwieniała na twarzy.

— Przecież nie jesteś magnatem, ani dygnitarzem nie jest starszy brat Karola. Jesteśmy podupadli ziemianie.

— Jesteśmy podupadli, dlatego trzeba się dźwigać do góry. Wszedłem tutaj już w stosunki wyższego świata, z czego mogę mieć pewną korzyść. A wiesz dobrze, co to w tym świecie znaczy, jeżeli za nami ciągnie się tam jakiś ogonek.

— Czy myślisz o małżeństwie?

— I to stać się może, chociaż w tej chwili o tem nie myślę. Szukam przedewszystkiem drogi, do lepszego i godnego mnie chleba w jakiej finansowej instytucji, w usługach publicznych, a przynajmniej przy jakiem zyskownem

przedsiębiorstwie, konsorcjach i t. d. Jest to dzisiaj najlepszy chleb, przy którym można nawet mieć wytworne bakalja.

Marta westchnęła.

— Dlaczego wzdychasz? Czy sądzisz że to mogłoby mi ubliżać?

— Bynajmniej, boleję tylko nad tem, że nam kobietom nie wolno szukać dróg takich.

Nastąpiło dłuższe milczenie. Witold przechadzał się szerokimi krokami po pokoju, Marta patrzyła zamyślona na posadzkę.

— W karjerze twojej, — ozwała się, — cóż mógłby ci przeszkadzać rękodzielnik, któremubyś od czasu do czasu rękę podał jako dalszemu krewnemu?

— Tak... ale widzisz, tacy ludzie, żądają zwykle więcej. Szczycą się tymi, co przypadkiem wyżej stoją i z ostentacją z nimi się witają. Znałem pewnego ministra, o którym odźwierny hotelowy wszystkim gościom hotelu opowiadał, że jest jego bratem stryjecznym. Zapewne nie było to miło panu ministrowi.

Marta szybko powstała z fotelu.

— Dziwnie drażliwym jesteś dzisiaj na różnicę zawodów, jakie krewnych dzielą. Jeżeli minister nie dał swemu stryjecznemu bratu jakiego dygnitarstwa państwowego, tylko pozostawił go w służbie hotelu, to czyni mu za-

szczyt niemały, i nie sądzę, aby to tak bardzo go obchodziło.

— Co do naszego kuzynka,—przerwał Witold siostrze,—zachodzi ta różnica, że portjer hotelowy był sobie zwykłym poczciwcem, a twój, jak go nazywasz, kuzynek Karol może zajść tam, gdzie ustają prawa towarzyskie, a panuje kodeks karny!

Marta przybiegła do brata.

— Co mówisz? Nie rozumiem cię!

— Przed godziną prawie, widziałem go maszerującego w tłumie robotników, nucących jednę z tych pieśni, która pachnie zarzewiem i dynamitem.

Marta chwyciła konwulsyjnie brata za rękę.

— Czy mówiłeś z nim?

— Przechodząc koło mnie, nasunął zgnieciony kapelusz na oczy i odwrócił się.

— A ty?

— Nie przyznawałem się wcale do niego.

Marta splotła obie ręce i przeszła się kilka razy po pokoju.

— Może tylko tak przypadkiem przyłączył się do nich,—rzekła po chwili, niby do myśli swoich.

Witold nic nie odpowiedział. Zapalił papieros i otoczył się kłębami dymu. Milczenie trwało dosyć długo. Pierwszy ozwał się Witold:

— Chciałbym teraz wiedzieć Marto, w jakim celu przybyłaś do stolicy?

— W tym samym co i ty Witoldzie,—odpowiedziała z cierpkim uśmiechem, chcę sobie poszukać chleba.

Zerwał się z krzesła Witold.

— Chcesz szukać chleba?

— Nie obawiaj się, nie chcę się uczyć ślusarstwa, ani nawet na medycynę do Genewy nie pojadę, choćby tylko dlatego, że nie mam potrzebnych studjów.

— Cóż chcesz zrobić? Pójść za guwernantkę?

— I do tego brak mi kwalifikacji. Chcę poprostu dalej uczyć się tego, czego mnie uczono. Gram, śpiewam i maluję. Otóż chcę zasięgnąć rady mistrzów, jaki z tych talentów przeważa u mnie, aby ten talent przez naukę dalej kształcić.

Witold odetchnął swobodniej.

— Więc chcesz się poprostu dalej kształcić w śpiewie, muzyce lub malarstwie—to bardzo chwalebnie.

Marta rzuciła się na szyję brata.

— Dziękuję ci,—mówiła wśród uścisków,—żeś taki dobry, że się mi nie sprzeciwiasz. Lękałam się, że mnie odeślesz do ciotki!

Zamilkła, bo łzy stłumiły jej słowa. Oparła

głowę na ramieniu Witolda i zaczęła głośno szlochać.

Witold podniósł jej głowę, poprawił zmierzwione włosy i zaprowadził na sofę.

Nietylko nie sprzeciwiam się temu, żeś przyjechała, — rzekł z uśmiechem pewnego zadowolenia, — ale nawet lepiej będzie, że jesteśmy razem. Trzeba tylko pomyśleć o przyzwoitem pomieszczeniu ciebie, bo w hotelu trudno mieszkać.

— Wszystko obmyśliłam, — zawołała wesoło Marta, — i wszystko przygotowałam. Jest tu wdowa po radcy, u której mogę zamieszkać i oprócz potrzeb życia mieć jej opiekę. Poradziła mi tak pani Sewerynowa, nasza daleka krewna, która ją zna dobrze.

— Na tem skończyła się rozmowa osieroconego rodzeństwa.

X.

Właśnie wybiła godzina dziesiąta, gdy Henryk Szolc, urzędnik w jednym z biur prezydjalnych, wracał z restauracji „pod rakiem“ do domu. Ulica była zaciszna, nie miała wcale szyn tramwajowych i nie dostąpiła jeszcze godności elektrycznego oświecenia. Gazowe la-

tarnie w białem świetle słonecznem wyglądały czerwono, a nieliczni przechodnie mknęli w dal jak duchy tajemnicze. Przy końcu ulicy wszedł starszy Szolc do otwartej bramy, z której właśnie wyjeżdżał lśniący ekwipaż. Na drugiem piętrze otworzył drzwi kluczem, który wyjął z kieszeni i wszedł do swego kawalerskiego pokoju.

Mieszkanko było skromne, ale przyzwoite. Widać było w niem chęci gospodarza, tworzenia sobie pewnego komfortu w minjaturze. Było łóżko rzeźbione z drzewa, naśladującego mahoń. Nad łóżkiem rozpościerała się tkanina naśladująca gobelin. Coś podobnego leżało przed łóżkiem, ale już w guście perskim. Przed kanapką, pluszem obitą, stał na jednej nodze stół podłużny, bogato rzeźbiony, taki sam falsyfikat jak łóżko. Między dwoma oknami czerniło się okazałe biurko niby hebanem wykładane ze złoconą galeryjką. Leżały na niem książki ładnie oprawne, pióra w eleganckich osadkach i kasetki z papierem listowym. Na ścianie wisiało jedno duże zwierciadło, a obok niego jak dwie olbrzymie plamy widać było dwa stare, zciemniałe obrazy olejne z widokami natury.

Była to zwykła godzina, w której młody urzędnik wracał po kolacji do domu, aby miłemu oddać się spoczynkowi. Przygotowanie do

tego odbywało się systematycznie. Zdejmował swoje zwykłe ubranie, natomiast wdziewał szlafrok czerwono wyszywany, nogi wsuwał w pantofle włóczkowe i siadał przed biurkiem, aby przez pół godziny czytać przyniesione z biura gazety. Mógłby to samo był uczynić w zwykłym ubiorze swoim, ale wtedy nie mógłby zużytkować szlafroka i pantofli, które uważał jako komfort niezbędny.

Dzisiaj odstąpił od tego porządku. Ubioru zwykłego nie zdejmował, przy biurku nie usiadł i gazety nie czytał. Chodził po pokoju wszerz i wzdłuż, odstawiał krzesła, które mu zawadzały i byłby nawet stół na bok odsunął, gdyby się nie obawiał jego wątłej podstawy.

Dzień dzisiejszy wyrzucił go nieco ze sfery urzędowej. Był na wykwintnym obiedzie z Witoldem Leliwitą, słuchał koncertu w palmowym ogrodzie hotelu, a potem zrobił z nim romantyczną wycieczkę na rozmowę barw i kwiatów przy moście. Spotkana przy moście piękna kobieta, nie wiele go obchodziła, ale zato wiele dały mu do myślenia zasłyszane w kawiarni rozmowy polityczne, a jeszcze więcej grupy śpiewające na ulicy i przynależność brata do jednej z tych grup. Osobliwie to ostatnie podrażniło jego spokojne nerwy i przyspieszało mu wszystkie tętna.

Wstąpiwszy do służby państwa wszedł tem samem w atmosferę urzędową. Urzędowym nie był we wszystkich wierzeniach swoich, ale sądził, że to mu w jego zawodzie nie zaszkodzi. Mniemał, że wypełniając ściśle obowiązki służbowe, uczyni zadość wymaganiom swoich zwierzchników. Z tego, co wewnątrz czuł i o czem czasami myślał, nie potrzebował zdawać rachunku. Praca i pilność wystarczały, aby dojść do kawałka lepszego chleba.

Bolesne doświadczenia rodzinne wyrobiły w nim pewną uległość dla konieczności. Widział na własne oczy, że szamotanie się z kulą u nogi nie zda się na nic. Przeciwnie, wyczerpie siły życia i porani nogi.

Taką filozofję życia wyniósł z nieszczęść rodzinnych, podczas gdy młodszy brat jego inną poszedł drogą. Młody, pełen życia i zapału rzucił się w odmęt fal wzburzonych, które zazwyczaj przy końcu wieku perjodycznie wznoszą się i burzą. Doświadczenia rodzinne spotęgowały tylko w nim tę skłonność młodzieńczą i rzuciły go dalej i głębiej w ten odmęt, niżeli może sam zamierzał.

Dla spokojnego temperamentu i spokojnych widoków Henryka nie było to miłem widowiskiem, gdy młodszego brata dzisiaj widział w tłumie tych, przeciw którym sfery rządowe

walczą, lub przynajmniej argusowem okiem je obserwują.

Widokom jego w obranym zawodzie mogło to zaszkodzić, a nawet wprost tego zawodu pozbawić. Było więc nad czem myśleć i chodzić długo w noc po pokoju, nie włożywszy na siebie szlafroka ani pantofli na nogi.

Jedna tylko myśl pocieszała go. Młodszy brat wszedłszy między rzemieślników, tak jakoś sferę swoją polubił, że się zupełnie od niego oddalił. Nie przychodził do niego, a nawet na ulicy unikał spotkania. Możnaby sądzić, że jakiś antagonizm panował między nimi, że jeden drugiego nienawidził. Taki antagonizm panuje czasem w rodzinie. Drobne ścieranie się zdań, inne upodobania, odmienne słabostki, forytowanie przez rodziców jednych a lekceważenie drugich rodzą podobne antagonizmy, które od drobnych rzeczy poczęte, wsiąkają potem w dojrzalsze umysły.

Starszy brat tłómaczył to sobie inaczej. Wyrozumiały dla siebie, był także wyrozumiały dla drugich. Oddalenie się młodszego brata od niego wziął za pewną delikatność, która temuż tylko zaszczyt przynosi.

Zrazu były niemałe między nimi utarczki. Starszy o wiele lat Henryk przedstawiał młodszemu bratu zaraz w początku, że, wybierając

zawód rzemieślniczy, powinien już zamknąć się w swoim zawodzie. A gdy potem spostrzegł, że zapalny i gotów do wszystkiego młodzieniec wchodzi na drogi strome i przepaściste, usiłował go z tych zawrócić. Chciał go przekonać, chciał go inaczej nastroić, ale usiłowania jego odniosły ten skutek, że młodszy brat od niego się oddalił, a nawet zerwał z nim związki krwi, wyparłszy się między dzisiejszymi towarzyszami swego pochodzenia.

Jakkolwiek niepoprawność brata gniewała go niemało, w zachowaniu się jego widział pewną szlachetność. Chciał on widocznie przy swojem wytrwać, a widokom starszego brata bynajmniej nie szkodzić.

Ta mniemana szlachetność była cenną dla Henryka, ale nie mogła go zupełnie uspokoić. Nie wiedział, jak daleko Karol zajść może, co się z nim stanie i do czego sama jego młodość pełna zapałów i urojeń popchnąć go może. A w takim razie obaczą wszyscy jednego brata po jednej, a drugiego po drugiej stronie.

Już sam podział takich ról nie był dla Henryka pożądany.

Nad tem więc przemyśliwał w tej chwili. W spokojnem dotąd życiu poczuł przeciąg wiatru, który mógł w burzę się zamienić i żagiel jego łódki potargać.

W łódce tej było mu dotąd dosyć wygodnie. Obrawszy sobie za cel kawałek lepszego chleba, oddał się fali, która go do tego celu zaprowadzić miała. Pod falą, na której płynął, mogła być wprawdzie otchłań niezgłębiona, mogło roić się od potworów ruchomych i nieruchomych polipów, ale cóż to obchodzić go miało? Wszak rozum ludzki zbudował łódź, na której płynąc niekoniecznie można się dostać między mieszkańców otchłani.

Co z tej łódki dzisiaj widział nie było dla niego zjawiskiem niemiłem. Nic go wprawdzie nie zachwyciło, nie szarpnęło roskosznie za nerwy, ale też i nie zakłuło ani drasnęło boleśnie. Wiedział, że cel jego jeszcze daleko, a to co teraz widzi, jest tylko zwykłym widokiem, przy którym podróżny może na chwilę się zatrzyma, ale wnet go porzuci i za sobą zostawi.

Wejście do nowego zawodu było dla niego dość szczęśliwe. Przełożony biura, sędziwy radca, przyjął go jako syna, albo przynajmniej terminatora. Powiedział mu naprzód długie kazanie pełne życiowych morałów. Wyszedłszy z ogólnie ludzkich poglądów, przeszedł do wymagań służbowych i obowiązków dla państwa. Powiedział mu, że znajdzie w nim opiekuna, doradcę i przyjaciela, byle tylko tego stał się

godnym. A chroniąc go, jak się wyraził, przed złem towarzystwem zaprowadził go zaraz drugiego dnia do grona swojej rodziny.

Rodzina składała się oprócz rodziców, z sześciu córek, z których tylko jedna była zamężna, pani assesorowa. Inne żyły w dziewiczym stanie, zapełniając sobie życie czem było można. Najstarsza była literatką, t. j. tłómaczyła z szwedzkiego różne powieści, a nawet poezje dla dzienników familijnych. Druga malowała na porcelanie, ale że talent ten przynosił rodzinie zamiast spodziewanych korzyści, tylko straty, zamieniła ten talent na robótki szydełkowe, z których rodzina miała jaki taki pożytek. Trzecia, nazwana przez jednego z przygodnych adoratorów „uroczą Lorelei“ niczem się nie zatrudniała. Czasami czytała „Familienbuchy“, czasem upinała firanki i portjery, w czem była mistrzynią, a najczęściej patrzyła do zwierciadła, przed którem godzinami siadywała. Jakkolwiek przygodny adorator, przeniósłszy się do innej branży znikł z widowni rodziny, zostało jakby wspomnienie po nim nazwisko „Lorelei“. Tak ją nawet w domu nazywano, a nawet wierzono, że posiada urok owej czarodziejki Renu, która umie przywabiać do siebie.

I słuszna była ta opinja rodziny. W każdem większem zebraniu, czy to na gruncie rodzin-

nym, czy na parkietach, tak zwanych „Tanzkränzchen“ była Lina otoczona chwilowymi adoratorami, a na jej korzyść trzeba przyznać, że żadnego z nich w otchłań Renu nie pociągnęła, jak jej patronka „Lorelei“.

Gdy Henryk po raz pierwszy w tem kółku rodzinnem stanął, spotkał się zaraz z ciemnymi oczyma Liny. Zapewne i siostry jej to spostrzegły, bo odtąd nie narzucały mu się, tylko zostawiały go w spokoju, rozmawiającego z Liną.

Przyjemnie było samotnemu Henrykowi wejść od czasu do czasu w to grono rodzinne, zamiast w dymie kawiarnianym wyczekiwać dziesiątej godziny.

Rodzinie pana radcy sprawiał ten przybytek także pewną przyjemność, tem więcej, że referendarz dr. Gustaw przeniesiony został do Gdańska.

Tak stały rzeczy. Radca, który z zasady nic w domu nie mówił, aby tajemnic biurowych nie zdradzić, był kontent z gościa, który w rodzinie jego pełnił rolę „causeura“. Czy zaś poza tem nie miał względem gościa dalszych zamiarów, o tem nikt nie wiedział. To samo możnaby i o rodzinie powiedzieć, a nawet o samej „Lorelei“, która lubiła się bawić, śmiać i żartować.

Zdawało się Henrykowi, że odwiedziny domu

pana radcy do niczego go nie obowiązywały. Za filiżankę herbaty, albo za talerz zupy mówił i opowiadał przez parę godzin, a to uspakajało go, że nie jadł i nie pił za darmo. Zresztą przyjemność towarzyska była obopólna. On bawił się przyjemnie, rodzina radcy także się bawiła. Wiedział, że do zabawy nieznaczna szermierka słów i spojrzeń jest potrzebna, ale to żadnej strony nie obowiązuje.

Niemałą dla niego przyjemnością było spostrzeżenie, że radca szczerze mu sprzyjał. Zmuszony z zasady do milczenia w rodzinie i towarzystwie, rad z nim rozmawiał w biurze. Miał do niego zaufanie, a w ferworze rozmowy odsłaniał się przed nim jak przed towarzyszem swoim. Wypowiadał nawet rzeczy, które mu w mózgu ciężyły, a które słyszane poza drzwiami biura, mogły mu nawet zaszkodzić. Kilkoletnie pożycie ze swoim pomocnikiem zadzierzgnęło jeszcze bardziej ten stosunek poufny, od czego wyjątek stanowiły tylko tajemnice urzędowe.

Czy ten przyjacielski stosunek radcy miał na celu jakie widoki rodzinne, czy chciał on tylko przygotować sobie godnego siebie kiedyś zastępcę — o tem trudno wiedzieć.

Henryk wiedział tylko, że radca mu sprzyja i że za jego protekcją może dojść do lepszego

kawałka chleba. Wmówił w siebie, że radca nie ma w tem innych widoków familijnych, bo sam także podobnych widoków nie miał.

Chodziło mu o życzliwość radcy i o niej w tej chwili myślał. Obawiał się, że zachowanie się brata, może mu tę życzliwość odjąć, jeżeli radca o tem sie dowie.

Gdy się już dosyć po pokoju nachodził, i mózg swój różnymi kombinacjami zmęczył, wydały mu się wszelkie obawy niepotrzebne. Horyzont rozjaśniał się przed nim coraz więcej, a gdy zdjąwszy ubranie, do łóżka się położył, było już wkoło niego tak jasno i pogodnie, jakby stał na górze i z politowaniem na padoł patrzył.

Sen skleił wkrótce strudzone powieki, ale na to tylko, aby we śnie odsłonić mu to, czego na jawie nie widział.

Oto zamajaczył najprzód przed nim tum miasta rodzinnego, za nim dachy i kominy znanych mu dobrze domów, a za nimi pola i łąki zielone, po których, będąc dzieckiem, tak rozkosznie biegał. Dalej widział zakręt Noteci, nad brzegiem której bielił się dworek lipami otoczony, to dwór rodzinny jego matki... Nagle zmienia się widok. Szeroka rzeka toczy swe nurty po niezmiernej płaszczyźnie... po tych nurtach pędzą parowe statki, a wokoło roz-

brzmiewa pieśń: „Was ist des deutschen Vaterland!... Tam w małej osadzie utworzonej z białych domków rozciąga się na prawo mur szary z pnącym się po jego ścianach winogradem. Poza tym murem widać białe kamienie i złociste krzyże, jako pamięć po tych, co posnęli i już się nie przebudzą!... Tam między nimi jest także grób jego matki. Leży w obczyźnie, nie ma ani kamienia, ani krzyża! Ojciec...

Tu zbudził się nagle. Popod okna przechodził właśnie jakiś tłum, który nucił:

«Heil dir im Siegeskranz»!

XI.

Radca Hugo Abelarius już od godziny był w swojem biurze. Pozmiatał proch z wczorajszych papierów, których woźnemu nie wolno było ruszyć, i przeczytał leżące na stole „Fliegende-Blätter“, jedyne illustrowane pismo, które oczy jego widzieć mogły. Teraz patrzył co pięć minut na zegarek i na drzwi wchodowe. Poruszał głową na znak niezadowolenia, a nawet wymówił kilka słów, ale tak cicho, że ich sam nie słyszał. Mimo to przeląkł się czegoś i szybko zbliżył się do drzwi drugich, czy tam czego nie

usłyszy. Tam było cicho i głucho, tylko dźwięk drutów biegnących po ścianach zdradzał, że wielki kanclerz państwa porozumiewa się ze swemi biurami telegraficznie.

Wreszcie otwarły się drzwi wchodowe. Wszedł Henryk.

— Zacny przyjacielu — zawołał uradowany radca — cóż się to z tobą stało? Byłeś wczoraj przy moście na rozmowie barw i kwiatów, z bławatkiem w butonierce... i cóż znalazłeś ją... tę przyjaciółkę cichą i stateczną, wierną do zgonu, która nawet katafalk nieboszczyka męża obkadza lepszem kadzidłem, niżeli jałowcem!... Czy znalazłeś ją?

Henryk zmieszał się mimowolnie.

— To nie ja pytam cię — mówił dalej radca Abelarius — ale pyta nasza „Lorelei“, a jak jej nie odpowiesz, to użyje wszelkich guseł czarowniczych swojej patronki.

I zaśmiał się radca serdecznie i szczerze. Henryk rozśmiał się także, ale nie tak serdecznie.

— Właśnie przyjechał mój krewny do stolicy — zaczął po chwili, ale radca przerwał mu nagle:

— Wiem, wiem... jakże się tam nazywa... Leliwita, który niedawno sprzedał naszej komisji kolonizacyjnej swój majątek rodzinny...

Henryk zagryzł usta.

— Był zmuszony subhastą do tego — odrzekł.

— Czyż to nie jest istne dobrodziejstwo dla Księstwa ta nasza komisja kolonizacyjna, tak okrzyczana w poznańskich dziennikach!

Henryk nic nie odpowiedział. Zaczął porządkować papiery na swojem biurku.

— Dzięki Bogu, prawił dalej radca, bez hałasu, bez przymusu robi komisja swoje interesa. I co do tego pana Leliwity... jakież to znowu pokrewieństwo Szolca z Leliwitą?

— Matka moja była cioteczną siostrą...

Radca nachmurzył czoło.

— Jakież to pokrewieństwo—odburknął— jesteś pan Szolcem, a to powinno wystarczyć. Każdy już wie, czem pan jesteś. Radzę nawet panu na tem poprzestać.

Twarz Szolca przeciągnęła się nieznacznie.

— Pokrewieństwo to brat i siostra — mówił dalej radca — a sięgać tam gdzieś do Adama i Ewy i rozpinać gałęzie genealogicznego drzewa, to rzecz średnich wieków! Jeżeli człowiek nie rad przyznaje się, że jakiś tam dziesiąty kół w płocie był oszustem lub złodziejem, to nie powinien się znowu nadymać, że jakaś tam ciotka ciotecznej babki była za podejrzanym markizem. Ale to już taka sła-

bość ludzka. Trzeba jednak uważać, aby ta słabość nam nie przeszkadzała.

Zrozumiał Henryk te dobre chęci radcy, nie mógł jednak ich przełknąć.

— Radca ma poniekąd słuszność — mówił zwolna — ale są związki, choćby odleglejsze, które nas wiążą i pokrzepiają.

— Rozumiem trzymać się tego, co nas w górę pociąga, ale unikać trzeba drzewa, które upada.

Ożywiła się twarz Henryka, coś cisnęło mu się na język, ale nic nie powiedział. Uznał bezskuteczność walczenia z radcą, który w zdaniach swoich zdawał się być nieomylnym. Nieraz musiał puszczać mimo uszu takie zdania, jak przystało podrzędnemu aplikantowi wobec swego zwierzchnika. Tem się tylko pocieszał, że wewnątrz pozostaje zawsze sam sobą, mimo tego co słyszy. A słyszeć trzeba było coraz więcej, a niejedno wypadało nie słyszeć.

Szczęściem radca nie był tak uparty, wypowiedziawszy raz ostrzejsze zdanie, cofał je potem nieznacznie, obcinał jego kanty i osłodził w końcu po przyjacielsku. Takie ustępstwo wymagało także ustępstwa ze strony Henryka, co sprawiało że w końcu nie było między nimi wielkiej różnicy.

Niewiadomo czy radca Abelarius wchodził

przez to w sferę przekonań swego pomocnika, ale to pewna, że pomocnik mimo wiedzy musiał zabarwiać się od refleksu, który padał od zwierzchnika. Wymagało to jego położenie i było rzeczą naturalną.

Radca w swoich rannych pogadankach zrobił teraz przerwę. Umaczał pióro i zaczął papiery przeglądać. To samo uczynił i Henryk.

— Otóż byłbym zapomniał — zagadnął po chwili radca, odkładając pióro — a chciałem cię mój zacny przyjacielu o coś zapytać. Czy widziałeś wczoraj w nocy te bandy, przeciągające ulicą św. Doroty? Słyszałeś jak śpiewały?

Niespokojnie spojrzał Henryk na radcę. Złe przeczucie, które go w nocy trapiło, mogło się spełnić. Radca mógł go zapytać o brata... mógł...

— Te zbory, te pieśni—prawił dalej radca jakby do myśli swoich, obowiązkiem służby w mózgu długo uwięzionych—te pieśni, na ulicy, to dziwne „signum temporis“! Szyller w swoim poemacie „Dzwon“ tak plastycznie to maluje! Słychać najprzód szmer w kotle, w którym się spiż topi, potem syk i warczenie, a w końcu ryk dzikich zwierząt! A co ten ryk znaczy, co on przyniesie, czy zniszczy i spali, czy co dobrego uleje?...

Teraz był Henryk przekonany, że radca

zmierza do tego, czego on najmocniej się obawiał. Widocznie wie, gdzie jest brat jego i jaką tam odgrywa rolę. Niepokój ogarnął go, bo nie wiedział co na to mógłby odpowiedzieć.

Radca zrobił dłuższą pauzę. Zdawało się że patrzy na mistrza, któremu poeta każe dzwon odlewać, że słyszy słowa jego potężne jak ryk ognistej lawy, wylewającej się do formy z gliny...

— Prądy, prądy w organizmie ludzkości — rzekł po chwili radca, kiwając z powagą siwą głową, jak Mentor nad figlami dziecka — prądy, powiadam ci, nic więcej jak prądy!... Fale, które o ląd uderzają, wiatr, po głazach się przesuwa, nic więcej! Jak ruch powietrza ogrzanego na piaskach Sahary przynosi nam ciepło i skwary, po których drugi ruch z północy wieje na nas zimnem lub mrozem... tak też i w dziejach ludzkości bywają ciepła, skwary i zawieruchy śnieżne! Ale jak nikt nie myśli, że skwary i mrozy przez całe lata trwać będą, tak też niema się co obawiać, że prądy i ruchy ludzkości nigdzie się nie zatrzymają. Przeciwnie, jak płodozmianem żyje ziemia, tak samo żyje, a nawet odżywia się ludzkość owymi ruchami i prądami.

Henryk odetchnął wolniej. Przekonał się, że radca tylko teorję ruchów ludzkości ma na

myśli, a o jego bracie Karolu może wcale nic nie wie.

Trzeba wiedzieć, że radca Abelarius za młodszych lat swoich pisywał dla pism naukowych rozprawy treści społecznej. Później, gdy wielki kanclerz i sędziwy pan jego zażądał od urzędnika rygoru koszarowego, umilkł Abelarius, a nawet z tymi co piszą, wszelkie zerwał związki. Mimo to, opowiadała Henrykowi rozkoszna Lorelei, że radca, gdy cała rodzina we śnie spoczywa, wstaje z łóżka, w szlafrok się ubiera, i zamknięty w swoim pokoju, do rana pisze. Co pisze? to tajemnicą nietylko dla świata, ale i dla rodziny.

W tych więc oderwanych zdaniach o prądach i ruchach widział Henryk tylko ułamek owej pracy tajemniczej, a że w całości jej nie znał, nic nie mógł odpowiedzieć. Ruszał tylko głową z góry na dół i z dołu do góry, jakby chciał przez to powiedzieć, że się z radcą zgadza, chociaż słowami tego nie stwierdza.

Niczego wiecej nie wymagał radca. Prawdopodobnie pracował całą noc, a teraz chciał ulżyć sobie i wypowiedzieć w kilku słowach to, co pod kluczem w biurku uwięzione zostało.

Niedługo jednak trwał spokój Henryka. Radca wstał z fotelu, zbliżył się do swego powiernika i czas niejaki badawczo patrzył na niego.

— Młody jesteś mój przyjacielu — rzekł zwracając się w inną stronę — a w młodości odczuwamy najmocniej te prądy i ruchy społeczeństwa. To też i winy nasze z owych czasów nie są tak wielkie, jakiemi je chcą mieć paragrafy kodeksu. Bo od czegóż młodość, od czegóż ogień pod kotłem, jeżeli nie od tego, aby grzał i palił? Czyż ogień winien, jeżeli kocioł pęknie i katastrofę zrobi?... Winni kotlarze!

Radca spojrzał na Henryka, jakby z jego twarzy chciał coś wyczytać.

Henryk zaparł oddech. Był pewny, że radca zmierza teraz do owych band wczorajszych, ze śpiewami maszerujących. Ogarnął go niepokój.

Radca położył rękę na jego ramieniu i uśmiechnął się.

— Czy wiesz mój przyjacielu — rzekł patrząc mu w oczy — że i ja będąc młodszym odczuwałem te prądy... i nietylko czułem je biernie, ale porwany przez nie pomagałem im, wedle sił moich?

Henryk uczuł ciepłą rękę radcy na ramieniu. Wstąpiła weń otucha, że radca, który prawdopodobnie wie o wszystkiem, chce po przyjacielsku się z nim rozmówić i przyjacielskich rad mu udzielić. Z wdzięcznością spojrzał na radcę.

— Tak jest — odpowiedział — prądy i ruchy były w dziejach ludzkości, i teraz się na nie zanosi. W sądzeniu jednak tych ruchów trzeba odróżnić tych, co ten ruch bezpośrednio wywołują od tych, którzy wirem ruchu porwani mimowoli z nim się łączą, lub jako zwykli spektatorowie przemocą porwani zostali.

Zdawało się Henrykowi, że te słowa zmniejszą winę jego brata, jeżeli radca o nim mówić zacznie.

Radca zdawał się nie słyszeć tych słów. Zapatrzony w powietrze mówił dalej:

— Przypominam sobie dobrze — jest temu wiele dziesiątek lat — gdy się drzwi Moabitu otworzyły, a chude, blade postacie wyroiły się z ich czeluści. Przygotowano dorożki aby je wywieść z muru więzienia... ale lud rzucił się na nie, wyprzągł konie, i sam wiózł je przez ulice miasta! Był to dzień jakiegoś tryumfu, który nie miał nazwy, ale który każdy z nas w piersi swojej odczuwał! Spiewaliśmy pieśni Herwegha... no, i Koernera! A było nam przy tem tak roskosznie, tak słodko, jakbyśmy biesiadowali przy stole samego Boga!

Zbliżył się gorączkowo do Henryka i ciszej szepnął mu do ucha:

— Czy wiesz, że i ja byłem między tymi, którzy z roskoszą zaprzęgli się do wozów?

Zmienił nagle wyraz na twarzy rozgorączkowanej i z trwogą spojrzał na drzwi.

W tej chwili zadźwięczał drut telegraficzny głośniej niż zwykle. To kanclerz państwa wysyłał rozkazy.

Nastała dłuższa chwila milczenia. Henryk był już pewny, że radca do jego brata zmierza, że to wszystko wstęp tylko do gorzkiej pigółki, którą tenże po przyjacielsku osłodzić mu pragnie.

— W dobie panujących ruchów społecznych — nieśmiało ozwał się Henryk — nietylko historyk, ale i sędzia tego czasu powinien być nader wyrozumiały. Młode porywy nie widzą jasno ani celu, ani granic, odbywają się często w pewnych, choćby najszlachetniejszych wierzeniach — w stanie niepoczytalnym.

Zdawało się teraz Henrykowi, że swego brata należycie zabezpieczył od możliwych zarzutów radcy.

Radca jednak skrzywił się na jego słowa.

— Nie nazwałbym tego stanem niepoczytalności — odrzekł — bo na dnie tego, co się w danej chwili dzieje, jest zawsze pewna świetlana iskra, możesz ją nazwać ideą, która zapala to, co dopiero po pewnym przeciągu czasu wydaje światło potrzebne ludziom w ciemnościach nocy dziejowych...

Silnie ozwał się teraz dzwonek elektryczny w biurku radcy. Ręka, która drut nacisnęła, musiała być silną i stanowczą.

Henryk znał dobrze tę rękę i wiedział, kiedy ona naciska. I radca znał ją, to też twarz jego zmieniła się nagle. Obaj spojrzeli na siebie z niepokojem.

To kanclerz państwa woła radcę Abelariusa.

Radca przeciągnął ręką po twarzy, aby z niej zetrzeć to, co kanclerz mógł przeczytać — na prędce uporządkował swój ubiór, wziął papiery pod pachę i niepewnym krokiem wyszedł z biura.

Henryk pozostał sam. W jego głowie mieszało się to wszystko, co wczoraj był widział i co dzisiaj od radcy usłyszał. Czuł, że coś mu grozi, ale nie umiał tego nazwać. Być może, że kanclerz państwa przywołał radcę po to, aby mu okazać swoje niezadowolenie z jego pomocnika. Być może, że tenże w takim razie służbę utraci, albo co gorsza, będzie przeniesiony do ziem zachodnich, tam gdzie jego matka z tęsknoty umarła, a ojciec rozum utracił.

Obawy te wyczerpywały prawie jego siły. Radca nie wracał długo, a każda minuta przynosiła nowe strachy, nowe złowrogie domysły. Ztorzeczył bratu, że szaleństwem i

krewkością swoją wszedł mu w drogę, którą chciał iść do spokojnego portu życia.

Wreszcie usiadł na fotelu i zdał się na łaskę i niełaskę losu. Przygotował się na najgorsze, jak się ongi przygotował Sokrates do wypicia cykuty!...

Otwarły się drzwi — wszedł radca.

Radca miał twarz rozpromienioną, a w ręku duże, zapieczętowane pismo. Posuwał językiem po bladych ustach, jakby z nich oblizywał jakąś słodycz.

— Ekscellencja był dzisiaj dla mnie bardzo łaskawy — ozwał się do skamieniałego Henryka — mówiliśmy wiele o rzeczach pobocznych, a nawet pytał, z którego brawaru najlepiej smakuje mi piwo. Ekscelencja chwalił „Waldschlösschen“, a właśnie takie widziałem przed nim jako „Frühschopen“.

Henryk odetchnął wolniej, ale o nic nie pytał. Było to w porządku rzeczy, bo radca o sprawach urzędowych nigdy nie mówił.

— Była nawet o tobie mowa, mój przyjacielu — mówił dalej radca — pytał, jak się tam ten Szolc nadaje. Oczywiście odpowiedziałem mu, że jestem kontent i że posiadasz całe moje zaufanie.

Henryk ukłonił się radcy. Twarz jego ożywiła się, oczy zajaśniały dawnem życiem.

— Ekscellencja — ciągnął dalej radca - patrzył czas niejaki na mnie bardzo łaskawie, a potem ozwał się: jeżeli ten Szolc posiada zaufanie swego zwierzchnika, to niechże to pismo zaniesie według wskazanego adresu. Tu wręczył mi ten zapieczętowany pakiecik.

Radca położył ten pakiecik przed Henrykiem.

— Winszuję ci tej łaski Jego Ekscellencji— mówił przytem radca z uśmiechem szczęśliwego człowieka — ale oraz przestrzegam cię, że ten list może być — listem Urjasza!

Henryk spojrzał z ciekawością na zwierzchnika.

— Tam gdzie ten list oddasz — ciągnął dalej radca — możesz obaczyć bardzo ładną kobietę, o której fama niesie, że już niejednemu Ikarowi podpaliła skrzydła!... Ale strzeż twoich skrzydeł, bo jak się Lorelei o tem dowie, to gotowa ze złości znowu wybić swego „bibi“, jak to wczoraj uczyniła, obaczywszy cię na moście z bławałkiem w butonierce.

Henryk rzucił okiem na pakiet zapieczętotowany i przeczytał:

„Herminja hrabina von Hohenest“.

Myślał przez kilka chwil, jakby sobie coś przypominał, ale radca przerwał mu:

— Śpiesz się mój synu, Bóg z tobą!

XII.

W hotelu przy ulicy św. Doroty upłynęła ta noc również niebardzo spokojnie.

Witold długo chodził po swoim pokoju i porządkował to wszystko co dzisiaj zaszło. Przyjechał był do stolicy bez wyraźnego programu. Chciał się w większem świecie obejrzeć, czy co dla siebie nie znajdzie. Sprzedaż majątku rzuciła go nagle na drogę, po której miał iść własnemi siłami. Drogi tej dotąd nie widział, ale zdawało mu się, że na szerszym świecie ją znajdzie.

Pozostały ze sprzedaży fundusik był stosownie do jego położenia za mały, aby nim coś rozpocząć. Mógł on tylko użyczyć środków do życia na czas jakiś niedługi, i do odszukania w tym czasie lepszego bytu materjalnego.

Rozumie się, że tradycyjnym instynktem przyszła mu najprzód myśl—dobrego, bogatego ożenienia się. A co do tego miał wszelkie prawo.

Najprzód odebrał wychowanie staranne co do ogłady zewnętrznej, chociaż skąpe do nauki. Mówił biegle kilkoma językami, miał postawę i maniery pańskie i ten nieoceniony zmysł francuski mówienia wiele i ładnie o wszystkiem,

a nawet o tem, czego sam nie rozumiał. Sprzyjała mu do tego powierzchowność wytworna, wyróżniająca go od tych, którzy przy twardej pracy długie lata ślęczeć musieli.

Największym jego skarbem była wiara w siebie. Wierzył, że wszystko zrobić potrafi. Mógłby być wielkorządcą kraju, ministrem, a nawet ambasadorem. Znał wybornie obyczaje wyższego świata, a w dyplomacji mógłby szachować państwa i narody, i grać przy tem grę podwójną.

Takie były jego aspiracje przy gorętszym napływie krwi do mózgu, w chłodniejszych zaś chwilach miał skromniejsze widoki. Mógł otrzymać posadę wyższą w jakiej instytucji finansowej, albo zawiadywać większym interesem. W braku tego wszystkiego przemyśliwał nad zawiązaniem spółki dla eksploatacji nafty w Galicji lub szukania węgla.

Wszystko to majaczyło w dalszym planie, ale nic wyraźnego jeszcze nie dojrzał. W braku tego, trzeba było uporządkować wydarzenia dnia ubiegłego i stworzyć z nich program, choćby tylko na jutro.

W tych wydarzeniach pierwsze miejsce zajęła nieznana, ujrzana dwa razy młoda kobieta. Nie spodziewał się wielkich rzeczy z tego wydarzenia, ale było mu przyjemnie, gdy się zja-

wiła przed jego okiem. Rozciekawiało go, kto ona jest, a zwykła próżność kazała mu wierzyć, że spojrzała na niego nieobojętnem okiem. Nie myślał na serjo o tem, coby stąd wyniknąć mogło, gdyby ją poraz trzeci ujrzał i do niej się zbliżył, ale próżność jego obiecywała mu sukcesa choćby tylko chwilowego flirtu. Przemknęło mu także po głowie, że to może być kobieta bogata, wyższego rodu, a w takim razie mógłyby odpaść aspiracje jego co do posady w instytucjach finansowych i przedsiębiorczych.

Było to mrzonką chwilową, jakich tysiące cisną się do mózgu młodego człowieka, nie przywiązywał do niej żadnej wagi, a nawet odpędzał od siebie—ale jakiś złośliwy djablik podsuwał mu ją ciągle i słodko go nią omamiał.

Wiązało się z tem drugie zdarzenie dnia. Marta przyjechała, aby się dalej kształcić w muzyce i w śpiewie. Arystokratyczna jej dystynkcja mogła ją zbliżyć do owej damy nieznanej. Nic łatwiejszego wtedy, jak stać się doradczynią, powiernicą tej damy, i utorować bratu drogę do jej serca, gdyby było trudniejsze do zdobycia.

Dwie więc pozycje mógł już dzisiaj zapisać do rubryki „habet“. Jedną pozycją był kuzyn, odnaleziony z przybocznego biura kanclerza,

co zawsze coś znaczy — drugą była Marta, przybyła do stolicy. O trzeciej pozycji z odmiennej rubryki, o młodszym Szolcu w tej chwili nie myślał.

O jedno piętro niżej, gdzie pierwszą noc przebyć miała Marta ze swoją piastunką, panowała inna atmosfera. Nie była ona tak roskoszna, nie miała żadnych kunsztownych kombinacyj. Proste, zwykłe obrazy przemykały przed oczyma Marty. Rozmowa z piastunką przeniosła ją do utraconej niedawno wioski rodzinnej. Widziała ten dwór biały, w którym się wychowała, drzewa, które go ocieniały, i łąki, z których kwiaty zbierała, lub uganiała się za motylami.

Przy tej sposobności przypomniała sobie, że po tych łąkach biegał z nią starszy chłopiec, którego kuzynkiem nazywała. Zrywał dla niej najpiękniejsze kwiaty, i łowił najokazalsze motyle. Raz nawet wpadł do wody i o mało co nie utopił się, ale złowionego motyla nie wypuścił z ręki. Przestraszyła się bardzo, ale przestrach ten przemienił się wkrótce w jakąś roskosz niewysłowioną.

Dzisiaj wyrósł ten chłopiec na dorodnego, młodego człowieka. Zostały mu dawne oczy, pełne iskier i energji, brwi zrośnięte razem i czoło połyskujące światłem woli stanowczej.

Ale w jakich warunkach widzi go dzisiaj. Wybrał sobie zawód, w którym wprawdzie ręka twardnieje, ale serce może być zawsze tkliwe dla uczuć szlachetnych.

I gdzież to ulokował on swoje młode, szlachetne porywy? Dokąd mogą go one zaprowadzić i co z niego zrobić?..

Te myśli niemiłe burzyły jej krew, a serce ściskało się jakiemś niewymownem uczuciem.

Zdawało się jej wtedy, że na dnie tego uczucia jest coś więcej, niżeli przypadkowe odszukanie człowieka, który, będąc małym chłopakiem, zbierał dla niej kwiatki i łapał motyle.

A przytem przemknęła nieznacznie po jej głowie myśl, skrzętnie tajona, że może właśnie odszukany ten kuzynek był powodem przyjazdu jej do stolicy... dla dalszego kształcenia się w muzyce, w śpiewie.

Nie chciała się przyznać do tej myśli, i aby się jej pozbyć, snuła rozmaite marzenia swoje co do nauki i sukcesach w śpiewie i muzyce. Zdawało się jej, że może zostać sławną artystką, może za koncerta swoje zbierać krocie... ale gdy już te krocie miała w swojej kasetce, wtedy, dziwnym trafem pojawił się znowu w jej marzeniach ten mały chłopiec, który dla niej zrywał kwiatki i łapał motyle.

Ta mieszanina myśli i marzeń młodych wypełniła znaczną część nocy, a gdy dzień zaświtał, potrzeba było myśleć o sprawach dziennych, a o wszystkiem innem zapomnieć.

Jakoż zaraz z rana przyszedł do niej Witold na śniadanie, przy którem mieli omówić, co w dniu dzisiejszym zrobić trzeba. Przedewszystkiem trzeba było Martę przyzwoicie ulokować. Witold na razie miał zostać w hotelu.

Zaraz po śniadaniu wybrali się oboje do owej wdowy po radcy krajowym, do której adres posiadała Marta.

Pani radczyni była osoba sędziwa, miała twarz zacną i wesołą. W pokojach panował wzorowy porządek. Przyjęła Martę z radością, pokazała jej schludne dwa pokoiki, nawet z komfortem urządzone i przyrzekła opiekę prawdziwie macierzyńską.

Witold był rad z tego i prędko oboje przystali na warunki, które nie były wygórowane.

Po przybiciu targu wyszli oboje na miasto. Marta nie znała jeszcze stolicy, Witold postanowił pokazać jej najprzód najciekawsze gmachy. Obejrzeli z zewnątrz zamek królewski, zbrojownię, teatra, kilka kościołów, a spuściwszy się ulicą „Unter den Linden“ ku bramie brandeburskiej, weszli do „Thiergartenu“ i tamże niedługą odbyli przechadzkę. Wracając na-

powrót, zatrzymali się przed tramwajem okalającym miasto.

Z tramwaju wyskoczył nagle Henryk Szolc. Przypadł do Wiktora z twarzą rozpromienioną.

— Mam ważną dla ciebie nowinę, — zawołał, nie patrząc prawie na Martę.

Witold wpadł mu w słowo:

— Przedstawiam ci kuzynie nieznaną ci dotąd kuzynkę. Marta, moja siostra.

Henryk spojrzał na towarzyszkę Witolda.

— Co za szkoda, — rzekł, ściskając jej rękę, — że pewne, przyjemne wrażenia tak prędko po sobie następują. Przed chwilą poznałem pewną damę... teraz poznaję kuzynkę, która maże to wszystko, com przed godziną był widział.

— Cóż to za dama była? — zapytał Witold ciekawie.

— Nasza wczorajsza znajoma.

— Blondynka?

— Tak!

— Czy być może?

— Od niej wracam.

— Jakaż droga tam cię zaprowadziła?

Henryk przypomniał sobie, że to była droga urzędowa, i że o tej drodze jako o tajemnicy biurowej mówić, nie może.

— Nie pytaj o to, — odrzekł, — w obranym

moim zawodzie są pewne granice, poza któremi odpowiadać nie mogę.

Witold pomyślał nad tem chwil kilka i uśmiechnął się.

— Czy można zapytać jak się nazywa?

— To przecież nie jest tajemnicą żadną. Nazywa się: hrabina von Hohenest.

— Hrabina Hohenest, — powtórzył Witold z pewnem zadowoleniem, — czy... mężatka, czy panna?

— Wdowa, która dopiero zdjęła żałobę.

Witold spojrzał na ziemię i uśmiechnął się. Henryk zwrócił się do nowej kuzynki.

— Przepraszam panią... kuzynkę, że zaraz na wstępie tak dla mnie przyjemnego poznania mojej kuzynki, mówię o drugiej kobiecie.

— Być może, że ta druga kobieta, — podjęła Marta, — pozostawiła po sobie takie wrażenie, jakiego nowa kuzynka zmazać nie potrafi!

— Nie do mnie to się odnosi, szanowna kuzynko, ale do jej brata Witolda.

— Jeżeli tak, to bez urazy będę dalej słuchała.

— *Comme de raison* i ja ciekawie słuchać będę, — dorzucił Witold. — Opowiedz krótko.

— Właściwie przyszedłem do ciotki młodej hrabiny, pani Herminy Hohenest. Stara, chuda przyjęła mnie w salonie. Więcej nie było ni-

kogo. Wypełniwszy urzędowe zlecenie, miałem już odejść, gdy z poza kotary wychyliła się ładna główka, a za nią z pośpiechem cała postać do salonu wpadła. Zatrzymała się przedemną, jakby mego zaprezentowania się oczekiwała. Nie uważałem tego za potrzebne, ale ciotka zaspokoiła jej ciekawość.

— A ona?—zapytała figlarnie Marta.

— Ona może nawet nie dosłyszała mego nazwiska, tylko prędko odrzekła: Widziałam pana wczoraj... przy wystawie modniarki, w towarzystwie drugiego towarzysza, który mię uderzył... swojem podobieństwem do jednego z moich kuzynów. Czy można zapytać, kto jest ten towarzysz pana?... To znowu mój kuzyn,—odpowiedziałem. Zdaje mi się, że lekki rumieniec przemknął po jej twarzy.

— Zlituj się,—zawołał Witold,—to za wiele naraz... chodźmy na śniadanie.

— Wracam do biura.

— To przyjdź na obiad do hotelu.

I wszyscy troje podali sobie ręce. Witold gorąco uściskał dłoń Henryka.

XIII.

Witold szedł dalej z Martą. Marta zwracała widocznie uwagę przechodniów. Wiotka jej po-

stać uginała się wdzięcznie w szerokich fałdach czarnej zarzutki. Czarny kapelusik z białem piórem odbijał od ciemno-blond włosów, a francuska rozmowa brata wypełniała charakterystykę ludzi należących do wyższej sfery. Oglądano się za nimi i przystawano, bo młoda para była bardzo dobraną.

Pomiędzy tymi, którzy z uwagą ją śledzili, odznaczał sie pewien młody, przyzwoicie ubrany człowiek o zdrowej twarzy i czarnych brwiach, razem zrośniętych. Z szafirowych oczu wybiegały gorączkowe spojrzenia to na towarzyszkę Witolda, to znowu padając na ziemię, nadawały jego twarzy wyraz głębokiego zamyślenia. Kilka razy przechodził na drugą stronę ulicy, aby nieznacznie tej parze zajrzeć w oczy i kilka razy cofał się lub zatrzymywał przy wystawie sklepowej, aby nie być przez nią widzianym. A gdy oboje weszli do hotelu, młody człowiek stał długo po drugiej stronie, wpatrując się w ciemną sień, w której Marta jak widmo utonęła. Wreszcie spuścił głowę, i ze spuszczoną głową szedł dalej, jakby go nic więcej na ulicy nie obchodziło. Na rogu ulicy zapadł się nagle jakby w podziemiu.

Była to piwnica, do której schodziło się po kilku schodach. Drzwi malowane na czerwono, przypominały owe stare obrazy, przedstawiające

piekło z wydobywającym się z czeluści płomieniem.

Gdy młody mężczyzna te drzwi otworzył, otoczyła go atmosfera dymu i swędu, a do jego uszu doleciały słowa:

— Szolc, Szolc idzie! Zrobić mu miejsce!

I przy długim stole siedząca rzesza rozsunęła się na prawo i na lewo, robiąc dlań w środku miejsce honorowe.

Młodszy Szolc zdjął z kędzierzawej głowy miękki, pogięty kapelusz i pozdrowił swoich towarzyszy.

Przeważna ich część składała się z robotników twardej, codziennej pracy. Stare, do warsztatów przeznaczone ubiory, gdzieniegdzie sine bluzy, jednoczyły się w zgodzie z lepszem przyzwoitem paltem, lub fantazyjnym raglanem. Obszerny lokal oświecony był z góry podłużnemi, zaledwo ponad bruk uliczny wystającemi oknami. W ciemniejszych kątach paliły się świeczniki gazowe. Walka dwóch świateł zabarwiała fantastycznie à la Rembrandt ostre twarze pracowników na chleb powszedni. Niektóre z nich były pokryte zmarszczkami trosk i przygód życiowych, niektóre miały wyraz zadowolenia przy lekkiem zabarwieniu lic i nosa, u innych, przy idjotycznym wyrazie oczu pierwsze miejsce trzymał nos fjoletowy. Na stole

leżały resztki jadła i stały kufle z piwem. Dym tytoniu unosił się ponad głowami biesiadników, i czynił wrażenie, jakby wprost z głów ich wychodził.

Bo też paliło się właśnie w tych głowach. Niezadługo miały się odbyć wybory do parlamentu, a kandydaci nie zaniedbują poruszyć w takim razie umysły tych, którzy do urny dają najwięcej głosów.

Właśnie kilku kandydatów rozrzuciło otwarte listy do swoich zacnych wyborców, w których obiecywano im poprawę ciężkiego ich losu i osłodzenie gorzkiego chleba.

— Towarzysze, — odezwał się jeden z biesiadników w przyzwoitym surducie,—niech nam Szolc coś powie o tych kandydatach.

— Szolc, Szolc niech mówi! — ozwano się chórem.

— On więcej wie od nas wszystkich, a jednak z nami trzyma.

— Dlaczegoż sam nie jest kandydatem?

Młodszy Szolc nadpił przyniesiony kufel piwa, ale się nie odezwał. Myśli jego wybiegły przez okno podłużne gdzieś na ulicę, szukając tam kogoś ze znajomych, a nawet krewnych!...

Okrzyki powtarzały się, ale on zdawał się być głuchy. Posmutniał nawet, chociaż te okrzyki wielce mu pochlebiały.

— Hej, zacny obywatelu i towarzyszu,— zawołał stary biesiadnik o siwym włosie a poradlonem czole, wyciągając do niego rękę grubemi żyłami qplecioną,—cóż to oniemiałeś na głos twoich braci, jakimi nas wszystkich nazywasz?

Karol Szolc potarł ręką po czole, jakby się chciał obudzić. Spojrzał w koło siebie, jakby się chciał przekonać, gdzie się właściwie znajduje. Ocknął się, a szafirowe jego oczy zapaliły się jak dwie pochodnie.

— Towarzysze czarnego chleba, — zawołał powstając,—jestem jak zawsze na wasze usługi, czegoż chcecie?

— Wybory przed nami!—zahuczały liczne głosy, — kandydaci wpraszają się jak natrętne komary, co o nich mamy sądzić?

— Szolc niech będzie kandydatem, na barkach naszych poniesiemy go do parlamentu!

Karol Szolc powiódł dumnym okiem do koła.

— Niestety,—zawołał, donośnym głosem,— nie mogę dostąpić tego zaszczytu, bo napisana ustawa nie pozwala tak młodym, jak ja, odzywać się na ławie prawodawców. Ustawa chce, aby świat był stary, aby się nigdy nie odmłodniał. Przekaz ten pochodzi jeszcze z rzymskich czasów, które nie pozwalały przed trzydziestym

rokiem życia odzywać się w sprawach publicznych.

— To znieść taką ustawę, — krzyknęło kilka głosów.

— Jakim sposobem? — pytano tu i ówdzie.

— Jeśli nie dobrowolnie, to — gwałtem!

Roziskrzyły się oczy Karola Szolca.

— Towarzysze — zawołał — usłyszałem tu słowo, które kończy sprawę naszego twardego chleba, ale dzisiaj jeszcze za wcześnie na to. Pierwej musimy się zbić w kupę i zliczyć. Sama liczba okaże, że jesteśmy górą. Przedewszystkiem starajmy się o tę liczbę imponującą, która nam da zwycięstwo. Wieloryb jest olbrzymim potworem morza, ale ginie marnie jeżeli małe, niewidzialne prawie robaczki w jego paszczy się zagnieżdżą. Stoczą olbrzymie cielsko, jak toczy niewidzialny chrząszczyk całe lasy drzew kilkowiekowych.

Zahuczała piwnica jednogłośnym okrzykiem. Kilkadziesiąt szorstkich, narobionych rąk wzniosło się w górę.

— Niech żyje Szolc! — zawołano — niech nam żyje!

Rozpoczęła się głośna rozmowa, z której połyskiwały iskry jak z podłożonego zarzewia. Padały słowa ciężkie i donośne, przytłumione szumem jakimś podziemnym, który zwiastuje

wybuch wulkanu. Grupa najgorętszych cisnęła się do Karola Szolca, a on dawał im niby hasła do dalszych gwarów.

Dym zaciemniał cały lokal, a gazowe płomyki były podobne do żarzących węgli. Gwar mieszał się z dymem, a cała przestrzeń lokalu była podobna do wnętrza kotła, w którym coś wre i kipi.

W najciemniejszym kącie siedział wyrostek o bladej, prawie bezmyślnej twarzy. Oczy jego szare patrzały, szeroko otwarte przed siebie. Nic nie było tam widać prócz jakiegoś, nieokreślonego marzenia. Lekki mech zaledwo zaczynał ocieniać lekko wystającą brodę. Płowe włosy rozrzucone były po płaskiej głowie niedbale, jak u indyjskiego fakira.

Właśnie zbliżył się do niego kulawy robotnik w sinej bluzie. Czerwony, wypłowiały szalik okręcał mu szyję, a nogi obciśnięte były wytartą materją kraciastą, która ongi okrywała nogi stołecznego dandysa.

— Cóż nicponiu — zawołał robotnik do wyrostka — czy znowu myślisz o niebieskich migdałach? Czy ci znowu skacze po mózgu jaka zaklęta królowa? W warstacie nie byłeś, to i jeść nie będziesz!

Sąsiad wyrostka, w lepszem ubraniu, czeladnik ślusarski, spojrzał ciekawie na robotnika, marzącego o zaklętych królowach.

— A skądże mu się to wzięło, ojcze Marcinie — zapytał mniemanego opiekuna.

Ojciec Marcin wziął od kelnera kufel piwa, postawił na stole i usiadł przy nim.

— Pytacie, skąd się Frycowi wzięły te królewny zaklęte — odpowiedział — on sam na to odpowiedzieć nie potrafi. Coś czytał, coś złapał uchem, coś widział i ot wszystko. Gdym go wziął z ulicy do roboty był zrazu potulny jak baranek, a ciągnął jak osioł. Ale wnet jakiś zły duch wlazł w niego. Przeczytał kilka książek, w których rycerze uwolniają zaklęte księżniczki i zaraz zaczął marzyć, aby zostać takim rycerzem. Ukleił nawet sobie z papieru szyszak, tarczę i miecz obosieczny, machał tym mieczem po strychu, aż wszystkie myszy wystraszył!

Rozśmiał się ślusarz serdecznie.

— Trzeba go było dać do teatru.

— Zaraz i to będzie. Dałem mu raz kilka groszy na widowisko, to zaraz nazajutrz cały dzień nic nie robił, mówiąc, że zostanie aktorem. Podobała mu się arena publiczna, podobało mu się, że ludzie na niego patrzeć będą o nim mówić i pisać. Chodził jak indyk nadęty wkoło śmietnika na podwórzu i machał

rękami i gadał do siebie jakby był w roli Rynaldyniego.

— Czegóż nie został aktorem?

— Bo coś innego mu do głowy przyszło. Był raz na koncercie, na który dostał się przypadkiem jako robotnik oczyszczający galerje. Gdy ujrzał muzyka jak go publiczność oklaskami nagradzała, powziął myśl zostania muzykiem artystą. Odtąd zarzucił scenę i oddał się muzyce. Zrobił sobie sam skrzypce, a w braku fortepianu przebierał palcami po gzymsach na ulicy.

— Ależ to geniusz uniwersalny! z śmiechem zawołał ślusarczyk.

— Nicpoń, co się zowie. Leniwiec, spioch, nic robić nie chce.

Wyrostek ułożył twarz do uśmiechu, jakby słyszał najpiękniejsze pochwały. Bezbarwne jego oczy zamigotały nawet pewnem światłem.

— Patrzcie, jak się ten nicpoń jeszcze śmieje — zawołał gniewnie ojciec Marcin, śmieje się, choć cały dzień jeść nie będzie. Nie wiem nawet, czem on żyje.

Ślusarczyk spojrzał na wyrostka.

— Jeżeli ci tak dobrze na świecie — rzekł do niego — to pociągnij z mego kufla, a może i mnie lepiej będzie.

Wyrostek chwycił kufel i wyciągnął do połowy.

— Spust ma dobry — zawołał ojciec Marcin — byle tylko chęci do pracy nie brakło.

Wyrostek obtarł rękawem usta. Bezbarwne oczy jego zamigotały teraz jakąś barwą, która była pośrednią między barwą morza, a nieba.

— Jabym robił — ozwał się z uśmiechem zadowolenia — ale chciałbym, aby przy robocie ludzie na mnie patrzeli. W ciemnym warstacie robota nie idzie mi w ład, ale gdyby tak na wysokiej kamienicy dach stawiać, lub krzyż na wieży zakładać... na którą by ludzie z dołu patrzeli, mówiąc: co to za człowiek odważny! Czy on spadnie, czy nie spadnie?...

— Warjat, czysty warjat — zakonkludował ojciec Marcin.

— Pragnie sławy i rozgłosu — uzupełnił ślusarczyk.

W piwniczej restauracji uciszyło się teraz. Przez czerwone drzwi wszedł jakiś człowiek, na którego zwróciły się oczy obiadujących. Nastąpiły pojedyncze znaki i spojrzenia.

Nowy gość, który sprawił to szczególne wrażenie, był sobie bardzo zwykłym człowiekiem. To tylko uderzało w nim, że miał ubiór porządny i prawie nowy, ale jakoś do swojej figury nie dobrany. Widać było, że nie zawsze

nosił ten ubiór, a jego postawa zdradzała, że częściej używał munduru jednej z instytucyi publicznych, która przywykła nawet do rozkazów.

Toteż wprawne oko robotników poznało to odrazu. Jedni drugim udzielili w sposób tajemniczy swoich spostrzeżeń, a gromka przed chwilą rozmowa przybrała nagle łagodny wyraz towarzyskiej zabawy.

Nowy gość przeszedł się kilka razy po obszernym lokalu, przemówił coś do jednego i drugiego kelnera, a zażądawszy kufla piwa, usiadł przy stole, tuż naprzeciwko Szolca. Popijając jęczmienny nektar, patrzył na niego z pod oka. Po chwili wydobył z kieszeni jakby pugilares i zaczął tam czegoś szukać. Stojący opodal spostrzegli w tym pugilaresie fotografie, w które nowy gość z uwagą się wpatrywał.

Spotrzeżenie to dało powód do nowych znaków, które jak iskra elektryczna obiegły cały stół dokoła.

Właśnie skończył się wczas obiadowy, a bijąca na zegarze godzina dawała hasło do pracy.

Zaczęli się rozchodzić robotnicy i czeladź rozmaita.

Pozostał tylko Szolc i pozostał siedzący naprzeciw niego gość ostatni.

Szolc nie widział go. Siedział zamyślony, podparłszy ręką wypukłe czoło. Oczy były nieruchome, jakby cała ich siła i życie były na wewnątrz zwrócone.

Inaczej patrzały oczy nowego gościa. Zdawało się, że wyjdą zupełnie z czaszki, obiegną zamyślonego Szolca jak węże do koła i zduszą go jak ongi dusiły Laokona.

XIV.

Stolica gotowała się teraz na serjo do zimowego sezonu. Ogródkowi i zamiejscy goście wracali do dusznych szynków i restauracji. Salony pierwszopiętrowe i pałace były już uporządkowane i gotowe do przyjęć zimowych.

Przy ulicy „Fryderyka“ pracowano także pilnie przez cały tydzień. Odebrano lokatorowi napowrót dwa odnajęte pokoje i przyłączono do wspaniałej amfilady. Obito ściany chińskim kretonem, ozłocono gzymsy a drzwi i okna obciągnięto bursztynowym lakierem. Zmieniono także część umeblowania, ustawiono żardynierki z egzotycznemi roślinami, a w głównym salonie uwieńczono okazały, liliowym aksamitem obity, puf, rośliną szerokolistną, której liście tworzyły rodzaj baldachimu. Pod tym

baldachimem naokoło pufu mogło się pomieścić kilka par w poufnej rozmowie, nie widząc wcale sąsiednich towarzyszy.

Salony hrabiny Herminji Hohenest były już gotowe do przyjęcia łaskawych gości.

Młoda wdowa w uroczym negliżu przechadzała się już kilka godzin po tych salonach, zapełniając je swemi zimowemi marzeniami. Złotawe loczki kryły się jeszcze pod koronkowym czepkiem, zwinięte w kunsztowne papiloty, z których miały się dopiero rozsypać jak kaskada na białe ramiona, gdy przy oświeceniu wieczornem zbiorą się liczni spektatorowie.

A ta pora już wkrótce nastąpi, najdalej za kilka godzin. Dosyć czasu na zmianę toalety, a teraz, wypada mniej więcej rozpatrzeć się pomiędzy nadesłanemi kartami tych, którzy obiecali swą bytność.

Karty te leżą na stoliku ciotki Herminji. Ida weszła do pokoiku ciotki.

Ciocia Herminja nie wyglądała jeszcze teraz nader ponętnie. Siwiejące skąpe włosy nakrywały bezładnie dosyć okazałe uszy, a twarz zżółkła i pomarszczona nie miała jeszcze na sobie tych specyfików, jakimi już obdarzano drzwi i okna. Zwykły bawełniany szlafroczek pokrywał chude rusztowanie, na którym miała być rozpięta z fioletowego jedwabiu, suknia wie-

czorowa, jaką miała hrabina Herminja zainaugurować pierwszy raut pożałobny.

Ida zbliżyła się do stolika i zaczęła przeglądać spis kart rozesłanych i nadeszłych odpowiedzi.

Z pomiędzy kart wizytowych wyjęła jednę, z czarną, żałobną obwódką. Na karcie był herb artystycznie wykonany i napis francuski „Chevalier de Leliwita“. Zaraz przy nim była zwykła karta „H. Szolc“.

— Więc przyjdą obaj,—rzekła Ida, niby do myśli swoich.

— Przynajmniej obiecał mi Szolc, że przyjdzie z kuzynem,—odpowiedziała ciocia z pewnym uśmiechem nieokreślonym;—tylko nie wiem zaprawdę, do jakiego z kuzynów twoich ma on być podobny.

— Mniejsza o to,—odparła figlarnie Ida,—wszak nie zna naszych krewnych. Coś mu się powie, a reszty...

— Sam się domyśli, że ów podobny do niego kuzyn jest dla niego ekstra wymyślony.

— A gdyby tak było w istocie...

— Przecież nie będzie tak niedomyślnym.

— Spodziewam się.

— Masz koncepciki, ale radzę ostrożnie z nimi. Przypominasz sobie owego rotmistrza od dragonów?

— Ależ to głupiec, nie poznał się na żartach, jakich nie odmówi sobie żadna młoda kobieta. Ritter von Leliwita nie pójdzie za jego śladem.

— Dobrze się prezentuje, widać, że z dobrego gniazda. Mówią, że babka jego była przyrodnią siostrą naszych książąt Radziwiłłów.

Uśmiech zadowolenia przebiegł po twarzy Idy. Szafirowe jej oczy wybiegły gdzieś w dal, poza okna szarej kamienicy, poza dachy przeciwległych domów i spoczęły tam wysoko na różowej chmurce, oblanej światłem zachodzącego słońca.

Weszła służąca i zapowiedziała przybycie fryzjerki.

Ida pobiegła do swego pokoju a ciocia hrabina wyszła do służby, aby przed toaletą wydać jej ostatnie rozkazy i własnem okiem obejrzeć przygotowane na wieczór chłodniki i przekąski.

Dwie długie godziny upłynęły. Dwóch lokai obeszło koleją wszystkie pokoje, aby się przekonać czy wszystko w porządku. Wszystko lśniło się i świeciło. W kandelabrach i żyrandolach były już świece, na stołach leżały kunsztownie ułożone albumy, fotografie i książki w wyzłacanej oprawie. Palisandrowy fortepjan odkrył białe zęby i czekał na różowe paluszki artystki.

Kwiaty w żardynjerkach wydawały ostatnie swe dzienne tchnienia, aby wonią odurzającą napełnić salon i przyległe pokoje.

Była cisza uroczysta, lokaje wyszli na palcach, a zmrok roztaczał swe cienie i okrywał powoli wszystkie przedmioty tajemniczą przysłoną.

Wreszcie wytrysnęło światło z jednej świecy, potem z drugiej i trzeciej, a niebawem rozwidniły się wszystkie pokoje, jakby słońce w nich było.

Wspaniale wyglądały wszystkie sprzęty, posadzki się lśniły, zwierciadła odbijały kilkakrotnie to co widziały, pomnażając przepych i urok.

Zaszeleściła ciężka jedwabna suknia. Hrabina Herminja zjawiła się pierwsza w pustym jeszcze salonie. Blask świec jarzących oświecił jej twarz wyrazistą, czyniąc ją podobną do owej „matki rodu“, która przed pół wiekiem chodziła po deskach teatralnych. Z pod grubej warstwy bielidła wybijał się rumieniec gorączkowy, wywołany wzruszeniem i oczekiwaniem tego, co dziś nastąpić miało. Oczy miały jakiś wyraz niemiły, ale zacięte wąskie usta uśmiechały się z zadowoleniem. Wolnym krokiem przeszła przez wszystkie pokoje i starannie wszystko obejrzała. Wróciwszy do salonu zatrzymała się

przy pufie, rozkładając jak najszerzej zwieszone nad nim liście. Istny uśmiech Mefistofela igrał przy tem na jej twarzy, chociaż ramiona, jakby zmęczone, pochylały się ku ziemi.

Zaszeleściła teraz druga suknia. Ze swego buduaru wyszła Ida, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Z drzwi tych wychodziło światło różowe i wstydliwie wciskało się na kobierce salonu.

Ida wyglądała uroczo. Miała suknię z czarnego barerzu, ubraną różowym atłasem. Była to niby pozostałość żałoby, oświecona jutrzenką nadziei. Złotawe włosy z greckiego węzła rozsypały się po bladej szyi, otaczając jakby aureolą twarz bladą o uroczych ustach i oczach szafirowych. Na pół otwarta suknia odsłaniała biust liljowy, z którego wychylała się bladoróżowa kamelja.

Przybiegła jak sylfida do ciotki i objęła ją różowymi rączkami.

— Czy wiesz ciociu, — rzekła pieściwie,— że smutek owładnął me serce... czy wiesz skąd on pochodzi?

— Z histerycznych kaprysików twoich, jak mawiał dr. Gustaw, zapisując ci proszki z cukru i pigułki z chleba.

— Przypominam sobie, że taki sam wieczór był u nas, gdy mój nieboszczyk Otton...

— Zostawmy nieboszczyków w ich grobach familijnych, nie mąćmy im spokoju. Miałabym większe prawo do takich wspomnień od ciebie... zostałam sama jedna z rodziny i taką pozostanę... a przed tobą jeszcze cały świat otwarty.

Ida spuściła głowę i zamyśliła się.

— Któż wie, co mnie na tym świecie czeka?

— To zależy od ciebie samej.

Ida pokręciła głową.

Nietylko odemnie samej, — szepnęła, — to zawisło, ale także od ludzi i Boga.

Na dalsze rozmyślania nie stało czasu. Przed szarą kamienicą ozwał się turkot powozów, goście zaczęli się schodzić.

XV.

Weszła olbrzymiej postawy pani pułkownikowa, za nią małego wzrostu, a dobrej tuszy, pułkownik. W równych odstępach, jakby na komendę, weszli major udekorowany, a za nim kapitan ze złotym medalem. Za mundurami pojawiły się fraki, jedne w towarzystwie kobiet, inne same. Salon zaczął się coraz więcej napełniać, a przez garderobę, jako poufna przyjaciółka, wpadła zadyszana wdowa po kapitanie

rezerwy, przepraszając hrabinę Herminję, że się o pięć minut spóźniła.

Teraz otworzył lokaj drzwi na rościerz, a na progu salonu ukazała się łysa głowa i twarz wygolona w złotych okularach. W butonierce czarnego fraka widać było wstążeczkę niepośledniego pruskiego orderu.

Hrabina Herminja podbiegła do niego.

— O jakże się cieszę, — zawołała, podając mu rękę,— że wszyscy dawni znajomi, raczyli znowu nasz dom nawiedzić, a do tych w pierwszym szeregu należy zacny nasz radca!

Przybyły gość pełnił niegdyś służbę przy poselstwie pruskiem w Bawarji, dzisiaj przy zwinięciu tych posad przeszedł w stan spoczynku z tytułem radcy legacyjnego. Od czasu do czasu używano go jednak do poruczeń szczególnych, osobliwie przy zawarciu różnych traktatów handlowych.

Radca legacyjny, jak to widać po jego twarzy, był zadowolony ze swego chleba, dobrze zasłużonego. Na grubych ustach był uśmiech poczciwego człowieka, który spokojnie w nocy zasypia po trudach przebytych. Twarz była należycie wypełniona i gładka, nozdrza i uszy były w ustawicznym ruchu jak u zająca, gdy chwyta powietrze. Okrągłe, w złotej oprawie okulary przysłaniały mu oczy, których trudno

było obaczyć. Ruchy jak i cała postać jego były należycie zaokrąglone. Każdy krok jego jak i giest ręką zdawał się być najprzód obmyślony jak u aktora na scenie. Widać, że długie lata spędził w szkole dyplomacji lżejszego gatunku.

Kłaniał się wszystkim uniżenie, witał się z wszystkimi, ale zawsze z pewnem odróżnieniem rangi i pozycji społecznej. Różnica ta jednak była tak nieznaczną, że nikt jej nie spostrzegł prócz niego samego. Ponieważ lubił muzykę, siadywał na fotelu tuż za fortepjanem, w głębi framugi okna. Zajęte w ten sposób stanowisko uwalniało go od mieszania się do ogólnej rozmowy i pozwalało mu przyglądać się całemu ruchowi w salonie. Starsza tylko jaka dama uszczęśliwiła go czasem, z którą rozmawiał uprzejmie, nie tracąc przytem innych gości w salonie.

— Pójdź radco na swoje uprzywilejowane miejsce,—rzekła hrabina Herminja, — obaj jesteście starsi o rok z okładem, ty radco i twój fotel.

Radca legacyjny uśmiechnął się słodko i odparł, że tylko na nim samym widać różnicę tego roku, a na zacnej gospodyni i fotelu, tego wcale nie widać. Co do hrabiny Idy, to ta stała się młodszą o kilka wiosen.

Obie hrabiny podziękowały za komplement byłego dyplomaty, który z godnością i wdziękiem ulokował się na swoim ulubionym fotelu.

Wszedł teraz Witold ze swym towarzyszem.

Wejście Witolda sprawiło pewne wrażenie. Dosyć słusznego wzrostu, swobodny w ruchach, w wytwornym ubiorze, wszedł do salonu z tą lekkością, z jaką wchodzi człowiek urodzony w atmosferze salonów. Wyróżniał się wielce od innych, którym nietylko ubiór odświętny, ale nawet kandelabry i żyrandole odbierały wiele swobody. Młodość i dystynkcja sprawiły wrażenie na kobietach, które ciekawie wypytywały się o niego. Zgasł przy nim jego towarzysz skromny i widocznie nieśmiały.

Hrabina Herminja przywitała go uprzejmie, dziękując za pamięć jej zaproszeń i prosząc go, aby i nadal swego miłego towarzystwa im nie odmawiał. Ida ukłoniła się tylko wdzięcznie a kilka słów, które wymówiła, były po większej części niedosłyszane.

Z tą samą uprzejmością powitano także i Szolca, poczem nastąpiło poznanie się wzajemne z resztą gości.

Po tej ceremonji cofnęli się obaj towarzysze w głąb salonu, aby udzielić sobie wzajemnie różnych uwag o spotkanych tu gościach. Szolc

znał niektórych i dawał potrzebne wyjaśnienia towarzyszowi.

— Ten łysawy blondyn zwie się baron Raff,— ozwał się Witold do towarzysza,—któż to taki?

— To członek parlamentu, z przekonania należy do Welfów, którzy zawsze jeszcze marzą o ściślejszej swojej ojczyźnie.

— I nigdy o tem nie zapomną, — dorzucił Witold.

— Przynajmniej wiele czasu upłynie, zanim się z dzisiejszym stanem rzeczy pogodzą.

— A ten rudawy jegomość w okularach?

— To profesor z Bawarji, należy w parlamencie do „centrum“, i często głosuje razem z posłami naszego kraju.

— Nie spodziewałem się tak dobranego towarzystwa.

— Ten z najeżoną czupryną, młody brunet, jest z zawodu adwokatem używanym przy sprawach karnych. Poza tem uprawia politykę i w kołach liberalnych odznacza się opozycją przeciw wszystkim uchwałom parlamentu.

— A ten blondyn z gładko uczesanymi bakenbardami?

— Jest adherentem towarzystwa katolickiego i przemawia zawsze za wolnością stowarzyszeń, a tem samem za powrotem do państwa członków stowarzyszenia Jezusowego.

— Szczególne zebranie, — odpowiedział po krótkim namyśle Witold,—i to w stolicy państwa.

— Zapewne przypadkowe, na drugi raz zmienią się może kulisy. A co do tego jegomościa za fortepjanem...

Tu opowiedział Henryk w krótkich słowach curiculum vitae radcy legacyjnego.

Witold nałożył lornetkę i dobrze mu się przypatrzył. Ujrzał typ biurokraty na pensji, zadowolonego z chleba do śmierci.

Teraz właśnie przechodziła koło nich Ida, prowadząc pod rękę swoją przyjaciółkę. Niby od niechcenia zatrzymały się obie, a grzeczny ukłon Witolda dla nieprezentowanej jeszcze kapitanowej wywołał na ustach Idy uśmiech przelotny.

— Pozwól pan,—rzekła do Witolda,—że go przedstawię mojej przyjaciółce pani kapitanowej.

Witold ukłonił się po raz wtóry, a zanim coś na to odpowiedzieć zdołał, Idy nie było już przy nich.

— Muszę się z panem wykłócić, — ozwała się kapitanowa,—ale do tego trzeba wygodniejszej pozycji.

Rzekłszy to zrobiła ruch ręką aby szedł za nią. W odległym kącie salonu usiedli oboje na małej kanapce.

— Przyznaję się z góry do wszystkich win,— odpowiedział Witold z uśmiechem, — a za to spodziewam się łagodnego wyroku.

— Dwa tygodnie temu,—zaczęła kapitanowa,—stałyśmy z Idą przed wystawą modniarki, gdy pan ze swoim towarzyszem zatrzymałeś się obok nas. Moja przyjaciółka tak była pewną, że to jej kuzyn nagle z Australji przyjechał, że już chciała do pana przemówić, gdy nagle błąd swój poznała. Zawstydzona tą pomyłką, opuściła wystawę modniarki i nie pozwoliła mi obejrzeć dokładnie nowego fasonu kapelusza, który mi się bardzo podobał.

— Uznaję moją winę, że byłem tak śmiały przybrać podobieństwo kuzyna hrabiny Hohenest...

— I jeszcze śmielej patrzyć za nami, gdyśmy odchodziły.

— I do tego się przyznaję, ale to już nie była moja wina, ale tych za którymi patrzyłem.

Skłonił się z galanterją. Kapitanowa uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Jakiż za to wyrok wydać na pana?

— Możeby jeszcze do tych win, — wtrącił Witold,—dodać ów „most westchnień kwiatowych“.

— Nie rozumiem, o czem pan mówisz.

— O tym prześlicznym bławatku...

Kapitanowa podniosła głowę do góry, jakby sobie coś przypomnieć chciała.

— O żadnym bławatku nic nie wiem. Przez most przejeżdżałyśmy nieraz, bo w tamtą stronę najczęściej robimy nasze wycieczki.

Witold umilkł. Kapitanowa widocznie nie chciała o tem mówić, albo owego spotkania nie spostrzegła.

W tej chwili ozwał się srebrny dzwonek z ręki cioci Herminji.

— Pan doktór Gustaw będzie deklamował— dodała po trzykrotnem uderzeniu w dzwonek. Wszyscy się uciszyli.

Członek liberalnego klubu zaczął wierszowaną humoreskę o wielkiej bryce, do której przyczepiono różne wózki i wózeczki. Ponieważ tym mniejszym wózkom odmówiono osobnych zaprzęgów, więc bryce było za ciężko ciągnąć je za sobą. Trzeba było do bryki więcej koni zaprzęgać, a to nie podobało się właścicielom małych wózków i wózeczków. Sarkały na większy rozchód owsa i siana, na koszta pomnożenia zaprzęgów, z czego groziło niebezpieczeństwo, że wśród sarkania i kłótni cała bryka w błocie ugrzęźnie! Miał to być obraz zjednoczonej Germanji.

Wysłuchano w milczeniu deklamacji, ale oklaski były słabe. Aby długą pauzę, która

po deklamacji bez oklasków nastąpiła, czemś przerwać, usiadła pani pułkownikowa do fortepianu, a po kilku potężnych akordach zanuciła kontraltem pieśń o „królu olch“.

Stara, lecz zawsze piękna poezja Goethego z melodją drugiego mistrza muzyki wywarła wrażenie. Po ostatnich rozstrojonych prawie akordach, z których śmierć wyglądała, uciszyło się towarzystwo. Długi czas panowało głębokie milczenie, wywołane szlachetnym pietyzmem dla obu wielkich mistrzów narodowych.

Po długiem milczeniu przystąpił do fortepianu młody człowiek o długich włosach, w tył zarzuconych. Był to widocznie uczeń Apollina. Na twarzy nie miał zarostu, w niebieskich oczach zdawał się gorzeć ogień westalski.

Po krótkiej przygrywce, w której odzywały się pojedyńcze tony znanej powszechnie melodji, rozpoczął głębokim barytonem pieśń o dwóch francuskich grenadjerach:

‹Es gingen zwei Grenadiere,
‹Sie waren in Russland gefangen›.

Wzniosła melodja splatała się zgodnie z wzniosłymi słowami poety, łączyła się z nimi jak się łączy duch z ciałem, rosła w potęgę jak rosło serce w napoleońskim bohaterze i

zakończyła się hucznymi tonami odurzającej „marsylianki“.

Jeszcze ostatnie tony nie przebrzmiały, gdy po salonie rozbiegł się szmer nieukontentowania.

— Pieśń ta — ozwał się pułkownik — jest dzisiaj anachronizmem. Unosić się nad heroizmem nieprzyjaciela wolno jest tylko żołnierzowi, który sam będąc bohaterem ma także cześć dla heroizmu nieprzyjaciela. Ale naród nie powinien się tem roztkliwiać. Dla niego przystoi tylko słowo: wróg, nieprzyjaciel!

— Przecież na tę pieśń — odparł artysta — składali się dwaj z naszych największych mistrzów słowa i muzyki: Heine i Schubert.

Łagodny uśmiech przebiegł po gładkiej twarzy radcy legacyjnego. Uważał sobie za obowiązek zażegnywać sprzeczki i różniące się zdania w poglądach na państwo i naród.

— Pieśń ta — ozwał się ze swego fotelu — czyni nam zaszczyt niemały. Dowodzi ona, że naród niemiecki cenił zawsze wysoko piękne momenta w dziejach ludzkości, choćby one odnosiły się do innych narodów. Z entuzjazmem witano u nas odrodzenie się Grecyi, zarówno jak walkę plemion słowiańskich z niewolą turecką. W braku własnych bohaterów politycznych, szukaliśmy ich nawet u starożytnych narodów, albo w spółczesnych państwach ościen-

nych — ale odkąd nasza Walhalla napełniła się naszymi bohaterami, odkąd kolumna zwycięstwa za bramą brandeburską wyniośle ku niebu wystrzeliła, odtąd niepotrzeba nam modlić się do obcych świętych. Mamy własny kalendarz narodowy, z którego poezja i muzyka może czerpać natchnienie do tworów najwznioślejszych.

Na te ogólnie wypowiedziane słowa nastąpiło powszechne zadowolenie. Oklaski zahuczały, zmieszane z gwarem niezrozumiałym.

Szolc przeglądał nuty na fortepianie, a Witold bawił się wachlarzem kapitanowej, który na kilka chwil był jego opiece poruczony. Kapitanowa odeszła do Idy i z nią pocichu rozmawiała.

Po niejakim czasie powoli i w pewnem zamyśleniu zbliżyła się Ida do fortepianu. Białe jej paluszki dotknęły się zlekka klawiszów, ale klawisze milczały. Zdawało się, że nie uczuły wcale nacisku drobnych rączek.

Oczekiwanie rosło w miarę, jak milczenie klawiszów dłużej się przewlekało. Witold zaparł oddech, aby pierwej od innych usłyszeć, ale nie był wcale od nich szczęśliwszym.

Palce Idy zaczęły drgać na białych klawiszach, niektóre z nich przeniosły się na czarne, ale żaden ton nie ozwał się jeszcze.

Teraz dopiero dał się słyszeć jakiś szmer

nieokreślony, rósł powoli w pojedyńcze tony i zlewał się w jakieś akordy w głosy oddalonych chórów...

Śród tych akordów ozwało się jakby westchnienie, a po tem westchnieniu wybiegło melodyjnie jedno, drugie i trzecie słowo i złączyły się w jakąś pieśń tkliwą, miłosną.

Ida śpiewała o sercu sierocem, które pragnie miłości, a nigdzie jej nie widzi. Świat zły i brzydki odmawia mu wszystkiego. Ludzie śmieją się z lepszych uczuć, a poeci nie śmieją o nich mówić bez humoru lub sarkazmu. Na jego skargi odpowiadają ironją, na łzy bolesne śmiechem!...

Niewielki głos Idy był dźwięczny i sympatyczny. Drżało w nim głębokie uczucie, widniała tęsknota za dawnym ideałem poezji.

Obecni przyjęli prozaicznym oklaskiem artystyczną produkcją Idy. Witold przystąpił do niej, serdeczniej od innych dziękował jej za pieśń, która każde serce poruszyć musi.

Radca dziękował także za pieśń na temat międzynarodowy, wszystkim wspólny. Miłość nazwał dowcipnie „volapükiem“, wszystkich czasów i narodów. Upaja ona wszystkich zarówno i od wszystkich jest pożądana jak jadło, piwo i wino. A że właśnie w tej chwili służba wniosła kieliszki, wniósł radca toast na cześć

owego fermentu całej ludzkości bez różnicy państw i narodów, któremu poeci nadali imię: miłość!

Do tego toastu przyłączyli się inni, a brzęk kieliszków wtórował głosom różnorodnym.

Witold przybliżył się ze swoim kieliszkiem do Idy, która, zarumieniona jak jutrzenka, siedziała jeszcze przy fortepianie. Zdawało się że nie chciała, czy nie mogła jeszcze powstać, że słuchała jeszcze oddźwięku tej pieśni w sercu swojem, że liczyła echa, które się tam powtarzały.

Młodość, a po części i złączona z nią zarozumiałość, kazała Witoldowi wierzyć, że kilka uderzeń serca tej młodej kobiety, jemu się należały. Doznał pewnej tajemnej roskoszy, a oczy jego spoczęły z podzięką w rozmarzonych oczach Idy.

— Przepraszam — rzekł po francusku — że poważyłem się odwołać panią z jakichś stron oddalonych, w których marzenia pani przebywały.

— Nigdy nie marzę o tem, co jest dalekiem odemnie—odpowiedziała akcentem paryskim—chociaż to co bliskie jest często dla nas najdalszem.

Witold doznał przyjemnego uczucia.

— Często bywają podobne złudzenia, z któ-

rych jedne kończą się bolesnem rozczarowaniem, drugie niewypowiedzianą roskoszą. Ostatnie mogą do szału doprowadzić.

Hrabina Ida spojrzała z niedowierzaniem. Uroczy uśmiech przebiegł po jej ustach na pół otworzonych.

— Czy pan sądzisz — zapytała — że każde szczęście jest szałem?

— Przynajmniej zaczyna się od niego, jak każdy owoc zaczyna się od barwnego kwiatu.

— Który tak prędko opada!... Czemuż te kwiaty nie są trwałe?... A ja tak lubię kwiaty!...

Witold patrzał chwilę na tę twarz piękną, jakby mgłą poezji owianą.

Zbliżył się służący z kieliszkami wina. Witold wziął kieliszek i podał Idzie.

— Wypijmy — rzekł cichszym głosem — na cześć tych trwałych kwiatów, które nigdy nie więdną!

— Czy sztucznych — wtrąciła z figlarnym uśmieszkiem Ida — bo tylko takie są trwałe!

— Choćby i takich, — dorzucił Witold, — jeżeli o żywe tak trudno.

Dwa kieliszki napełnione winem stuknęły o siebie.

— Do odważnych świat należy, — szepnęły usta Idy tuż przy brzegu kieliszka.

— Na odwadze nie braknie nigdy, jeżeli nagroda jest tak sowita!

Nowa deklamacja przerwała dalszą rozmowę. Dzwonek hrabiny Herminji zagłuszył niewyraźne słówka Idy.

Towarzystwo ugrupowało się inaczej, a Witold obaczył się w sąsiedztwie radcy legacyjnego. Szczęście, że deklamator rozpoczął poemat bohaterski.

XVI.

Po całodziennej pracy w warsztacie wrócił Karol Szolc do swojej izdebki na trzeciem piętrze. Nie było w niej ani śladu tego komfortu, jakim usiłował się otoczyć starszy brat jego. W kącie stało żelazne łóżko narzucone brunatnym kocem. Z szafy na pół otwartej wyglądały bezładnie zawieszone rzeczy do ubrania. Stolik pod oknem służył za biurko, na którem leżały papiery, linje proste i krzywe i inne narzędzia do rysunków. Druga połowa stołu była podobna do małego warsztatu z przymocowanym do rogu szrubsztakiem. Leżały tam pilniki i piłeczki, kawałki rozmaitych metali i kółka na pół obrobione. Mała sofka i kilka wypłowiałych krzeseł wypełniało całe urządzenie.

Z porzuconych na sofie ubiorów widać było, że gospodarz tego pokoju rozporządzał znaczniejszym funduszem, niżeli możnaby wnosić z całego jego otoczenia. Można przypuścić że lekceważył to otoczenie, albo że nawet wcale go nie widział. Pobyt swój w tym pokoju uważał za chwilowy popas w domu zajezdnym, nie patrzył na to co go otacza, bo myśli jego wybiegały gdzieś daleko, za czemś czego sam nie widział, a o czem ustawicznie marzył.

I teraz gdy wszedł do pokoju i lampkę zapalił, nie obejrzał się nawet po tej swojej tymczasowej łupinie. Rzucił się na krzesło i w myślach pogrążył.

O czem myślał, nie umiał sam sobie zdać sprawy. Było tam wszystkiego potrosze, czego w ostatnim czasie doznał, co słyszał i widział. W jego uszach huczały koła rozpędowe, skrzypiały szybko obracające się cylindry, zgrzytały piły i pilniki, uderzały młoty olbrzymie. Wśród tej wrzawy fabrycznej słyszał głosy robotników, widział ich twarze, znojem okryte. Niekiedy z ust ich padały słowa cięższe od młotów, ostrzejsze od pilników. To jedyna jego muzyka, jedyna harmonja odpowiadająca jego myślom burzliwym. Rozkoszował w tym zgiełku piekielnym, a w marzeniach przenosił się na szerszą arenę, na obszary całego społeczeństwa.

W ostatnich dniach coraz częściej nachodziło go pragnienie, choćby chwilowej ciszy, choćby krótkiego wytchnienia po tym zgrzycie piekielnym. Wychodził na przechadzkę po odległych ulicach i tam wśród ciszy nocnej pojawiała się przed nim twarz młodej kobiety, która tak sympatycznie na niego patrzyła. Widział jej oczy utkwione w jego źrenicy, jakby tam coś wyczytać chciały, a on wzajemnie chciał w nich także czytać.

Już drugi tydzień, gdy ją ujrzał na ulicy św. Doroty. Od tego czasu nawet śród pracy staje przed nim i patrzy na niego jakby z litością. Dlaczegóż ona lituje się nad nim? Czyż on nie godzien innego spojrzenia? Czy tylko litość budzi w jej sercu? Czyż na nic więcej sobie nie zasłużył?

A przecież, gdy był małym chłopcem prowadziła go ona za rękę i trzymała go, gdy nad brzegiem wody zrywał dla niej kwiaty. Nazywała go nawet po imieniu, a niekiedy nazwała go nawet swoim braciszkiem.

Jakże dalekim jest dzisiaj od niej. On w kurzu i dymie fabryki, ona na jedwabnym szezlongu w buduarze!

Nie, on do niej zbliżyć się nie może i nie powinien. Ona może mieć tylko litość nad nim,

a litość taka jest mu wstrętną. Lepsza wzgarda niźli litość!

A zresztą pocóż ma on zbliżać się do niej? Czy po to, aby, olśniony jej atmosferą, pełną woni i roskoszy wrócić do znojnej pracy w zadymionym warsztacie?

A cóżby w takim razie się stało z jego marzeniem, które zawiodło go do warsztatu?

Nie, nie—on nie może zbliżyć się do niej. On powinien jej unikać, i nie dopuścić do tego, aby ona z litością patrzała na niego!

I dotrzymał słowa. Unikał brata, uciekał przed Witoldem, gdy go spotkał na ulicy, aby tylko do niej się nie zbliżyć, aby jej litościwych oczu nie obaczyć!

I dzisiaj, gdy po całodziennej pracy w warsztacie do swojej izdebki przyszedł, postanowił wytrwać w tem przedsięwzięciu, choćby to z trudnością przychodziło.

A wytrwać niełatwo. Przesuwa mu się co chwila przed oczy w szacie powiewnej jak widmo w śnie rozkosznym. Patrzy na niego, i zdaje mu się, że w jej oczach widzi coś lepszego od litości, widzi współczucie...

Wstaje i chodzi po samotnej izdebce, a z ciemnych jej kątów wychodzi zawsze do niego ta postać urocza...

W tak ciasnej izdebce trudno ją ominąć...

trzeba wyjść na ulicę i tam ją zgubić czy to wśród tłumów ludzi, czy w samotnej, bezludnej przestrzeni.

Wyszedł na ulicę. Szedł, nie patrząc przed siebie, nie myśląc wcale dokąd idzie. Szedł godzinę, szedł drugą, okrążył prawie całe śródmieście i zdawało mu się w końcu, że ją za sobą zostawił.

Nagle, wszedłszy w zacieśnioną ulicę, zatrzymał się przed szarą kamienicą, gazową latarnią słabo oświeconą. Zato w jednem oknie drugiego piętra ujrzał jasne światło, jakby lampa tuż niedaleko stała.

Z tego okna słychać było tony fortepjanu...

On wiedział dobrze czyje to okno. Wiedział, że tam mieszka Marta. Dowiedział się zaraz drugiego dnia po przyjeździe Marty od portjera hotelu. Nieraz już odbywał przechadzkę do tego okna, ale do bramy kamienicy nie wszedł, bo wejść nie chciał.

Dzisiaj przyszedł także pod to okno, ale więcej instynktem wiedziony, niżeli własną wolą.

Trudno mu było iść dalej, przeszedł na drugą stronę ulicy i stanął pod murem.

Patrzył w okno, z którego słyszał fortepjan. Na krawędzi szyby ujrzał jakiś ruchomy przedmiot, który w takt muzyki chował się za ramy i wysuwał na szybę.

To pewnie jej głowa, ale profilu nie widać. Jest tylko lekkie zaokrąglenie od skroni do oczu i nic więcej.

Czyżby nie można jej twarzy ujrzeć, jej oczu i tych ust napół otwartych?..

Nie, rzekł do siebie, to być nie może, a zresztą jakżeby się to stać mogło? Niema co o tem myśleć.

I nie myślał o tem, jakby do niej pójść, ale stał, oparł się o mur i patrzył w okno. Słuchał jej muzyki, która, choć niewyraźna, była dla niego jakąś pieśnią niebiańską. Ucho jego przywykłe do zgiełku i wrzawy warsztatowej doznawało jakiejś niewypowiedzianej roskoszy. Odczytywał te tony i zdawało mu się, że słyszy słowa, że widzi usta, które te słowa wymawiają i różowe paluszki uganiające po klawiaturze.

Stał i słuchał i byłby jak rycerz Tagenburg w martwy posąg się zamienił, gdyby w tej chwili nie przebudził go głos kobiety. Stała przed nim z jakąś paczką w ręku.

— A cóż to pan tak stoi pod murem,—zapytała z radosnem wzruszeniem, a czegóż to pan do nas nie przyjdzie? Panienka tak często pyta mnie, czy pana nie widziałam na ulicy, czy pan co do mnie nie mówił.

Karol spojrzał z uwagą na twarz kobiety.

Była to zacna piastunka Marty, która go w dniu śmierci starego Leliwity we dworze widziała.

Krew uderzyła Karolowi do twarzy, w piersi zabrakło mu tchu do odpowiedzi. Milczał chwil kilka, jakby zbierał myśli w głowie.

— Nie wiedziałem, — rzekł w końcu, — że panna Marta przyjechała i że tu mieszka. Z nikim się nie widziałem.

— A jakże pan wiesz, że gra tam w tem oknie, i poco pan tu pod murem stoisz i w to okno patrzysz?

Proste słowa starej kobiety zmieszały Karola.

— Zatrzymałem się tu na ulicy,—odrzekł,— bo ta muzyka wydała mi się znajomą.

— A skądżeś pan znał tę muzykę, jeżeli wtedy, gdyś pan był u nas na wakacjach, panna Marta wcale jeszcze nie grała, a w dniu pogrzebu dziadunia grać nie mogła?

Karol chciał na to coś odpowiedzieć, ale stara kobieta pociągnęła go za rękaw.

— Chodź pan do nas, panna Marta bardzo się ucieszy.

— Czyż to wypada?

— Że krewny do krewnej przyjdzie?

Karol czuł, że go jakaś siła niezwykła za rękaw ciągnie, poszedł za tą siłą i wszedł na schody. Na schodach nie mógł dosyć tchu

w piersi nabrać, tak mu było tam ciasno i duszno. Szedł jednak, jak puszczony w ruch automat, aż się ujrzał przy drzwiach, które przed nim stara piastunka otworzyła. Wszedł do przedpokoju, i słyszał jak zaraz w progu wywoływała zacna kobieta jego imię.

Przez otworzone drzwi ujrzał Martę, siedzącą przy fortepianie. Zaledwie zdołał zrzucić wierzchnie ubranie, gdy ta wybiegła na próg, wyciągając do niego rękę.

— Kochany kuzynie, — zawołała, — czyż to się godzi, przez dwa tygodnie nie zgłosić się do mnie? Czy milsze ci agitacje przedwyborcze wśród towarzyszy twojej pracy, od wieczornej pogadanki z kuzynką, dla której niegdyś z nad brzegu potoka zrywałeś kwiatki?

Karol schował do swojej szerokiej dłoni drobną rączkę kuzynki i tak ją długo trzymał, aż ta przemocą ją odebrała. W oczach Karola zamiast odpowiedzi pojawiły się łzy. Marta ujrzała je, a ciemny rumieniec przebiegł po jej twarzy.

— Dziękuję ci kuzynie za twoje współczucie, — rzekła z dyplomacją kobiecą, jestem sierotą, tak samo jak ty oddawna już jesteś.

I pociągnęła go za rękę do małej sofki, która stała naprzeciw fortepianu.

Karol powoli przychodził do siebie. Otoczenie dzisiejsze Marty nie było takie, jakie sobie wyobrażał. Po raz ostatni widział ją w pałacu, na tle gabinetów i starych familijnych portretów w ramach złoconych, widział ją w atmosferze wielkiego świata, która go odurzała jak narkotyk wschodni, i wśród tej służby, która roiła się jak pszczoły w ulu. Dzisiaj tego wszystkiego niema. Skromny, choć z komfortem urządzony pokoik, jedna dawna sługa, domowa, choć pełna wdzięku, suknia Marty działały uspakajająco na jego nerwy rozdrażnione. Do tego najbardziej przyczyniły się serdeczne słowa Marty, jakiemi go powitała.

— Daruj mi kuzynko to moje wzruszenie, — rzekł pewniejszym już głosem, — ale tak często o tobie myślałem, tak często stawałaś mi przed oczy... a do tego gdym cię nagle ujrzał przed hotelem...

— Niedobry, dlaczego nie zbliżyłeś się do nas?

— Nie mogłem... nie chciałem... właściwie nie śmiałem... bo Witold tak wyglądał...

— Łudzisz się tylko, wszak jesteśmy krewni.

Karol pochylił się, wziął drobną rączkę Marty i ucałował.

— Niech ci Bóg zapłaci kuzynko, — rzekł wzruszony, — za twoją życzliwość i za te słowa pociechy w ciężkiem utrapieniu mojem.

— Jakież masz utrapienie?

— Utrapienie... ot, jak zwykłe utrapienia ludzkie. Alboż to mało jest utrapień w życiu?

Poczerwieniał na twarzy ze wstydu, że nie odpowiedział, jak był powinien odpowiedzieć Marcie.

Marta coś dostrzegła i serdeczniej ścisnęła go za rękę.

— Utrapienia nasze, — rzekła z zachwycającym uśmiechem, zmniejszają się, jeżeli je podzielamy z drugimi. Jeżeli ci więc kuzynie coś zaciąży na sercu, to przyjdź do mnie, a ja wzajem wyspowiadam się przed tobą z swoich smutków. I tak ulżymy sobie.

Karol przycisnął znowu do ust drobną rączkę Marty, a gdy na nią spojrzał, oczy jego błyszczały jak dwie gwiazdy.

Teraz dopiero mógł się Marcie przypatrzeć. Od tego czasu jak ją we dworze widział, zaszła na jej twarzy pewna zmiana. Znikło z niej pewne roskoszne rozmarzenie, a natomiast na pięknem czole zarysowały się nad brwiami dwa pionowe fałdziki, które zdradzały myśli poważne. Usta różowe zamiast stereotypowego uśmiechu otoczył wyraz pewnej energji właściwej ludziom, oddającym się pracy. Podnosiło to jeszcze jej urok, a niedbale rozwiane włosy na głowie otaczały jakby ciemnozłotą aureolą jej postać uroczą. Na białej szyi zwieszał się

złoty krzyżyk z kamieniami, które połyskiwały światłem tęczy. Był on w tej chwili jedyną jej ozdobą.

Zaczęli rozmawiać o rzeczach najbliżej ich obchodzących. Ona opowiadała mu o przebiegu interesów familijnych, o swoim pobycie u krewnych i o zamierzonych planach na przyszłość. Mówiła mu, że przyjechała do stolicy kształcić się dalej w muzyce i śpiewie, a przytem niekiedy bawić się malarstwem. Dodała, że oprócz zamiłowania, ma także na widoku, że to może w przyszłości stanowić jej byt materjalny.

Tem opowiadaniem zbliżyła się więcej do Karola, któremu się już teraz zdawało, że między nimi niema już tak wielkiej różnicy, jak mniemał jeszcze przed godziną.

On o sobie niewiele miał jej do powiedzenia. Wiedziała czem jest i jaka może być jego przyszłość. O innych swoich zamiarach i żalach nic jej nie mówił.

Tylko jak ją poprosił, aby mu zagrała, a Marta jego żądaniu zadość uczyniła — puściły mu się łzy z oczu i płynęły, póki Marta grać nie przestała.

— Czy cię kuzynie muzyka tak rozdraźnia,— zapytała, biorąc go za rękę i patrząc mu w oczy.

— Nie umiem na to odpowiedzieć,—odrzekł,

ocierając łzy,—ucho moje, przyzwyczajone do zgiełku i gwaru w warsztacie, do huku młotów, zgrzytu pilników i świstów lokomobili, podraźnia dziwnie ta harmonja akordów i mimowolnie łzy mi wyciska. Ale te łzy są słodkie, bardzo słodkie.

Marta ścisnęła go za rękę.

— Przychodź często, — rzekła z dziwnym wyrazem na twarzy,—przychodź jak najczęściej do mnie, a ucho twoje przyzwyczai się do harmonji tonów, i polubisz ją niemniej, jak skrzyp pilników i huk młotów.

XVII.

Ulice miasta uciszały się coraz więcej. Spóźnieni mieszkańcy biegli przyśpieszonym krokiem do swoich domów. Za nimi biegł lampiarz i w każdej latarni gasił jeden palnik. Ulica ciemniała za nim, i zdawało się, że ta ciemność wraz z nim biegnie. Z tej ciemności wyłaniał się od czasu do czasu samotny człowiek, jakby chciał wyprzedzić lampiarza, ale tenże zostawiał go zawsze za sobą.

Był to Karol, który powracał do domu. Zapatrzony w ziemię nie zważał, że latarnie coraz więcej przed nim ciemnieją. Nie widział

ubytku światła, bo w duszy jego świeciło słońce szczęścia. Szczęśliwym czuł się jak nigdy, kroków nie liczył, a nawet nie wiedział wiele drogi już uszedł. Przed jego oczami majaczyła jasno postać kobiety, zdawało się że za nią biegnie, że ją pochwycić pragnie.

Przed godziną był tak blisko przy niej. Patrzał na nią, słyszał jej głos i tę muzykę, która była głosem jej duszy. Zbliżył się do niej i zdawało mu się teraz, że między nimi niema tak wielkiej przepaści, jak przedtem myślał. Sama przebyła tę przepaść i zbliżyła się do niego. Jakże był szczęśliwym, a gdy wszedł w główną ulicę, oświeconą światłem elektrycznem, zdawało mu się, że przyszłość jego jest tak jasna, tak czysta, jak ta kula białego światła.

Odetchnął całą piersią i właśnie miał ochotę wesołą piosenkę półgłosem zaśpiewać — gdy otworzyła się brama w szarej kamienicy. Dwóch mężczyzn wyszło z bramy. Byli w dobrym humorze i głośno rozmawiali.

Zdawało się Karolowi, że poznał ich głosy. A gdy jeden z nich zatrzymał się, aby zapalić cygaro, przekonał się Karol, że go ucho nie omyliło.

Był to Witold i jego brat Henryk.

Spotkanie to podziałało dziwnie na jego

nerwy. Na niebie jego marzeń obaczył dwie groźne chmury. Cofnął się o kilka kroków i przeszedł na drugą stronę ulicy. Obaj towarzysze nie spostrzegli go. Wyniosła postać Witolda wyglądała imponująco w świetle elektrycznem, a brat jego Henryk w nowym szapoklaku na głowie dorównywał mu swoim miarowym, ministerjalnym krokiem.

Wiobec tych dwóch przyszłych dygnitarzy, jakże mizerną była jego figura w brudnym warsztacie? Jakże niedorzeczne były przed chwilą jego marzenia o siostrze Witolda, który go nawet na ulicy znać nie chciał.

Pozostał daleko za nimi i głowę do ziemi spuścił. Pojedyńcze słowa dolatywały do jego ucha, a te słowa jeszcze bardziej go przygnębiały. Witold mówił o hrabinach i baronach, a Henryk o ekscelencjach.

Przybity jakimś nieokreślonym smutkiem, zboczył w poprzeczną ulicę.

Tymczasem wracający z rautu obaj towarzysze rozmawiali z sobą, co na tym raucie widzieli i słyszeli.

Witold był zachwycony pięknością i uprzejmością młodej hrabiny. Chwalił jej toaletę gustowną, podziwiał jej piękność i prawdziwie arystokratyczne wychowanie. Życzliwy mu Henryk dolewał oliwy do ognia, utrzymując, że

hrabina Ida była także pełna admiracji dla niego, że go przed wszystkimi wyszczególniała.

Witold nie przeczył temu, nawet choćby przez skromność tylko, bo wierzył, że to była prawda. Był pewny że zdobył, albo że był bliskim zdobycia serca młodej wdowy. Jaki zaś był cel tej zdobyczy o tem nie umiał jeszcze sobie zdać sprawy.

Przyzwyczajony na salonach do flirtu i biegły w tem rzemiośle, czuł pewne zadowolenie, że rola mu się udała. Czy to zadowolenie dłużej trwać będzie, czy po przespanej nocy zniknie, o tem w tej chwili nie myślał. Raut dzisiejszy, a z nim i hrabina Ida mogły być tylko przyjemnem wspomnieniem, jakich za młodych lat jest wiele, a które z czasem w pamięci gasną, jak gasną obłoki, zarumienione słońcem wieczornem.

Tak myślał Witold i z przyjemnością przypominał sobie słowa i półsłówka pięknej wdówki, spojrzenia jej oczu aksamitnych i te dotknięcia małych paluszków, które go elektryzowały. Czyżby z tego nie mógł urość jaki przyjemny epizodzik życia, któryby zapełnił nudne dni zimowe.

Przy tych zwykłych myślach młodego człowieka odzywały się jakieś inne, dotąd nie sformułowane głosy w jego sercu.

Hrabina Ida jest tak piękna, tak pełna uroków! Umysł bogaty a serce tak proste, taką poezją owiane! Gdyby posiąść to serce, gdyby upoić się tem, co ono dać może, czyżby życie takie nie można nazwać szczęściem?...

Przygłuszały wkrótce ten głos nawyknienia światowe, wychowanie i owe zwyczaje towarzyskie, które pozwalają używać bez wyraźnego celu, aby tylko używać życia.

Takie właśnie myśli i niewyraźne instynkta tłoczyły się w głowie Witolda, gdy Henryk nagle go zagadnął:

— Mógłbyś się z nią ożenić!

— Cóż tam znowu — odparł Witold głosem, w którym bynajmniej nie było tego zdziwienia, jakie te słowa oznaczać miały — któż o tem myśli!

— Przecież nie ja, tylko ty o tem powinieneś myśleć. Rozmawialiście oboje jak zakochani, aż radca legacyjny językiem mlaskał!

— Czy na to zwrócono uwagę?

— Dosyć.

— Widać że na tutejszych salonach nie rozumieją flirtu.

— Mniej jak na naszych.

— Wypada o tem wiedzieć.

— Inaczej mogłaby hrabina Herminja pewnego poranku wprost zapytać: Czy chcesz się pan żenić?

Obaj towarzysze rozśmiali się serdecznie.

Właśnie weszli w ulicę „Unter den Linden“. Wspaniałe oświetlenie tej ulicy, która, mimo spóźnionej godziny, jaśniała jeszcze pełnem światłem, zapraszało do dalszej przechadzki.

Henryk wezwał go, aby z nim szedł do bramy brandeburskiej, ale Witold zatrzymał się, podając mu rękę.

— Jestem zmęczony słuchaniem bohaterskiego poematu, który z taką emfazą odczytał profesor, wrócę do hotelu.

— Myślałem, żeś go wcale nie słuchał — odparł z uśmiechem Henryk, żeś patrzał tylko w podłużne oczy hrabiny Idy.

Rozśmiali się obaj i podali sobie ręce.

Witold widocznie chciał być teraz sam. Henryk dotknął niebacznie tego, co w nim było jeszcze uśpione, zbudził i chciał żartobliwie nim się pobawić. Dotknęło to nieprzyjemnie Witolda, i dlatego chciał jak najprędzej tym razem zakończyć rozmowę.

Uszedłszy kilka kroków, spojrzał za Henrykiem, bo zdawało mu się, że jeszcze słyszy słowa jego:

— Mógłbyś się z nią ożenić!

Henryk oddalił był się już znacznie i biegł ku bramie brandeburskiej. Nie mógł więc tych słów powtarzać. Witold jednak słyszał je wyraźnie, za każdym krokiem huczało mu w uszach: Mógłbyś się z nią ożenić!

Gdy wszedł do hotelu, a odźwierny uniżenie go powitał a potem dobrej nocy mu życzył, zdawało się Witoldowi, że powtarza te same słowa, które przed chwilą Henryk był wymówił. Nawet klucz skrzypiący w zamku, i własne kroki jego mówiły to samo.

— Cóżby w tem złego było — pomyślał sobie — rzucając się na fotel w swoim pokoju, gdybym się z Idą ożenił. Jest niezwykle piękną, znacznie młodsza odemnie, a zachowanie się urodzonej księżnej. Wdziękiem i urokiem odbija od wszystkich swoich rówieśniczek i zostawia je daleko za sobą. Ma gust wytworny, a po francusku mówi akcentem paryskim. Że jest z urodzenia Niemką, to da się naprawić. Wziąłbym ją do kraju, gdzie wkrótce mogłaby się zaklimatyzować, a nawet przyjąć nasze wierzenia. Wszyscy mogliby mi jej zazdrościć, a w salonach naszych mogłaby przodować... Chodzi tylko o to w jakich warunkach z nią w kraju zamieszkać. Pozostały mi fundusz z rodzinnego majątku nie wystarcza na zbudowanie i utrzymywanie ogniska domowego.

W takim razie trzeba się liczyć z tem, co ona z sobą wnieść może.

Witold wstał i przeszedł się kilka razy po pokoju. Po chwili myślał znowu:

— Widać wyraźnie, że ona albo ciotka są bogate. Dom urządzony na największą skalę. Są tam rzeczy dosyć kosztowne, widać pewien szyk, a nawet zbytek, który potrzebuje wiele pieniędzy. Gdy mówiłem o podróżach, uważały to obie damy jak codzienne przechadzki potrzebne dla zdrowia ciała i umysłu. Również i stosunki mają rozległe, i to w wyższych sferach. Wszystko to bez znaczniejszych zasobów materjalnych jest niemożliwe. Mógłbym tych zasobów użyć na zakupno majątku w kraju i tym sposobem spełniłbym rozkaz starego Budrysa, który swoich trzech synów wysyłał do ziem obcych po ich skarby.

Ostatnia myśl tak mu się podobała, że zanucił półgłosem znaną melodję Moniuszki.

Po skończonej melodji myślał dalej:

— Chodzi tylko o to, czy ona za mnie pójść zechce...

Nie zatrzymał się długo przy tej myśli. Był pewny, że to uczyni, gdyby do tego przyjść miało. Z jej rozmowy, ze spojrzeń i tych niedomówionych półsłówek, wnosił, że bardzo łatwo może zdobyć jej rękę. Serce widział już go-

towe, potrzeba było tylko pewnej formalności. Nawet ciocia Herminja rozmawiała z nim bardzo łaskawie, i wyraźnie powiedziała, aby ich dom jak najczęściej odwiedzał. Wyróżniała go między innymi, i sama przynosiła mu kieliszki z winem i konfitury. Spostrzegł, że na jego talerzyku więcej było słodyczy, niżeli na innych, a herbata była aż przesłodzona. Był to dowód niezwykłej niemieckiej gościnności.

Znużony snowaniem tak przyjemnych myśli, spoczął na chwilę. W tym antrakcie szepnął mu jakiś głos do ucha:

— A cóż się stanie, jeżeli twój fundusik na te konkury się wyczerpie, a piękna Ida po rozkosznym flircie pokaże ci figę? Cóż wtedy poczniesz?

Z oburzeniem machnął ręką jakby od ucha ten głos odpędzał, a pasmo przyjemniejszych myśli nawiązało się znowu:

— Nie jestem tak głupi, myślał znowu, abym się dał za nos wodzić. Zwąchałbym wnet tę figę, choćby z różowych paluszków uplecioną, i cofnąłbym się zawczasu. Ale nie zawadzi teraz już ten rekonesans rozpocząć, aby potem na złamanie karku nie rejterować. I tak trzeba wkrótce po tym raucie iść z wizytą, a wtedy znajdzie się sposobność rozmówienia się z Idą.

Po tem postanowieniu udał się na spoczynek. Długo jednak nie mógł zasnąć. Chciał dalej snuć rozkoszne marzenia, ale te urywały się, a natomiast brzęczały jak rozstrojona struna owe złowrogie słowa, które mu ktoś do ucha wdmuchnął: Czy ona zechce pójść za ciebie?

— Dlaczegoby nie chciała — odpowiadał głośno.

— Może zapytać, czem jesteś i co masz? — dmuchnął mu znowu złośliwy duch do ucha.

— Głupie pytanie — krzyknął Witold w głos — jestem niepośledniego rodu, mam herb starszy od byłego księcia brandeburskiego. Dam jej odrazu stanowisko w towarzystwie kraju i zagranicy, które nie będzie podlejsze od jej dzisiejszego „wysokiego gniazda“ Hohenestów!

Słowa te wyrzekł Witold tak głośno, że aż kelner, przechodzący kurytarzem, zatrzymał się przed drzwiami i dyskretnie zapytał, czy gość czego żąda.

Witold posłał go do djabła, a sam rzucił się przemocą w objęcia Morfeusza.

XVIII.

Nazajutrz był dzień brzydki. Śnieg z deszczem siekł po oknach. Ludzie zgarbieni z

podniesionym do góry kołnierzem biegli szparkim krokiem po ulicy. Szczęśliwsi mieli parasole, a zupełnie szczęśliwi i zadowoleni jechali w karetach, powozach lub dorożkach. Kobiet wcale nie było widać prócz tych, które za chlebem lub za tem czego do chleba potrzeba w tak brzydką porę wyjść musiały.

Witold wyszedł także z hotelu, ale o chlebie nie myślał. Wypił był właśnie dobrą herbatę, ale ta nie naprawiła mu humoru. Z nocy źle przespanej zostały mu jakieś myśli niemiłe, a słowa, które mu ów zły duch do ucha wdmuchnął, brzmiały jeszcze tak wyraźnie, jakby je dopiero przed chwilą był usłyszał.

Przy deszczu ze śniegiem widział swoje piękne wczorajsze marzenia zamglone. Widział, że od tych marzeń do rzeczywistości było jeszcze daleko. Chodziło tu wprawdzie tylko o zgodzenie się Idy na jego marzenia, ale ta zgoda wydała mu się teraz zachwianą. Ida mogła mu odmówić. Cóż wtedy?...

Uczuł teraz żal do Idy, że jego złote nadzieje zawiodła, że jest niewdzięczną, że jego szczere i tak szlachetne uczucia niweczy swoją zimną rekuzą. Był przekonany, że ją tak kocha, że za nią życie mógłby poświęcić, że o niej tylko śni i marzy, że ona mu wszystkiem na świecie,... a ona na to wszystko odpowiada mu

z zimnym uśmiechem, że mu nie może być wzajemną i za niego nie pójdzie!

Jakże okrutne są te kobiety — myślał dalej Witold — boskiem spojrzeniem rzucają zarzewie w nasze serca, zapalają tam ogień święty, a potem gaszą go kubłem zimnej wody, pastwiąc się widokiem żarzącego jeszcze zgliszcza! Okrutne są jak hyeny, pantery, krokodyle! Cały żywot mężczyzny łamią jak źdźbło słomy, wtrącają je w przepaść rozpaczy, od której do występków i zbrodni jest tylko krok jeden! Cóż stąd, jeżeli jaki dowcipniś, patrząc na upadłego człowieka, zawoła z sarkazmem: „Cherchez la femme"!

Taki monolog prowadził teraz Witold ze sobą. Był przekonany, że jego miłość dla Idy była szczera i wzniosła i że Ida sprawi mu boleść niewypowiedzianą, jeżeli mu ręki odmówi. Ta myśl ostatnia ugrzęzła mu w głowie jak ołów i nie mógł jej stamtąd wydobyć. Im większą stawała się możliwość rekuzy — a duch złośliwy dmuchał mu to ustawicznie do ucha — tem jaśniejszą i szlachetniejszą widział miłość swoją dla niewdzięcznej.

Szedł ulicą śród deszczu ze śniegiem, a widać że nie zaliczał się do szczęśliwych, bo nie miał nad głową parasola ani się nie skrył do karety. Szedł jak każdy inny śmiertelnik po

mokrych kamieniach, chociaż ludzie widocznie ustępowali mu się z drogi. Wykwintny jego ubiór i lśniący kapelusz, bez żadnej ochrony przed deszczem ze śniegiem zdradzał widocznie człowieka, należącego do sfer wyższych.

Witold o tej mniemanej wyższości wcale w tej chwili nie myślał. Szedł, bo nie miał co innego do roboty, a ruch i zimne powietrze ochładzało mu gorączkowe myśli. Miał dzisiaj pójść z wizytą po raucie wczorajszym, bo mu pilno było widzieć się i rozmówić z hrabiną Idą. Chciał przeciąć pasmo niemiłych domysłów i odważnie niebezpieczeństwu w oczy zajrzeć. Przygotował sobie w tym celu nawet djalog pełen uniesień dramatycznych, gdyby Ida nie chciała jego prośby uwzględnić.

Ale na to wszystko było jeszcze zawcześnie. Zaledwie wybiła godzina dwunasta, a przed drugą nie wypadało wejść do szarej kamienicy, z której wczoraj taki wesoły wychodził. Wypadało gdzieś wstąpić i zaczekać. Oczy jego błądziły po różnych godłach, wiszących nad drzwiami, ale długo nie mógł znaleść odpowiedniego. Wreszcie wyczytał nad zwierciadlaną taflą olbrzymich drzwi napis: „Keck“.

To znana stolicy kawiarnia. Nazwisko właściciela bardzo mu się podobało. Widział w tem niby palec Boży, który widocznie wskazał mu

„dewizę“ dnia dzisiejszego: Odwaga, śmiałość! Z lepszą fantazją wszedł do kawiarni i zażądał herbaty z koniakiem. Przeczytał kilka dzienników, przerzucił illustracje, a gdy druga godzina wybiła, kazał sobie sprowadzić doróżkę Za dziesięć minut był już w szarej kamienicy.

Hrabiny przyjęły go, lokaj otworzył drzwi do salonu.

W salonie nie było nikogo. Po wczorajszym raucie nie było żadnych śladów. Wszystko było w porządku, symetrycznie ustawione. Jedwab na meblach połyskiwał jasną barwą, posadzki szkliły się jak lód styczniowy, a świeży bukiet kwiatów, umieszczony przed zwierciadłem rozsyłał swoje wonie po wszystkich kątach. Panowała tu istna atmosfera Nizzy, brakło tylko sąsiedniego Monte Carlo, w którym rozgrywają się nieraz losy życia lub śmierci. W tej atmosferze mają się także i jego losy rozegrać. Cóż wypadnie? *Rouge czy noir?*

Na czarny kolor miał już djalog przygotowany. Z powagą, jak artysta dramatyczny, przechadzał się po salonie. Przypominał sobie gdzie. na którym fotelu siedział i z nią rozmawiał. Tu podała mu ciocia konfitury, tam przy fortepianie szepnęła mu Ida, że do odważnych świat należy.

Cóż się teraz z tego wszystkiego zostało?

Cokolwiekbądź się stanie, on spełni obowiązek i, zamiast wzbronionej słodyczy, wypije z odwagą kielich trucizny.

Dalszy wątek myśli tak poważnych przerwało szybkie otwarcie drzwi. Z buduaru wybiegła Ida.

Ida nie była ubrana do dramatu. Miała bluzkę czerwoną, która z niemałym wdziękiem kryła się pod przepaską czarnej, kaszmirowej spódnicy. Złotawe włosy nie były jeszcze ujęte w karby. Rozbiegły się w nieładzie po białej szyi, ubranej w brukselskie koronki. Uśmiech jasny i pogodny igrał na jej ustach, a z lekko zarysowanych dołków na twarzy wychylały się figlarne amorki. Nie był to wcale kostium ani postawa do poważnej sztuki dramatycznej. Przygotowany djalog Witolda był zagrożony. Za nią przez pół otwarte drzwi widać było drugą postać kobiety, której postawa okazywała, że sobie ręce obmywa.

Ida szybko zbliżyła się do Witolda, ukłoniła się z wdziękiem, ale ręki na powitanie mu nie dała.

— Jakżeś pan dobrze uczynił żeś przyszedł — zaszczebiotała po francuzku — w sam czas jak Moltke pod Gravelote!

Niepodanie ręki ubodło Witolda. Widział nadciągającą chmurę złowrogą.

— Czy groziła pani śród zaciętej walki przegrana?

— O i jak jeszcze groziła!

Wymawiając te słowa z figlarnym uśmiechem, zajęta była czemś, co w rękach za sobą trzymała. Zdawało się że ręce obciera. Tak było w istocie. Po niektórych rozpaczliwych ruchach, aby tę czynność przed okiem gościa zasłonić wydobyła ręce na front i tu już zaczęła je wycierać białą serwetką.

Dokończywszy systematycznie tej czynności, rzuciła serwetkę na fotel.

— Teraz mogę panu podać rękę — rzekła z figlarnym uśmiechem — bo inaczej mógłbyś się pan był przylepić do mnie jak mucha do smoły!

Czoło Witolda rozjaśniło się.

— Czemuż nie powiesz pani — do miodu?

— Tego pan nie wiesz jeszcze, czem jestem.

— Zdawało mi się żem za pierwszem spojrzeniem to poznał, i chcę wierzyć żem się nie pomylił.

— Daleko stąd do Lipska mój panie, a jeszcze dalej od złudzeń do prawdy.

— Nie sądzę, że mnie złudzono.

— Te słowa podyktowała panu zarozumiałość.

Witold doznał nieprzyjemnego uczucia.

— Słowa pani wydają mi się jak strzały zatrute. Igrać nimi nie można, bo samo draśnięcie śmierć przynosi.

W tej chwili ozwał się głos z buduaru.

— Zaraz, zaraz, przychodzę ci Ido w pomoc jak Moltke, tylko nie mówcie tak rozpaczliwie o śmierci.

Okrągła jak kula, z okrągłą rozśmianą twarzą wpadła do salonu kapitanowa. Ukłoniła się z możliwą gracją, odsłoniwszy szereg białych zębów.

Witold nie był kontent z tego nabytku. Trzecia osoba nie była mu teraz na rękę. Pocieszał się tem że lepsza już kapitanowa, niżeli ciocia Herminja.

— Przez pana całą noc dzisiaj nie spałam — rzekła zaraz na wstępie kapitanowa, czy pan to będziesz umiał ocenić?

Witold zmarszczył brwi. Nie chciał i nie mógł uprawiać sentymentu dla dwóch kobiet naraz i to w ich obecności. Spojrzał na Idę, czy te obcesowe słowa kapitanowej nie zasępią także jej czoła, czy jaka, choć drobna zawiść nie okaże się w tych oczach szafirowych.

Czoło Idy było gładkie i pogodne, a z szafirowych oczu zamiast zawiści tryskało pełne zadowolenie.

— Widzisz coś pan zrobił — zaszczebiotała — moja przyjaciółka może przez pana schudnąć jak śledź wielkopiątkowy.

— Zdaje mi się — dodała kapitanowa — że moja suknia jest już za wolna.

Witold ujrzał się nagle między Scyllą a Harybdą. Podejrzywał Idę o niedobre zamiary, która go zręcznie od siebie do innej zwrócić chciała. Przygotowany w takim razie djalog byłby na czasie, ale wobec trzeciej osoby jest niemożliwy.

Z chmurką na czole zapytał:

— Cóż to pani kapitanowej spać nie dało, z mojej strony nie poczuwam się do żadnej winy.

— Panowie zawsze jesteście niewinni, jeżeli chcecie — dorzuciła Ida.

Tego już było Witoldowi za wiele.

— Jestem oskarżony o coś, o czem wcale nie myślałem.

— Na pańskiej karcie wizytowej, — mówiła zwolna kapitanowa, którą, mówiąc nawiasem, umieściła Ida na samym wierzchu marmurowej czary, — przeczytałam: (Ritter von).

— Cóż to dowodzi?

— To przypomniało mi pewnego rycerza błędnego, o którym czytałam w tych dniach w romansie rycerskim.

— Cóż ten rycerz? — zapytała ciekawie

Ida,—zapewne bałamucił panny, wdowy i mężatki?

— Przeciwnie, uwalniał z więzów niewinne ofiary, karał ich tyranów, walczył za honor kobiety... no, no, i budził płomiennym pocałunkiem zaklęte królewny!

Witold spojrzał znacząco na Idę.

— To zbyt wielka nagroda za wątpliwe bohaterstwa, — rzekł do niej, nie spuszczając oczu z jej twarzy.

— Czy ci się śniło,—rzekła Ida zwrócona do kapitanowej, — żeś była ową zaklętą królewną?

— Czy mi się śniło, tego nie powiem. Dosyć, że całą noc nie spałam. Powinno to wystarczyć za odpowiedź.

Ida spojrzała pytająco na Witolda. Lekki uśmiech igrał na jej różowych, wilgotnych ustach. Witold zmarszczył czoło. Takiej sytuacji nie przewidywał, ani na nią nie był przygotowany.

— Ten błędny rycerz,—ozwał się po chwili,—niepotrzebnie zaprzątnął pani głowę. W starych „burgach“, o których pani czytałaś, mieszkają teraz sowy i puhacze.

— To też wkrótce od błędnego rycerza,—odpowiedziała kapitanowa,—przeszłam do nowożytnego, który zwie się Leliwitą, i mieszka

prawdopodobnie w „zamku“ bardzo miłym, jakich pełno widziałam nad Wartą i Notecią.

Witold przygryzł usta.

— Panie zwykle budujecie „zamki“ na lodzie,—odpowiedział zgryźliwie.

— Moja przyjaciółka, — ozwała się Ida,—marzy zawsze o zamkach i pałacach.

— Nie tak jak ty,—odparła kapitanowa,—która śpiewasz zawsze: „Choćby w chatce, byle z nim“!

— Pani lubisz tę piosnkę? — zapytał weselej Witold, — o jakżebym chciał ją usłyszeć.

— Wczoraj „soirée“, dzisiaj „matinée musicale“.

Ida nie dała się długo prosić. Usiadła do fortepjanu i po krótkiej przygrywce zaczęła ową piosnkę śpiewać.

Piosnka była tkliwa, miłosna. Kobiece serce spowiadało się w niej ze swoich pragnień utajonych, marzeń i zachwytów. Byle on, byle z nim.

Witold słuchał tej pieśni z rozkoszą i wierzył, że ta pieśń dla niego. Marzył, że te różowe, wilgotne usta o nim śpiewają. O jakże byłby szczęśliwy, gdyby te marzenia stały się prawdą. Nie chatkę pustelnika, ale pałac wystawiłby dla niej... bo przecież stać ją będzie na pałac.

Po skończonej pieśni odwołała służąca kapitanową z salonu. Witold pozostał sam z Idą.

Była to chwila dla Witolda upragniona. Przypomniał sobie nazwisko właściciela kawiarni i przysunął swój fotel do fortepjanu. Ida siedziała jeszcze przy fortepjanie. Jej białe paluszki przesuwały się po tonach minorowych, ale tony nie odzywały się. Widocznie bawiła się tylko klawiszami, nie chcąc przeszkadzać rozmowie

— Czy wierzysz pani, — zaczął Witold,— w nierozerwalną sympatję dwojga ludzi, którzy niedawno się poznali?

— Dlaczegóż nie, — odpowiedziała żywo Ida. — Wszak mówią, że sympatja jest to pewne pokrewieństwo dwóch dusz. Nic dziwnego, że takie dusze od pierwszego spotkania sympatyzują ze sobą.

— Czy wierzysz pani, że taka sympatja może dalej zaprowadzić niżeli do powitań z uśmiechem na twarzy?

— Może i przy pożegnaniach da się uczuć ta sympatja?

— Nic więcej jak tylko witać się i żegnać ze sympatją?

— Od witania się do żegnania jest jeszcze znaczna przestrzeń czasu. A ten czas jest może najprzyjemniejszy.

— Cóż ten czas wypełnić może?

— Przyjemna, sympatyczna rozmowa.

— Cóż po rozmowie, jeżeli z niej nic nie zostanie?

— Zostanie — wspomnienie.

Witold powstał z fotelu.

— Jakże pani okrutna, — rzekł podrażniony,—najmilsze chwile życia skazujesz pani naprzód — na wspomnienia.

— Czyż miłe wspomnienia nie osładzają nam życia?

— Wspomnienie—to reprodukcja w pamięci szczęśliwych chwil, które ubiegły i które nigdy już nie powrócą. Wspomnienie to pomnik, który stawiamy na grobie tych, którycheśmy ukochali. Wspomnienie to portret nieboszczyka, który za życia był naszym przyjacielem!... Któż za życia tych drogich nam osób myśli o ich portretach w tym celu, abyśmy po ich śmierci mieli na co patrzeć?

Stanął przed Idą i spojrzał w jej oczy. Oczy Idy rozjaśniały się coraz więcej. Chciała je podnieść i na Witolda spojrzeć, ale one zatrzymały się w pół drogi, przykryte ciemną rzęsą.

— Wyrządzasz mi pan krzywdę, — rzekła z cicha,—dając moim słowom tak okrutne znaczenie. Byłabym rzeczywiście okrutną, gdybym przyjemnym chwilom mego życia już naprzód

stawiać miała nagrobki. Nie miej pan o mnie tak złego wyobrażenia.

— Wierzę pani, tembardziej, że tu nie chodzi o nasze szczęście osobiste, ale także o najpiękniejsze chwile życia drugiej osoby.

Gdy Witold te słowa wymawiał był wzruszony, głos jego drżał prawdziwem uczuciem. Wziął Idę za rękę podniósł do ust swoich gorących. Ida nie opierała się temu, a nawet zdawało się Witoldowi, że uczuł lekki uścisk tej małej rączki, którą teraz przy ustach trzymał.

Cisza uroczysta zapanowała w salonie.

W tej chwili ozwał się głośny śmiech kapitanowej w buduarze. Wpadła do salonu z talerzem, na którym leżały jakieś przedmioty bezkształtne.

— A co?—nie mówiłam, że się nie udadzą? Twoja recepta zawiodła! Patrz pan, to mają być pączki robione muzykalną rączką Idy! Nie chciała mnie słuchać!

Szekspirowski ten epizod był Witoldowi niebardzo na rękę. Nastrój podniosłej sytuacji zniżył do zera. Jeszcze bardziej nachmurzył czoło, gdy Ida, z dziecięcą prawie radością, pobiegła do kapitanowej, aby niefortunne okazy pączków oglądać.

— Ależ to pyszne stalaktyty, jakie tylko

w grocie Mansumano widzieć można!—zawołała, śmiejąc się.

— Ten podobny jest do rycerza, w szyszaku i zbroi, — dodała wesoło kapitanowa.

— A ten pękaty, — uzupełniła Ida, — do twojej, we śnie widzianej, zaklętej królewny.

Weszła teraz starannie ubrana hrabina, ciocia Herminja. Witold stał, odurzony niespodzianą sceną z pączkami, która go z jego roli nagle wyrzuciła. Zaledwie przypomniał sobie, że trzeba się przywitać.

Rozmowa weszła na rzeczy powszednie.

XIX.

Mimo niefortunnego epizodu z pączkami, Witold był zadowolony z siebie i z całego świata. Nie widział deszczu ze śniegiem, który przez cały tydzień padał, nie widział błota pod nogami, nie czuł nawet niebardzo miłych szturchańców, które odbierał od przechodniów. Był w wybornym humorze, nie odmawiał sobie niczego, co życie uprzyjemnić może. W hotelu jadał najwytworniejsze potrawy, sprawił sobie futro okazałe, jeździł hotelową remizą, jak na szczęśliwych ludzi przystało.

Na drugi tydzień był drugi raut w szarej

kamienicy, podobny zupełnie do pierwszego. Towarzystwo było znacznie większe, nie brakło i tych, którzy na pierwszym raucie byli. Nieunikniony radca legacyjny siedział na swoim fotelu, profesor bawarski deklamował rapsody rycerskie, pułkownikowa intonowała utwory klasyczne, a Ida śpiewała półszeptem piosenki miłosne, lub grała (pieśni bez słów), przy których ukradkiem na Witolda patrzała. Wszystko było jak na pierwszym raucie. Tylko do rozmowy domieszano więcej polityki. Zbliżały się wybory, dzienniki drukowały różne programy i domysły o wnioskach rządowych w najbliższym parlamencie.

Sród takiej rozmowy, która często przybierała pozory walki, milczały zazwyczaj muzy. Stwierdził to profesor bawarski wzorową łaciną, że „intra arma musae silent“.

Witold zauważył, że większa część mówców tworzyła opozycję dla wniosków rządowych. Krytykowano to i owo, nicowano państwowych ministrów, a nawet dostało się wielkiemu kanclerzowi państwa. Radca legacyjny uśmiechał się dobrotliwie na widok tej „burzy w szklance wody“, łagodził czasem ostre sprzeczności, a czasem ustępował dyplomatycznie wobec grozy przeciwnika.

Oponenci zwracali się często do Witolda,

jakby do naturalnego sprzymierzeńca, z czego tenże był zadowolony. Mógł ulżyć sobie i dorzucić kilka węgli do paliwa. Towarzystwo tych ludzi sprawiało mu nawet pewną przyjemność.

Inaczej myślał kuzynek Henryk, nieodstępny jego towarzysz. Jako urzędnik państwa nie chciał się mieszać do rozmowy, w której kroki tegoż rządu krytykowano. Najczęściej przysiadał się wtedy do kobiet, a w ostatecznym razie miał zawsze w pani kapitanowej godną siebie towarzyszkę, która wszystkie spory polityczne nazywała „Dummes Geklapper“.

Jeżeli spory o rzeczach publicznych za długo trwały, zjawiała się ciocia Herminja z konfiturami, aby je osłodzić. Witold dostawał większą porcję od innych, a zacna kapitanowa przynosiła mu czasem ukradkiem drugi talerzyk, za co dostawała od Idy dziękczynne spojrzenia.

Witold to widział i połykał słodycze z niemałem zadowoleniem. Po tych słodyczach następowała słodsza od nich choć krótka rozmowa z Idą we framudze okna, albo przed zwierciadłem, gdzie bukiet żywych kwiatów oboje podziwiali. Szczęście, widocznie sprzyjało Witoldowi.

Po kilku takich rautach, wizytach i spotkaniach w teatrze i na koncertach, był Witold już pewny swego szczęścia. Sądził, że potrzeba tylko ostatniego formalnego kroku, aby dojść do

celu. Nawet kapitanowa sprzyjała mu widocznie, choć go zrazu w niemiły błąd wprowadziła.

Chodziło tylko teraz o to, aby dokładnie w sytuacji się rozpatrzeć. Nie miał własnego domu, do którego mógłby wprowadzić młodą żonę, a posady intratnej także jeszcze nie było. Fundusik jego mógłby mu wprawdzie wystarczyć na podróż poślubną, ale trzeba było pomyśleć nad tem, jak powrócić, i jak się nadal urządzić. Nie wypadało wprowadzić się do domu hrabiny Herminji.

Takiemi myślami zajęty, spotkał właśnie Henryka.

— Chciałbym się z tobą rozmówić i niejako rady zasięgnąć od ciebie.

Henryk wziął go pod ramię.

— Przypadek zrządził, — mówił dalej Witold, że, przyjechawszy do stolicy, mogę zaraz na wstępie znaleźć żonę.

— Winszuję ci,—odrzekł Henryk,—bo jest piękna i jakby dla ciebie stworzona. Szkoda tylko że Niemka.

— Gdy ją wezmę do kraju, przejdzie na na naszą stronę. Alboż nie mieliśmy tego przykładów?

— Prawda, znam kilka.

— A nawet byłoby to patrjotycznie z mojej

strony przymnożyć ludności krajowi — no i pieniędzy.

— Niezawodnie, statystyka wiele dzisiaj znaczy.

— Chodzi jednak właśnie o te pieniądze.

— Cóż ja ci w tem poradzę?

— Jeżeli nic nie wiesz, to możesz przy swoich stosunkach zasięgnąć informacji co do Hohenestów. Dotąd wiem tylko, że pani Ida jest piękną, że się gustownie umie ubrać, że gra i śpiewa i po francusku bardzo dobrze mówi, co się u Niemek bardzo rzadko wydarza.

— Czy ci to nie wystarcza, że jest wdową?

— Żart na bok, chodzi mi o zwykłą towarzyską informację. Jeżeli się w czyim domu bywa, trzeba wiedzieć, na jakich podwalinach ten dom stoi.

Henryk zamyślił się.

— Wprawdzie można wnosić z otoczenia,— mówił dalej Witold,—ze skali na jaką się dom prowadzi, o zasobach materjalnych tego domu, ale zawsze wypada się zapytać, jakiego rodzaju są te zasoby. Jeżeli miljonowy mydlarz bale wydaje, to każdy z gości wie, że posadzka świeci się od mydła.

— U Hohenestów niema ani mydła ani dziegciu, przeciwnie, jest silna woń dumy rodowej.

— Najwspanialszy ród przecież manną żyć

nie może. W takim razie ciążyłby na mnie obowiązek podtrzymania blasku tego rodu. Czy Ida ma swój osobisty majątek, czy razem z ciocią Herminją? Czy jest on w ziemi, czy w kamienicach lub fabrykach.

— Zdaje mi się, że ani jedno, ani drugie, ani trzecie.

— A więc kapitały dobrze lokowane?

— Bardzo wątpię.

— A za co u djabła prowadzą tak wytworne życie? — krzyknął Witold tak głośno, że aż stojący na rogu ulicy policjant na niego spojrzał.

Henryk odchrząknął i obejrzał się dokoła.

— Chcesz wiedzieć, o czem ludzie już przed rokiem wiedzieć chcieli,—odpowiedział dyplomatycznie,—a czego nie dowiedzieli się wcale.

— Cóż to za zagadka—zawołał Witold w widocznem podrażnieniu.

— Przed rokiem zagadkę tę chciano rozwiązać. Przyszło z tego powodu do pojedynku, w którym mąż Idy zginął.

Witold chwycił Henryka za ramię.

— Zlituj się — miałażby hrabina Ida...

— O niej nigdy mowy nie było, jest zacna, poczciwa, może nieco za poetyczna. Do plotek nie dała nigdy powodu.

Rozjaśniła się twarz Witolda.

— A więc inna zagadka — zapytał niecierpliwie?

— Major hrabia Hohenest, ranny przy szturmie Strasburga był już na pensji, gdy się z Idą ożenił. Prowadził dom na wielką skalę. Przyjmował wiele gości u siebie, aby młodą małżonkę zabawić. W salonie śpiewano, deklamowano, a w dalszych pokojach grano w karty. Ponieważ major osobistego majątku nie miał, a żona, córka generała także nie wiele po ojcu odziedziczyła, powstały więc o jego dochodach rozmaite plotki.

— Skądże mogły płynąć te dochody?

— Przypuszczano, że major grał w karty... bardzo szczęśliwie.

— Rozumiem.

— Stąd przyszło do pojedynku — i pani Ida utraciła męża.

Milczenie głębokie zapanowało.

— A po śmierci majora? — zapytał Witold.

— Po śmierci męża cofnęła się młoda wdowa od świata, i w samotności żałobę przebyła.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj jak widać wchodzi napowrót w dawny tryb życia, mimo że nieboszczyk w karty już nie grywa.

Witold nachmurzył czoło.

— A skądże teraz płyną zasoby? — zapytał w podrażnieniu.

Henryk milczał czas niejaki jakby się namyślał.

— Być może — mówił powoli — że od jakiej dalszej rodziny wsparcie pobiera.

Zatrzymał się chwilkę jakby coś więcej po namyśle chciał powiedzieć — gdy nagle ktoś rękę na jego ramieniu położył.

Obrócił się i ujrzał radcę, swego pryncypała.

— Przepraszam — ozwał się radca — chciałbym tylko parę słów powiedzieć.

Wypadało Witoldowi na razie pożegnać Henryka i cofnąć się.

— Mam ci to mój młody przyjacielu powiedzieć — rzekł z uśmiechem radca — że nasza Lorelei już trzy almanachy z biblioteki wypożyczyła, aby się coś o Hohenestach dowiedzieć. Jeżeli jeszcze nie jesteś zupełnie oczarowany, to przyjdź dzisiaj na knedle z wołowym ogonem, a będziesz miał informacją o pięknej wdowie i jej cioci, jakiej pewnie nikt z gości nie posiada. A nie zapomnij przyjść, bo przez trzy dni, w których nie byłeś, bije Lorelei swego „bibi“ trzy razy dziennie!

Radca rozśmiał się ze swego własnego dowcipu, i podał rękę Henrykowi na pożegnanie.

Gdy Henryk się obejrzał, już Witolda nie było.

XX.

Po tem, co od Henryka był usłyszał nie miał już Witold ochoty z nim rozmawiać. Wszedł w boczną ulicę, która prowadziła do mieszkania Marty. Chciał z nią podzielić się swoim smutkiem z doznanego zawodu.

Marta wróciła właśnie od swojej nauczycielki. Na fortepianie obok kapelusza i zarękawka, leżała teka z nutami.

— Chodzisz z teką jak pensjonarka — zagadnął Witold zamiast przywitania — mogłabyś jakoś inaczej to urządzić, lub wziąć doróżkę, bo cię wezmą za guwernantkę.

— Nie obawiaj się mój Witoldzie — odrzekła, ściskając go Marta, hrabina Ida mnie nie zna, a może nawet i nigdy znać nie będzie.

— Obyś nie wymówiła w złą godzinę, bo na to już się zanosi — wtrącił Witold chmurnie.

— Co mówisz! — zawołała Marta z jakimś nieokreślonym uśmiechem, który miał zadziwienie oznaczać.

Witold nic nie odpowiedział. Przeszedł się kilka razy po pokoju, jakby burza wewnętrzna usiedzieć mu nie pozwalała. Marta z tym samym uśmiechem patrzała za nim. Wiedziała ona o jego marzeniach, bo sam o tem jej mówił. Chciał nawet ją do Hohenestów wprowadzić, ale Marta oparła się temu, zasłaniając się żałobą po dziadku. Napróżno tłómaczył jej Witold, że żałoba po dziadku nie jest żałobą ciężką, że pozwala bywać na rautach i koncertach. Dowodził, że jej obecność na salonach Hohenestów nietylko dla jego zamiarów, ale nawet dla niej samej może być pożyteczną. Może tam kogo ujrzeć i być widzianą, a sposobność taka wpływa często na przyszłość ludzi. Dlaczegóż z takiej sposobności nie korzystać?

Z życzliwości dla brata obiecywała Marta kiedyś zbliżyć się do hrabiny Idy, ale co do widoków znalezienia w jej salonie męża, na to się wcale zgodzić nie chciała.

— Nic mi nie masz do powiedzenia? — zapytała po długiem milczeniu brata, który ciągle chodził po pokoju.

Witold zatrzymał się przed nią. Trzymał ręce w kieszeniach i patrzył przed siebie szklanemi oczyma. Miał minę wojażera, który zgrał się w Monte Carlo i teraz przemyśliwa jakimby sposobem wrócić do kraju.

Odetchnął wreszcie głęboko i rzekł:

— Miałbym ci wiele do powiedzenia, albo wcale nic. Jeżeli chcesz abym mówił o hrabinie Idzie, to ci powiem że zawsze jest dla mnie piękna, miła i zachwycająca, mógłbym ją szczerze kochać, a nawet się z nią ożenić, gdyby okoliczności były po temu.

— Czy nie ma pieniędzy? — zapytała Marta z tym samym uśmiechem nieokreślonym.

— Mniejsza o jej pieniądze — gniewnie odparł Witold — gdybym sam miał dostateczny majątek.

Marta obrzuciła Witolda pełnem, badawczem okiem. Zdawało się jej, że patrzy na Herkulesa, który się zatrzymał przy drogach rozstajnych. Nieznaczny uśmiech przebiegł po jej twarzy.

— Powiadasz, że nie możesz myśleć o hrabinie Idzie, bo nie masz dostatniego majątku. A jakimże sposobem dotąd o niej myślałeś?

— Myślałem że ona ma znaczny majątek.

Uśmiechnęła się Marta. Twarz błysnęła gniewem.

— Przecież nie możesz mnie posądzać — zawołał — abym tylko dla pieniędzy chciał się z Idą żenić. Ożeniłbym się z nią, bo ją mogę kochać, i sądzę że i ona byłaby mi wzajemną. Ale rozum przecież każe myśleć o przyszłości,

o ognisku domowem i także o tem, co taka kapłanka ogniska kosztować może! Przecież bez takiego rachunku nie można całego życia na kartę stawiać!

Marta milczała chwilę.

— Poniekąd masz słuszność—ozwała się— ale nie ze wszystkiem. Jeżeli jak powiadasz Ida nie ma majątku, to nie powinna także mieć większych pretensji. Gdybyś jaką posadę otrzymał, mógłbyś, jeżeli Idę kochasz, z nią się ożenić. Do gotowego chleba żony przyjść, nie zawsze zdrowo.

Witold rzucił się na krzesło.

— Twoje morały są bardzo piękne — zawołał, zapalając cygaro — szkoda, że nie każesz ich wydrukować w jakiej książeczce dla dorastających dzieci. W praktyce życia inaczej to wygląda. Hohenest prowadził dom na wielką skalę, a Ida przyzwyczaiła się jak widać do tego. Skąd dzisiaj biorą na to pieniądze, nie wiem. Zapewne ściągają coś od dalszych krewnych, aby choć przez sezon zimowy błyszczeć. Nieraz to się robi, jeżeli się chce męża złapać.

— Witoldzie — i ty mówisz to o kobiecie, którą kochasz i z którą chciałbyś się ożenić?

Rumieniec oburzenia przebiegł po twarzy Marty.

— Ależ tego tak nie powiedziałem — odparł Witold, wypuszczając chmurę dymu —jak ty to zaraz tłómaczysz. Powiedziałem tylko, że najczęściej tak w świecie się dzieje.

— Żal mi ciebie, bo widzę że stoisz przy rozstajnych drogach, a nie wiesz którą iść; cóż ja ci poradzę?

— Wiem, że mi nic nie poradzisz—smutno dorzucił Witold.

Nastąpiła dłuższa pauza. Witold wydmuchiwał misterne kółka z dymu, i patrzył jak one pękały. Marta miała twarz ożywioną, jakby jej w głębi duszy coś grało.

— Wreszcie zdobyłabym się na radę—zaczęła Marta — gdybyś mnie chciał usłuchać. Tradycyjny jest u nas zwyczaj, przed ślubem nic o środkach do życia nie mówić. Łudzimy się i łudzimy innych domysłami. Nadajemy sobie pozory znaczniejszych zasobów, wyrzucamy garściami pieniądze na efekt, panna młoda przysposabia sobie królewską wyprawę, narzeczony zarzuca ją drogimi bukietami, obiecuje jej Paryż, Rzym i Wenecję—a w parę miesięcy po ślubie okazuje się, że niema co jeść. Bieda, rozczarowanie, zniechęcenie, i wzajemne wyrzuty zamieniają ognisko domowe na zgliszcza, dymiące swędem. Zamiast spodziewanych roskoszy wyłażą z każdego kąta troski, zmart-

wienia i rozpacz. Czyż nie można tego wszystkiego uniknąć?

— Mów dalej, mów, twoja wymowa działa przyjemnie na moje nerwy — rzekł Witold z uśmiechem, bawiąc się ciągle kółkami dymu. Przypomina mi to niezapomniane kazania dziadunia.

Z rumieńcem na twarzy mówiła Marta dalej:

— Na twojem miejscu, przy pierwszej sposobności odsłoniłabym przed Idą szczerze i otwarcie moje położenie. Możesz jej powiedzieć, że majątek sprzedany, a co z niego zostało, może ci posłużyć do wyszukania jakiegoś stanowiska. Taka otwartość wywoła także i z jej strony pewne wyjaśnienia, które dzisiaj są tylko domysłami. Rozumie się, że to wtedy stać się może, jeżeli prawdziwa miłość wasze serca łączy.

Zaśmiał się Witold homerycznie.

— Ha, ha, ha! W takim razie żaden mężczyzna nigdyby się nie ożenił. Może być, że tak żenią się żydzi i niemcy! U nas, nie przeczę wcale, są zawsze pewne przedślubne złudzenia z jednej i drugiej strony, które się jakoś potem przebolą. Kobiety osobliwie chętnie przebaczą pewne braki później, jeżeli tylko przy ślubie opinia ludzka jest olśniona.

Zarumieniło się czoło Marty.

— Czy masz nas wszystkie za takie gąski?

— *Excusez du peu*, nie czynię żadnych wyjątków.

Marta zerwała się z krzesła i przeszła kilka razy po pokoju. Tętna biły widocznie na jej skroniach, w oczach połyskiwały iskry. Witold patrzył na nią z uśmiechem politowania.

— Czytałem i ja, — rzekł po chwili, — że szlachcianki z białych dworów naszych mogą wychodzić za prostych chłopów i być szczęśliwe. W książce wygląda to wspaniale, ale w motywach autorskich, otynkowanych wywodami publicznymi przebija w gruncie—fizjologja.

Marta bratu nic nie odpowiedziała, tylko chodziła dalej po pokoju.

— Cóżbyś na to powiedziała,—mówił dalej z sarkazmem Witold,—gdyby pewnego pięknego poranku zjawił się przed tobą kuzynek-ślusarczyk i o rękę cię poprosił.

Zatrzymała się nagle Marta. Twarz jej poczerwieniała, oczy strzeliły ogniem.

— Nie mów tak, — zawołała, — bo ten kuzynek-ślusarczyk jest jednym z najszlachetniejszych. Może on mieć pewne ekscentryczne porywy jako człowiek młody, ale życzyłabym sobie, abyś ty tyle co on posiadał zacności.

Witold zaśmiał się serdecznie.

— Jak widzę, emancypujesz się w stolicy

i wchodzisz w nowe prądy wieku. Nicbym nie miał przeciw temu, gdybyś sama jedna była na świecie, i nie wiedziała, kto cię rodzi. Ale masz świadomość swego nazwiska, i masz brata, któremu swoją fantazją bardzo zaszkodzić możesz. Wiem, że kuzynek mniemany tu bywa. Nie mam nic przeciw temu, że się nad nim litujesz i kiedy niekiedy jakie słowo do niego przemówisz, ale życzyłbym sobie, aby to poza ściany tego pokoiku nie wychodziło. Nie wszyscy ludzie są tak wyrozumiali, a w moich zamysłach mogłoby mi to zaszkodzić.

— O bądź pewny, — odpowiedziała Marta z rumieńcem gniewu, — bądź pewny, że hrabina Ida Hohenest nigdy się o naszym kuzynku nie dowie, chyba wtedy, gdy ty sam o niej zapomnieć raczysz.

— Dziękuję ci za tę obietnicę, — odpowiedział Witold z uśmiechem, — nie jest ona także bez wartości.

Milczenie trwało czas dłuższy. Witold dopalał niby obojętnie cygaro, a pierś Marty podnosiła się wysoko i zapadała jakby z cichem westchnieniem.

Dopaliwszy cygara, zwrócił Witold rozmowę na rzeczy codzienne i wkrótce pożegnał siostrę. Marta w milczeniu podała mu rękę.

XXI.

Podrażniony rozmową z Henrykiem i Martą, wrócił Witold do hotelu. Chciał być sam, chciał w samotności uspokoić się i spokojnie pomyśleć nad tem, co był usłyszał. A było nad czem myśleć.

W pokoju hotelowym znalazł wprawdzie samotność, ale podrażnione nerwy nie chciały się uspokoić. Z dolnego tarasu dolatywała muzyka koncertu, który dzisiaj w programie miał same sonaty, nokturny i elegje. Przytłumione tony wybiegały gdzieś z oddali, i tworzyły dziwne złudzenie. Były podobne do chóru duchów złych albo dobrych, stosownie do instrumentów. Gdy elegijna viola naśladowała śpiew aniołów przez kontrabas, puzony i waltornie odzywały się jakby złowrogie duchy podziemne.

Na takiem tle odbywał mózg swoją czynność. Jaśniejsze myśli i marzenia zmieniały się w rozczarowania i zwątpienia. Co było przed chwilą pięknem i rozkosznem, stawało się po niejakim czasie złudzeniem i pomyłką.

Myślał po raz dziesiąty:

— Mógłbym być szczęśliwy z tą kobietą, ale nie mogę o tem marzyć, jeżeli ona nie ma dostatniego i odpowiedniego sobie majątku.

Datki krewnych mogą wystarczyć, aby efekt dostatku do ślubu przeciągnąć. Jeżeli tak rzeczy stoją—nie głupim!

Przeszedł się kilka razy, gdy puzony i waltornie najgłośniej się odzywały.

— Oni myślą, że mam znaczny majątek. Kapitanowa mówiła mi, że zna nasze „Schlossy“ w księstwie i że się jej bardzo podobają. Napomknęła nawet raz, że mój „Schloss“ nazywa się Leliwita, bo na karcie wizytowej stoi „Ritter von Leliwita“. Głupia!

Znowu przeszedł się kilka razy po pokoju. Waltornie i puzony ucichły, ozwała się viola z arfą. Witold myślał teraz:

— Piękna jest Ida i czarująca, mógłbym ją kochać i być dumny, że ją posiadam. W każdym salonie może być królową, na balu wszyscyby się nią zachwycali. Mógłbym być szczęśliwym. W jej szafirowych oczach jest niebo, złotawe, jej włosy przypominają skrzydła aniołów, które tron Boga podpierają. Jej głos jest pieśnią, a uścisk małej rączki sprawia uczucie iskry elektrycznej ze stu stosów Volty!... Widocznie mnie kocha. Mówią to jej oczy, wyznaje jej głos, stwierdza uścisk ręki. Drugiej takiej niema na świecie!...

Tu ustała viola i arfa powoli zamilkła. Za-

stąpił je fagot z waltornią, a od czasu do czasu odzywały się talerze. Witold myślał dalej:

— Jeżeli Ida nie ma majątku, to wszystko i funta kłaków nie warte. Któż w takim razie roi o niebieskich migdałach? Nie głupim!

Do fagotu i waltorni przymieszały się kontrabas, puzony i skrzypce.

— Nie wiem nawet,—myślał dalej,—poco tak długo nad tem się zastanawiać. Przecież znowu tak bardzo się w niej nie zadurzyłem, aby głową mur rozbijać. Widziałem niejednę podobną, a przecież głowy nie straciłem. Piękna jest, to prawda, ma wiele wdzięku w całem obejściu się, ale ósmym cudem świata nie jest przecież ... Bywają jeszcze ładniejsze na świecie. Dla niej głupstwa zrobić nie mogę, a byłoby to wielkiem głupstwem. Za kilka dni mogę o niej zapomnieć. Nawet już teraz dziwię się sam sobie, że tak długo głowę sobie nią zaprzątnąłem. Przejdzie to jak niejedna rzecz przeminęła. Nie zobowiązałem się do niczego, nie oświadczyłem się jej formalnie. Nie może mieć do mnie żalu, tak samo jak i ja do niej nie mam za to, że jest piękną i że mnie w błąd wprowadziła zbytkiem swojego domu.

Muzyka koncertowa zamilkła. Nastąpiła długa pauza. Witold wstał i zaczął się po pokoju przechadzać. Krok jego był lekki i swobodny.

Zdawało mu się, że już pozbył się swojej mrzonki niedorzecznej, i że walka z tą mrzonką niezbyt wiele go kosztowała.

Zaczął już sobie układać plan na dni następne. Jutro miał iść do teatru, pojutrze miał zwiedzać arsenał królewski, gdzie stoją od kul powyszczerbiane armaty francuskie i podarte sztandary.

Wracała mu już wesołość i ta swoboda, jaką daje młodość—gdy nagle drzwi się otworzyły. Była już późna godzina.

Do pokoju wszedł Henryk.

Henryk miał twarz ożywioną, jakby z czemś przyszedł. Nie widział tego Witold, który rachunek już z sobą skończył. Nie był ciekawy, bo cóż mógłby mu Henryk ciekawego jeszcze powiedzieć po tem, co mu opowiadał. Zdaje się, że i Henryk dostrzegł pewne uspokojenie Witolda, bo twarz jego traciła pewne ożywienie, jakie na niej malowało się przed chwilą. Powoli przybierała ta twarz pewną obojętność dyplomatyczną.

— Tak prędko zniknąłeś mi z oczu, — zaczął po chwili, — że nie miałem nawet czasu z tobą się pożegnać. Dlatego, przechodząc koło hotelu, wstąpiłem na chwilę.

— Zawsze jesteś mi miłym i upragnionym,— odpowiedział Witold spokojnie, podając mu

rękę, — choćby tylko dlatego, że wyleczyłeś mnie z głupstwa.

Henryk spojrzał z uwagą na Witolda. Zdawało się, że waży w swojej głowie, czy ma na tem co słyszał poprzestać. Chciał już rozpocząć rozmowę o rzeczach potocznych, gdy nagle Witold odezwał się:

— Czyż to nie było głupstwem z mojej strony? Poco i naco zaprzątać sobie głowę, szkoda czasu i atłasu.

— O czemże mówisz,—zapytał z nieznacznym uśmiechem Henryk.

— O hrabinie Idzie.

— Mówiłeś, że ją kochasz.

— A od czegóż są nerwy, jeżeli nie od tego, aby po nich od czasu do czasu przebiegały i ulatniały się iskry elektryczne.

— Tak?...

— Nieinaczej.

— W takim razie nie mam ci więcej nic do powiedzenia. Jeżeli pewne ulotne uczucie nazywasz chorobą, to muszę uszanować twoje uzdrowienie.

Obojętnie przystąpił Henryk do świecy i zapalił cygaro. Witold patrzył na niego z rosnącą ciekawością. Po chwili ozwał się:

— Widzę, żeś chciał odwiedzić pacjenta, a tymczasem obaczyłeś zdrowego człowieka.

— Nie przeczę temu.

— A co byś robił, gdybyś obaczył pacjenta?

— To już przy mnie zostanie, jeżeli nie potrzebujesz dalszych recept. Jest mi to nawet na rękę.

Witold położył się na fotelu i wydmuchnął chmurę dymu.

— Zaciekawiasz mnie swoją miną urzędową. Chciałbym przecież wiedzieć, co za tą miną się ukrywa?

— Do miny urzędowej przyzwyczaiłem się w urzędzie, a nie weźmiesz mi tego za złe, jeżeli i wobec ciebie ją zatrzymam.

Nastąpiła dłuższa pauza. Witold wypuszczał kółka z dymu, a Henryk przechadzał się po pokoju.

— Powiedz sam,—zaczął po chwili Witold,— czyż to nie było głupstwem z mojej strony myśleć o hrabinie Hohenest, jeżeli ona osobistego majątku nie posiada, a mnie z rodzinnego mienia mało się co zostało?...

— Temu wcale nie przeczę.

— To co się tam świeci i błyszczy, to jakieś prawdopodobnie datki dalszych krewnych, aby młodą wdowę za mąż wydać.

Henryk zatrzymał się przed Witoldem, aby mu na to odpowiedzieć. Zdawało się że się

namyśla—ale nic nie powiedział. Zaczął znowu chodzić po pokoju.

— Cóż taka jałmużna chwilowa znaczy,— mówił Witold dalej,—można tylko głupich na nią złapać.

Henryk nagle zatrzymał się.

— Nie powinienem nic ci na to odpowiedzieć, — zawołał z pewnym przymusem, — ale z drugiej strony nie mogę przemilczeć tego co wiem i co słyszałem. Są to wprawdzie domysły, ale rozświecić w braku prawdy mogą i domysły ciemną ścieżkę.

— Czy to się tyczy hrabiny Idy?—zapytał Witold, strzepując popiół z cygara.

— Hrabina Ida, a raczej jej dzisiejsza opiekunka ciocia Herminja otrzymuje znaczne datki z pewnej ręki, która nie chce i nie może być widomą. Obiegały już dawniej wieści podobne, ale dzisiaj właśnie mówiono o tem w rodzinie radcy.

Witold podniósł się z fotelu.

— Czy radca...

— Radca oprócz spraw rodzinnych nie mówi w rodzinie o niczem innem. Przyzwyczaił się do milczenia od lat czterdziestu, t. j. jak rozpoczął służbę państwową. I ja o tem poufnie tylko z tobą mówić mogę.

— Słucham cię.

— W kole rodzinnem mówiono wiele o Hohenestach, odgrzewano różne plotki, które krążyły przy pojedynku majora i rzucono na ten dom tajemniczy nowe światło, o którem ja już dawniej nieco wiedziałem. Wynika stąd, że hojna a niewidoma ręka opiekuje się przeważnie hrabiną Idą....

Witold powstał z fotelu.

— Czyżby hrabina Ida, — zawołał porywczo, — czyżby ta eteryczna Laura...

— Nie ubliżaj jej,—przerwał szybko Henryk,—bo tu o coś innego chodzi.

— O cóż więc chodzi?

— Są pewne sytuacje, w których nie chodzą ludzie utartą drogą uświęconego prawa lub zwyczaju. Wynikają stąd pewne poza prawem obowiązujące stosunki, które przed światem zazwyczaj się kryją....

Witold chwycił za ramię Henryka.

— Więc wychodzi na moje,—krzyknął w podrażnieniu, — że hrabina Ida....

— Jest zupełnie niewinną, jeżeli wśród nienormalnych okoliczności na świat przyszła.

Witold odstąpił od Henryka na kilka kroków. Zdziwienie wielkie malowało się na jego twarzy. Patrzył na Henryka, oczekując dalszych wyjaśnień.

— Urodzeniem swojem,—mówił dalej Henryk cichszym głosem,—ma hrabina Ida sięgać sfer wysokich, bardzo wysokich.

Witold zaparł oddech.

— Hojna ręka łożyła na jej wykwintne wychowanie, które daleko więcej kosztowało od skromnej pensji wdowy po generale.

Witold ciągle słuchał. Po pauzie mówił Henryk dalej:

— Potem wydano ją za majora hrabiego Hohenest, a niektórzy widzą nawet w tem nazwisku, dla niej wyszukanem jakby wskazówkę źródła, z którego ona pochodzi. Hohenest—co może oznaczać: „Wysokie gniazdo!“

Witold stał jakiś czas jakby odurzony. Podniósł rękę do czoła, które było w tej chwili gorące i rzucił się na fotel. Henryk przeszedł się tymczasem kilka razy po pokoju jak człowiek, któremu wreszcie spadł kamień z serca.

Po chwili zrobiło mu się żal, widząc, że takiego klina zabił w głowę Witoldowi.

— Uprzedziłem cię, — rzekł do niego,—że to nie jest prawdą dokumentną, ale domysłem tylko, który jedynie może należycie oświecić ten dom tajemniczy.

Witold nie słyszał tych słów. Jego myśli wybiegły do znanej szarej kamienicy, w której już sam nie miał bywać. Urok niezwykły opromienił teraz złotą główkę młodej kobiety.

Urodzona w sferze wysokiej, nie mogła się do niej przyznać. Matka jej, przed którą zamknęły się podwoje wysokie, musiała jak Hagar iść na puszczę z biedną sierotą.

— Czy sądzisz, — zapytał po chwili, — że ta hojna, a niewidzialna ręka z wysokiej sfery... może z najwyższej?

Henryk nic nie odpowiedział. Zamknął się w dyplomatycznem milczeniu. Witold milczenie to wziął za odpowiedź.

— Jeżeli tak wysoka ręka nią się opiekuje,— mówił dalej Witold z pewną gorączką, — to zapewne zechce ta ręka znowu wynaleźć dla niej męża z jakiego „wysokiego gniazda"?

— Powtarzam ci, że to są tylko domysły,— odrzekł Henryk,—jak i to, że co do wyboru męża, pozostawiono jej wolną wolę.

— Czyś słyszał o tem?

— Była i o tem mowa.

Witold szybko przeszedł się po pokoju. Nagle zatrzymał się przed Henrykiem i rzekł:

— Czy ty wiesz, że ja jestem zawsze tym pacjentem, o którym mniemałeś, że już wyzdrowiał? Udawałem tylko ozdrowionego gdyś przyszedł, bo nie chciałem słuchać twoich morałów. Teraz przyznam ci się, że Idę kocham, i przemyśliwałem nad tem, jakby to ją choćby w jakiej „chatce pustelnika" umieścić.

— Możesz teraz marzyć o dumnych pałacach — dorzucił ze śmiechem Henryk — tylko nie zapomnij o tem, że to wszystko tylko domysły, domysły i domysły!

— Pyszne, królewskie domysły! Czy ty wiesz, że przy protekcji tak wysokiej ręki można wyjść także wysoko: Można zostać wielkorządcą kraju, ministrem, ambasadorem... choćby tylko przy dworze perskiego szacha.

Ostatnie słowa miały oznaczać zwrot żartobliwy, to też i Henryk żartobliwie pożegnał przyszłego męża Idy i dygnitarza.

Witold ucałował serdecznie Henryka, a gdy tenże odszedł, chodził jeszcze długo w noc zamyślony po pokoju. A gdy w końcu na spoczynek się udał i sen nielitościwy zamknął mu powieki, widział przed oczyma duszy w złotą odzież ubranego szacha, potem królowę hiszpańską z djademem na głowie, walkę byków, a w końcu prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej, wśród anarchistów zapalających lonty do bomb piekielnych.

XXII.

Niezależnie od myśli i marzeń naszych znajomych toczyły się z gwarem i szumem po-

bruku stolicy różne sprawy publiczne. Horyzont zaciągał się chmurami, z których jedne mieściły w sobie gromy i pioruny, a z drugich, jak to mówią, łyskało się na pogodę. Spokój i tajemniczość pierwszych przerażała, fajerwerkowe błyski drugich bawiły i cieszyły spektatorów.

W całem państwie, a więc i w stolicy miały się odbyć wybory do parlamentu. W okazałych lokalach jak i w zadymionych piwniczych gospodach zgromadzali się ludzie. Rozprawiano o przyszłych wyborach, domniemywano się kandydatów, a domniemanym stawiano różne horoskopy. Dzienniki zamieszczały długie artykuły o tem, kogo wybrać, a kogo nie wybrać, co przyjąć, a co odrzucić należy. Zawrzała walka między dziennikami różnych panów i stronnictw. Każdy chciał zbawiać państwo i ludzkość, a stojące przed wielkim ołtarzem wołały: Panie, dziękujemy ci, że nie jesteśmy takie jak tamte.

Nawet, chodzący po ulicach, tak zwani: bumlery wyglądali teraz inaczej. Na bezmyślnych twarzach widać było ciekawość, a na gładkich czołach rysowały się nawet wstydliwie jakieś myśli. Zatrzymywali się oni na rogach ulic i czytali z uwagą rozlepione arkusze w wielkim formacie. Szli od rogu do rogu, szukając drugiego afisza, któryby był odpowiedzią na pierwszy. A było to trudem niemałym przeczytać te wszystkie bibuły, jakiemi zalepiono całe ściany kamienic.

Oprócz tych urzędowych ciekawców czytali te odezwy i programy patrjotów inni mieszkańcy stolicy. Gołobrody młodzieniec spojrzał najczęściej mimochodem tylko na paragrafy programu, ruszył ramionami, rozśmiał się i poszedł dalej. Za nim to samo uczynił łysy emeryt, czytając przez podwójne okulary wezwanie do obowiązków obywatelskich.

— Niech się ludziska bawią—szepnął emeryt do muru i poszedł dalej.

Nadszedł robotnik w szarej bluzie. Przeczytał, pokiwał głową, machnął ręką i odszedł. On spieszył po chleb, aby choć na parę godzin głód kilkorga dzieci zaspokoić.

Fale tego ruchu wzbierały i podnosiły się coraz więcej. Mnożyły się w plakaty, rosły grupy czytających, okazałe lokale i zadymione szynki napełniały się coraz więcej.

W rozmowach publicznych mówiono najprzód o sprawach bieżących, potem o wnioskach rządu, jakie tenże ma przyszłemu parlamentowi przedłożyć, a w końcu zwrócono się i do przeszłości, aby ją nicować i krytykować.

Przy tak zwiększonym ruchu umysłów poja-

wiły się i inne symptomata gorączkowe. Przyspieszony puls organizmu musiał oddziaływać na nerwy wyobraźni. W dziennikach pojawiał się alarm o nowej wojnie. Widziano ją już w niedalekiej perspektywie, jak się widzi okręt na krawędzi morza, jak widać w pustyni afrykańskiej rozmaite miraże.

Wszystko to widziano wyraźnie w najdrobniejszych szczegółach. Szpica jazdy francuskiej wysuwała się już naprzód, na jej bokach szli tirajlerzy, rozsypani po dolinie Renu, a tam z Wogezów wychylały paszcze działa stalowe. Z drugiej strony od wschodu widziano Kozaków z dzidą nałożoną do ataku, słyszano okrzyk wojenny lekkich, jak wiatr, Dońców, a za nimi szarzała masa niezliczona, najeżona bagnetami.

Roznamiętnieni politycy lokalów publicznych zostali nagle zaskoczeni tym widokiem niebezpieczeństwa publicznego. Przygotowane długie i siarczyste mowy, skracały się i łagodniały na widok armji nieprzyjaciela. Patrjoci uważali za obowiązek odstąpić wobec grożącego niebezpieczeństwa od głębszych krytyk wniosków rządowych. Z bólem serca, lecz z rezygnacją godzili się na to, co od nich żądano. A liczba takich wzrastała coraz więcej, im więcej pisano w dziennikach o niebezpieczeństwie publicznem.

Znaleźli się jednak tacy, którzy tym strachom nie dowierzali. Mniemali, że te strachy o bliskiej wojnie wywieszono naumyślnie, aby lękliwych przestraszyć i przemienić ich w potulnych. Odważono się nawet wyśmiewać te strachy, i pytano wiele pieniędzy będą one kosztowały i o wiele w tym celu trzeba będzie zwiększyć cyfrę podatków. Były to argumenta nieomylne, które wywierały wrażenie.

Prostoduszni idealiści polityczni inaczej pojęli takie niebezpieczeństwo publiczne. Pieniędzy szkoda, bagnety, armaty i proch bezdymny były im wstrętne. Zaczęli się krzątać koło zwołania kongresu wiecznego pokoju, aby milionami głosów zmusić państwa i narody do wieczystej przyjaźni. Rozumie się pod warunkiem, że Niemcy zatrzymają jak dotąd, bronią zdobyte, Alzację, Lotaryngję i płat duńskiego kraju, aby je przez dłuższy czas pokoju należycie strawić i swemu organizmowi przyswoić.

W dwóch więc kierunkach poruszyły się umysły. Jedne chciały tylko poprawy tego co jest i ulżenia ciężarów, inne drogą teorji politycznych i naukowych sięgały nieco dalej.

W tym czasie salony hrabiny Herminji Hohenest otwierały się dla swoich gości częściej, niż zwykle. Dwa razy co tygodnia napełniały się licznie, a zacna gospodyni była tem więcej

uradowaną, im więcej było u niej natłoku i gwaru.

Witold nie opuścił żadnego takiego wieczoru. Mniej obchodziły go spory stronnictw państwowych, za to wielką roskosz sprawiały mu mgliste spojrzenia hrabiny Idy i wiele znaczące półsłówka.

Płynął on teraz rozwiniętym żaglem na fali szczęścia. Ostatnie rewelacje Henryka otoczyły złotawą główkę Idy jeszcze większym urokiem. Widział w niej ofiarę srogiego losu, głośną skargę nieudolnych urządzeń ludzkich, wygnankę ze sfery, która się jej po krwi słusznie należała. A urok ten zwiększał się jeszcze więcej, gdy widział że niewidzialna, hojna ręka chce jej to wszystko wynagrodzić, i otacza ją rodzicielską prawie opieką.

Czuł teraz, że ją kocha i wierzył że miłością swoją wynagrodzi jej to, co ona przez zrządzenie losu utraciła.

Hrabina Ida nie była obojętną okazywanej jej przyjaźni. Szafirowe jej oczy spoczywały rozmarzone na dorodnej postaci Witolda -- pierś jej podnosiła się, gdy się do niej zbliżył, słowem wypowiedziała mu wszystko, co kobieta bez słów wypowiedzieć może.

Witold wiedział już o tem i czekał tylko sposobności, aby ją o te słowa zapytać.

Właśnie dzisiejszy raut wybrał sobie, aby na nim zdobyć ostatecznie złote runo szczęścia.

Raut dzisiejszy był liczniejszy, niżeli zwykle. Przybyli nowi goście, których nie znał jeszcze. Co kilka minut otwierał lokaj w niebieskiej liberji podwoje, a hrabina Herminija witała każdego nowego gościa z gorączkowym rumieńcem na twarzy.

Ożywiona, a nawet burzliwa atmosfera panowała w salonach. Gorączka wyborów do nowego parlamentu z klubów i ulicy przeniosła się do salonów. Każdy gość wchodził już zacietrzewiony rozmową jaką miał przed godziną, lub artykułem dziennikarskim, jaki przed chwilą przeczytał.

Pułkownikowa siedziała na swoim fotelu jak statua Memnona, ale bez głosu. W muzykalnej jej duszy drzemał „Erlkönig“, a nikt go nie chciał obudzić. Długowłosy młody artysta przygotował już inną, specyficznie patryotyczną pieśń z Nibelungów, ale nikt go o tę pieśń nie raczył poprosić. Kapitanowa chciała dzisiaj przemycić francuską

«Si vous n'avez rien à me dire»

piosnkę pani Rotschild, tak ulubioną w salonach, ale wobec patrjotycznych rozpraw zabrakło jej odwagi. Hrabina Ida przygotowała

także dla Witolda sentymentalną piosenkę, ale wśród gwaru zapaśników nie stało dla niej czasu.

Tylko jeden radca legacyjny był dzisiaj ten sam co zawsze. Siedział na swoim fotelu między fortepianem a ścianą, i w tej fortecy czuł się niezdobytym. Twarz jego była gładka i uśmiechnięta dla każdego, kto się do niego zbliżył, starannie pielęgnowana ręka ściskała każdego bez różnicy wyznania i obozu, a słowa miał dla wszystkich tak słodkie, jak pastylki ślazowe.

Henryk Szolc nie brał udziału w rozmowach politycznych. Pocieszał osamotnione kobiety, zacząwszy od tragicznej pułkownikowej aż do wesołej kapitanowej z uśmiechem szansonetki.

Witold najlepszą część wybrał sobie. Z hrabiną Idą ulokował się we framudze okna i tam po cichu rozmawiali oboje. Pomagał im gwar powszechny, bo kilku na raz mówiło.

W głośnych rozmowach politycznych trzymali prym profesor bawarski i baron Raff, ongi hannowerski dygnitarz. Obaj byli podrażnieni zbyt lojalną postawą pułkownika.

— Wolność sumienia — głosił profesor bawarski — jest w naszym wieku prawem każdego człowieka. Kościół jako instytucja boska, stoi ponad rządami. Rząd nie ma prawa mieszać się do spraw jego. A jeżeli wielki kanclerz uznał za stosowne rozpocząć z nim walkę,

to walka ta skończy się na tem, że przyjdzie on do Canossy, choć się tego naprzód wyrzeka.

— I to wkrótce — dodał hrabia Arnold, o bladej twarzy a żółtych bakenbardach, adherent towarzystwa katolickiego,—są już teraz tego oznaki. A zresztą mojem zdaniem ta walka kulturna, podniesiona z taką ostentacją, nie jest niczem innem, jak tylko niegodnym wielkiego człowieka sposobikiem zażegnania burzy, która się na innem miejscu podnosi.

— Sztuki kuglarskie,—zawołał chudy wysoki brunet z twarzą ogoloną,—bo w wolnem państwie musi być wolność dla wszystkich. Jeżeli wolno jest tworzyć stowarzyszenia, chociaż pod kontrolą rządową, dlaczegóż zakazane jest stowarzyszenie duchownych, które działa tylko w celach religijnych.

— Wszędzie nielogiczność, kantradykcja,— zawołał adwokat do wszystkiego, człowiek liberalnych wierzeń,—a jeżeli tak dalej potrwa, doczekamy się kataklizmu dziejowego, upadku rolnictwa, fabryk, słowem zubożenia narodu.

— Już to rolnictwo nasze,—podjął gruby jegomość z Pomeranji,—jest z kretesem zagrożone. Jeżeli cła ochronne nie przyjdą nam w pomoc, to Ameryka, Australja i Rosja zaleją nas zbożem swojem.

Korzystając z krótkiej pauzy zabrał głos

baron hanowerski ze stronnictwa Welfów. Mówił śród gwaru z widocznem rozdraźnieniem.

— Wielkie państwo nasze, a raczej pojedyńcze jego składniki potrzebują skrzętnej naprawy w żywotnych sprawach swoich. Rząd jednak państwa nie baczy na to, tylko wytęża siły swoje w tym celu, aby wszystko w swoich rękach centralizować. Cóż to jest centralizacja i unifikacja państwa? Jest to bardzo piękna idea monarsza, ale dobra w pierwszych wiekach dziejów. Pojedyńcze, bezładne hordy i koczowiska, rozmaite choćby różnorodne plemiona można było zbić żelazną obręczą w jedno państwo i podbić pod jedno berło wtedy, gdy nie było jeszcze wyrobionych organizmów państwowych. Dzisiaj jednak, gdy Witelsbachy, Welfy, i inne dziejowe dynastje mają na głowach tysiącletnie korony dziedziczne, nie można tym koronom ujmować praw wiekowych, choćby to się dziać miało w imię wielkich, zjednoczonych Niemiec. Niemcy większymi nie będą, jeżeli im się koron ujmie na korzyść jedynej korony, ale mogą się stać kolosem niezwalczonym, jeżeli te korony razem w jednej idei się zwiążą!...

Zabrał głos adwokat liberalny, który lubił do polityki mieszać humor, osobliwie wtedy, gdy go nie wszyscy słuchali.

— Aby tylko zacząć, to dalej pójdzie. Raz

w podróży po Włoszech zajechałem do małego hoteliku, który niewiele miał numerów, ale dużo w koło siebie kanałów. Dziwiło mię to, że do mego pokoju przez kilka dni żaden szczur nie zagościł. Czy tu niema szczurów? zapytałem gospodarza. Bardzo mało odpowiedział tenże, bo mam na to sposób. Jaki sposób? zapytałem dalej. Oto taki, odpowiedział gospodarz, że łapię dorodnego szczura i wsadzam go do skrzynki, aby się dobrze wygłodził. W naturze zwierząt jest instynkt, że swój swego nie zjada, a nawet jest przysłowie, że kruk krukowi oka nie wydziobie. Ale gdy do mego wygłodzonego szczura wpuszczę drugiego, to mój głodomór w oka mgnieniu go skonsumuje. Powtarzam to kilka razy, przez co mój szczur tak zasmakuje w mięsie własnego rodu, że zupełnie zapomni o prawach natury, która swój ród każe mu szanować. Wtedy puszczam go do kanału, gdzie między swymi braćmi takie spustoszenie sprawia, że czemprędzej wynoszą się w inne strony!...

Tych dwóch ostatnich przemówień nie wszyscy słyszeli. Jeden i drugi mówca, podraźnieni przez oponentów, śród gwaru i wrzawy tem tylko sobie folgę czynili, że ani w słowach, ani w obrazach nie przebierali.

Słyszał ich jednak radca legacyjny, ale twarz

jego nie straciła bynajmniej życzliwego dla wszystkich uśmiechu. Poruszał tylko głową od czasu do czasu, ale w tak oględny sposób, że nie można było wiedzieć, czy się z mówcą zgadza, czy jemu zaprzecza. Zresztą znano go w towarzystwie jako człowieka ugodowego, który wszystko i wszystkich chciał godzić. Stąd też nazwano go „Beschwichtigunszathem“, za co się bynajmniej nie gniewał.

Twierdził on i teraz, że w państwie parlamentarnem różnica zdań musi istnieć, że jedni muszą ciągnąć na prawo, a inni na lewo. Przestrzegał tylko przed krańcowością w każdym kierunku. Jeżeli zaś rozmowa podrażnionych gości schodziła na tory, które panu radcy nie bardzo były przyjemne, wtedy hrabina Herminja siadała przy nim i starała się wyszukaną rozmową jego uwagę wyłącznie na siebie zwrócić. Tak się przynajmniej wszystkim zdawało.

Henryk tylko kręcił się czasem niespokojnie na fotelu, i patrzał po kątach salonu, czy gdzie swojego przełożonego radcy nie obaczy.

XXIII.

O spornych kwestjach państwowych nie myślał w tej chwili Witold, choć mu one wcale nie były nieprzyjemnemi.

— Patrz pan, — szeptała do niego hrabina Ida we framudze okna, — patrz pan, jak tam ponad te dachy i kominy posuwa się coraz wyżej ta wspaniała gwiazda.

— To Wenus.—odpowiedział Witold.

— Znam ją dobrze i nieraz patrzę wieczorami na nią, gdy w tych salonach głucha cisza panuje. Zdaje mi się wtedy, że słyszę jej bieg po niebieskim stropie, że słyszę jej słowa, które siostrom swoim przesyła: kochajcie się, bo warunkiem waszego istnienia jest — miłość wzajemna.

— Prawdziwie kobieca astronomja,—odpowiedział Witold, patrząc w oczy Idy, — tylko racz mi pani powiedzieć, na czem zasadza się ta miłość wzajemna gwiazd?

— Przecież na wzajemnej atrakcji.

— Wybornie.... a gdybyś pani to do ludzi zastosować chciała?

— U ludzi nazywa się to sympatja.

— A wiesz pani do czego ta sympatja zazwyczaj doprowadza ludzi?

— Pojedyńczych ludzi prowadzi do przyjaźni, a państwa i narody do przymierzy.

— A sympatja mężczyzny do kobiety?

— Jeżeli są wolni, a sympatja ich wzajemna...

— Gdzież ich doprowadzić może?

— Czasem... do stopni ołtarza.

Rozpłomienionem okiem patrzał Witold na Idę, która nagle oczy spuściła. Rumieniec tylko, który teraz twarz jej okrył, okazywał widocznie, że to spojrzenie czuje.

— Jakżebym pragnął, — rzekł Witold cichym głosem, w którym odzywała się struna gorącego uczucia,—jakżebym pragnął posiadać taką sympatję!

Hrabina Ida nic nie odpowiedziała. Jej usta zaruszały się lekko, ale nie wyszło z nich żadne słowo. Za to pierś jej koronkami okryta podnosiła się wysoko i wyszedł z niej oddech gorący, jakby szept cichy, jakby westchnienie.

Witold nie spuszczał z niej oczu, pożerając ją całą gorącemi sporzeniami.

Ida czuła te spojrzenia, a oddech jej stawał się coraz krótszy. Drżała na całem ciele, a wiotka jej postać chwiała się, jak się chwieje liść osiki, gdy wiatr go potrąci. Nareszcie oparła się zlekka na ramieniu Witolda.

— Jakże okrutne są dla nas, — rzekła nie podnosząc oczu, — te dzisiejsze, niby naukowe zdobycze. Dawniej wierzono, że pewne poruszenia serca działają na nasze nerwy, że serce nasze sprawia nam wtedy ów błogi stan duszy nazwany szczęściem.

— A dzisiaj?—szepnął jej do ucha Witold tak blisko, że mogła uczuć gorący oddech jego.

— Dzisiaj,—odszepnęła Ida, — może się to czasem nazywać hypnotyzmem. Zdaje mi się, że w tej chwili jestem zahypnotyzowaną.

— Czy masz mnie pani za zręcznego hypnotyzera?

— Nie wiem, czem pan dla mnie jesteś.

— Jestem najszczerszym przyjacielem i chciałbym, aby ta przyjaźń moja mogła mnie zaprowadzić, gdzie prowadzi prawdziwa sympatja.

Ujął ją za rękę. Ręka jej zadrżała kilka razy jakby pod prądem iskry elektrycznej, a w końcu ścisnęła jego dłoń gorącą.

— Czy mogę to wziąć jako zapowiedź mego przyszłego szczęścia?

— Możesz pan, — wyszepnęła cicho Ida.

Nastała dłuższa pauza. Mimo głośnych rozmów w salonie, we framudze okna słychać było wyraźnie bicie dwóch serc.

— Czy możesz pani bez mieszania się w to osób innych, swoją ręką rozporządzić, — zapytał po dłuższem milczeniu Witold.

— Mogę, — odpowiedziała stanowczo Ida.

Witold ujął ją za obie ręce.

— Chciej pani wierzyć,—rzekł w roskosznem podrażnieniu, że jestem teraz najszczęśliwszym z ludzi!

— A mojem szczęściem jest i będzie widzieć pana szczęśliwym.

W tej chwili uczuł Witold, że jakaś ręka dotknęła się jego ramienia. Obrócił się i ujrzał wesoło uśmiechniętą twarz kapitanowej. Zwrócił się do niej, tymczasem wysunęła Ida z jego dłoni swoją drobną rączkę i odeszła. Patrzył za nią z żalem, jak jej biała postać przesuwała się między czarne fraki i mundury, jak się przesuwa biała mgła poranna między rozpadliny gór wysokich.

Tymczasem usiadła przy nim kapitanowa.

— Powiem panu,— zaczęła szczebiotać kapitanowa,—że jestem bardzo i bardzo zazdrosna.

— Czy dałem pani powód do tego?— niechętnie zapytał Witold.

— Jesteś pan moim rywalem.

— Czy tak?

— Tak, bo ja formalnie kocham się w Idzie.

— W takim razie mamy oboje gust niezły.

— Winszuję panu tego gustu, bo to jest złoto, nie kobieta!

— Już jabym wolał kobietę.

— Ale jaka kobieta! Takiej drugiej niema na świecie. Kochać będzie jak żadna inna, Szyllera zna na pamięć, a przytem umie sporządzać leguminy, jakich żadna kucharka nie sporządzi. Umie być damą salonową, a gdy

w salonie o poezji i muzyce rozmawia, wie przytem co się podczas tego w kuchni dzieje, wiele buterszniтów i niedopitych kieliszków wina na tacy zostało. Zna się i na wiejskiem gospodarstwie, a warzywny jej ogródek przy letniem mieszkaniu, mógłby za wzór służyć ogrodnikom!

— Widzę, że pani rzeczywiście kochasz swoją przyjaciółkę. Czy będziesz pani tak samo kochała i jej przyszłego przyjaciela?

— Musi sobie na to zasłużyć.

— Ciekawy byłbym, czem?

— Najprzód musi być godnym takiej kobiety, jak Ida. Musi ją tak kochać, jak Ida tego pragnie, a gdyby czemkolwiek jej ubliżył lub ją czem zmartwił — tobym mu oczy wydarła!

Kapitanowa podniosła swe obie jędrne rączki aż do twarzy Witolda, zakrzywiwszy palce w kształcie kocich pazurków. Witold uchylił głowy i odsunął nieco fotel.

— Pozazdrościć hrabinie Idzie tak gorliwej przyjaciółki, — odpowiedział ze śmiechem.

— Moja gorliwość może iść jeszcze dalej,— podjęła kapitanowa, składając ręce na kolanach.

— Jak daleko?

— Gdyby mniemany przyjaciel ją zdradził, gdyby, rozdmuchawszy płomień w jej sercu,

sprawił jej zawód i stał się przyczyną jej łez i boleści—mogłabym go wtedy zabić!

— Przyjaźń pani staje się niebezpieczną dla osób trzecich.

— Cieszy mnie, że ci o tem wiedzą.

Nastało dłuższe milczenie. Kapitanowa oddychała głośno jak tygrysica, gdy mniemany nieprzyjaciel z poza krzaku wyjść nie śmiał. Witold ścigał okiem białą postać Idy, która starała się zawiązać rozmowę z damami towarzystwa. Zbliżył się w sam czas do niego Henryk.

— Jedno słówko chciałbym ci powiedzieć,— rzekł półgłosem.

Witold skłonił się grzecznie kapitanowej, która mu na drogę okrągłym paluszkiem pogroziła i serdecznie do niego się uśmiechnęła. Obaj oddalili się parę kroków.

— Nie wypada mi dłużej tu pozostać,— rzekł mu do ucha Henryk,—bo rozmowy weszły na taką drogę, na której można się spotkać z komisarzem rządowym. Rozdraźnienie nie pozwala gościom liczyć się ze słowami.

— Cóż cię to obchodzi,—zapytał Witold, którego teraz rzeczywiście cały świat nie obchodził.

— Jestem urzędnikiem, a gdyby mój radca

dowiedział się, że wziąłem udział w takiem towarzystwie....

— Wszak to towarzystwo niemieckie.

— Ale dziwnym trafem sami nieprzejednani!

— Dowodzi to, że w nowem państwie cuchnie coś, jak ongi w Hamletowskiej Danji.

— Ciebie to może nawet i cieszyć, ale ja muszę unikać nawet pozorów. Myślę wymknąć się po angielsku. Czy ty zostaniesz?

— Choćby do skończenia świata!

— Wierzę bardzo. Dobranoc!

XXIV.

W stolicy rozpoczęły się zgromadzenia przedwyborcze. Olbrzymie plakaty wzywały wyborców do różnych publicznych lokalów. Miano się porozumieć co do kandydatów dla przyszłego parlamentu. O godzinie oznaczonej ciągnęły tłumy po ulicach na miejsca zborne, w których miały się toczyć walki o służbę i zaszczyty publiczne.

Byli wprawdzie dawni posłowie, wybrani przez te same tłumy. Zaledwie lat kilka temu, jak ich po dokonanem wyborze, obnoszono po ulicach jako przyszłych zbawców. Obiecali oni tłumom wiele, bardzo wiele, może więcej, ni-

żeli dać mogli. Między nimi byli nawet ludzie skrajnych wyznań, w przemowach swoich sięgali daleko, aż do granicy przewrotów społecznych....

Dzisiaj wydało się wszystkim za mało. Dawnych opiekunów miano za ludzi zacofanych — chciano iść dalej, chciano mieć więcej. Dawni nie dotrzymali tego co obiecali—mniejsza o to czy nie chcieli, czy nie mogli. Chciano nowych ludzi, nowych zbawców.

I tacy pojawili się.

Jako straż przednia wyborów miało się odbyć zgromadzenie robotników i wogóle tych, którzy ręką pracują.... Mieli oni sformułować swoje potrzeby i wymagania, aby przyszłym kandydatom dać materjał do rozmyślania przed ich kandydaturą.

Zgromadzenie odbyło się w jednym z najobszerniejszych lokalów stolicy. Tysiące zeszły się tutaj, lokal zapełniono po brzegi. Były to twarze różne wiekiem, ale dziwnie zbliżone do siebie wyrazem troski o chleb codzienny. Ręce ich były grube, skóra na nich popękana, żyły sterczały jak postronki. Były to ręce chlebodajne, ręce, które żywiły liczne rodziny. Kiedy niekiedy pojawiła się między tym tłumem twarz gładsza i ręce gładsze. Byli to przełożeni pojedyńczych warsztatów, pojedyńczych działów

fabrycznych. Pracowali oni więcej głową, prowadzili innych wyższą inteligencją swoją. Ich chleb nie był tak czarny jak tamtych, ale i praca ich wymagała większej nauki i większa też na nich ciężyła odpowiedzialność....

Całe zgromadzenie odznaczało się malowniczą rozmaitością ubiorów. Jedni mieli na sobie ubiór odświętny, przeważnie czysty, chociaż bez wybrednego kroju. Inni przybyli w tem, w czem przy robocie ubrani byli, jakby im czasu drogiego nie stało na toaletę. Tu i ówdzie pojawił się ubiór więcej pretensjonalny a nawet widać było kilka figur ubranych według ostatniej mody. Nie byli to właściwie robotnicy, ale tak zwani przyjaciele ludzi ciężko pracujących. Niektórzy z nich szczerze im sprzyjali i bez żadnej ubocznej myśli i korzyści własnej dawali im dobre rady. Byli jednak i tacy, którzy ten tłum pracujący uważali za materjał głosowy i weszli między niego, aby o jego głosy się starać.

Wśród zgiełku i wrzawy nastąpił wreszcie porządek. Wybrano wiekiem najstarszego przewodniczącego, któremu nic nie miano do zarzucenia.

Przewodniczący wezwał mówców, którzyby głos zabrać chcieli. Zgłosiło się ich kilku.

Wszedł na mównicę człowiek już niemłody

i zaczął przecierać okulary. Z ubioru nie wyglądał wcale na towarzysza ciężkiej pracy. Mógł być profesorem, urzędnikiem jakiejś prywatnej instytucji albo przemysłowcem mniejszego zakresu.

Ukłonił się wdzięcznie całemu zgromadzeniu i zaczął od tego, że jest przyjacielem wszystkich tu zgromadzonych, i że tylko w ich interesie przemawiać będzie.

— Sam byłem człowiekiem pracy,—mówił między innymi,—po szczeblach pracy dobiłem się kawałka chleba, a dzisiaj przynoszę wam doświadczenia moje i składam przed wami do waszego użytku.... Ciężką dolą jest pracować, ale już w piśmie świętem jest napisano: Pracować będziesz w pocie czoła.... Cześć więc pracy i cześć zacnym pracownikom!... Nie myślcie, że profesor, adwokat albo doktór jest lepszym od was. Jest tylko różnica w pracy, bo i oni pracują.

Ozwały się tu i owdzie śmiechy i sykania. Tu i owdzie wołano: Piękna praca! za repliki i recepty pośpiesznie nabazgrane chować złoto do kieszeni, a nam każe robić za miedziaki!... Powiada, że święte pismo każe nam w pocie czoła pracować, wołali drudzy, a zamiast chleba tu na ziemi, gotów nam obiecać po śmierci królestwo niebieskie.

....Chciejcie mnie tylko wysłuchać, — prawił dalej mówca,—a potem osądzicie sami czy jestem waszym przyjacielem. Każda praca wynagradza się według swojej wartości. Im więcej kto lat i pieniędzy stracił, aby się czegoś wyuczyć, tem więcej warta jego praca. I u was nie wszyscy pobierają jedną zapłatę.

— Chcemy tyle,—odezwały się znowu głosy,—aby nam na życie wystarczyło! I naszych rodzin—dodały inne.

....Nic słuszniejszego. Trzeba mieć jednak to na względzie, aby ten, który za waszą pracę płaci, także miał z waszej pracy zarobek!

— Mają pałace i miljony!—wołano wśród zgromadzenia, — a my jesteśmy białymi murzynami.

....Mówiono tak do was, sam to słyszałem, ale ja wam tego nie powiem. To są słowa, które wam mogą się podobać, ale które was nie zbawią. Zaprowadzą was na fałszywe drogi, po których idąc, możecie zburzyć te pałace i zniszczyć miljony, ale nie znajdziecie uczciwej pracy. Gdy kapitały od was się odwrócą....

— Precz z kapitałem—wołano tu i owdzie—kapitał to nasze nieszczęście! To nasz tyran!

...Bardzo słusznie. Kapitał to wasze nieszczęście, ale wtedy gdy was wyzyskuje. Przeciw takim wyzyskom możecie walczyć, jest to

nawet waszym obowiązkiem, ale znieść kapitał to znaczy zabić ojca, który was rodzi. Za ojcobójstwo jest kara, którą odsiedzieć można, ale gdy kapitału nie stanie, to przyszłość wasza jest bez nadziei!

— Nasza praca jest kapitałem — wołano znowu — pracując wspólnie możemy w tej pracy znaleść wspólny nasz kapitał.

...Kollektywizm jest mrzonką — mówił dalej mówca — próbowano już nieraz tego systemu zbawienia ludzkości, ale nigdy się nie udał. Jeden pracuje mniej, drugi więcej, a trzeci wcale nic nie chce robić. Jeden ma zdolność do tego, drugi do innego, a trudno wszystkich stosowną pracą obdzielić. Mogą istnieć pojedyńcze związki, ale tego do ogółu stosować nie można. Dlatego radzę wam strzedz swoich praw w granicach możliwych, a nie marzyć o tem, co jest niemożliwe.

— Possybilista! — krzyknął ktoś z tyłu — precz z possybilistami!

...Mówię do was o tem co jest możliwe. Społeczeństwo jak pokłady ziemi układało się zwolna przez lat tysiące. Wytworzyły się pojęcia i stosunki, które uświęcano prawem. Chcecie iść dalej, musicie to wszystko zniszczyć. A któż z was chciałby do tego rękę przyłożyć, coby miało podobieństwo do wul-

kanicznych lub dyluwialnych kataklizmów? Gdzieżbyście wtedy znaleźli ów chleb codzienny, o który rodzina wasza woła? Na gruzach i zgliszczach chleb nie wyrasta, a z potoków krwi nie nalejecie ani kieliszka wina!

Głucha cisza zaległa całą salę. Słowa były za silne aby na nie odpowiedzieć. Szmer tylko głuchy, jak szmer wzbierającej wody zaczął się powoli rozszerzać po całem zgromadzeniu.

...Jeżeli prawa wasze—prawił dalej mówca—wobec istniejących stosunków muszą się zatrzymać w granicach możliwości, to jednak nie przysądza, abyście tych granic zwolna coraz dalej posuwać nie mogli. Od czegóż jest postęp? Według niego urabiają się zwolna stosunki, a w miarę postępu tych stosunków mogą i wasze prawa coraz dalej postępować. Co dziś jest niemożliwem, może się niem stać za lat dziesięć, ale dzisiejsze granice możliwości trzeba uszanować. Dlatego nie wierzcie tym, którzy wam obiecują egipskie garnki mięsa, nie wierzcie tym, którzy powiadają, że waszym żądaniom musi stać się zadość, jeżeli się wszyscy zmówicie. Zmowy mogą być dobre przeciw nadużyciom i wyzyskom, ale środek ten jest obosieczny. Przeciw wyzyskom inną drogą możecie walczyć, a przy większych zmowach tracą się miliony, których część była waszą własnością.

Możecie zburzyć jedną fabrykę, która żywiła tysiąc robotników—cóż się z tymi robotnikami stanie nazajutrz? Oto głód i nędza popchnie ich na pochyłej drodze dalej, a wielu z nich może się stać złoczyńcami!

Ozwały się pojedyńcze głosy i sykania. Ozwały się także i takie, które je zagłuszyć chciały. Powstał gwar, a wrzawa nie dała nikomu przemówić. Widocznie ścierały się w zgromadzeniu różne obozy, a trudno było wiedzieć, który z nich górę weźmie. Zakotłowało się w sali, tysiąc rąk podniosło się do góry, i zdawało się, że przyjdzie do walki na pięści. Kilkadziesiąt głów wysunęło się naprzód, jakby kolumna idąca do szturmu. Otoczono mównicę, która się chwiać zaczęła, a zanim zgromadzenie nieco się uciszyło ujrzano na mównicy innego mówcę. O pierwszym nie było już ani śladu.

Drugi mówca był znacznie młodszy. Miał ubiór staranny, ręce białe i delikatne. Był podobny do owych prawników, którzy przed sądem bronią złoczyńców.

— Mój poprzednik — zawołał głosem donośnym — mówił do was bardzo pięknie, ale tak mówią do was przeszło sto lat z okładem. Powiedział do was: Jecie chleb czarny, z plewą i ośćmi, to prawda, ale jedzcie go dłużej, bo młyny nie namełły jeszcze białej pszennej mąki.

Czekajcie więc na tę mąkę! Powiedzą wam znowu, że młyny dostatecznej wody nie mają, że trzeba pierwej groblę podwyższać! Czekajcie więc! Potem powiedzą, że woda młyńska za mało ma siły, trzeba ją zastąpić parą. Czekajcie więc! I tak jedno pokolenie po drugiem czeka i wymiera, a wymiera z głodu i niedostatku. Dzieci wasze rodzą się, skazane na głód i nędzę! Jakaż jest na to rada? Rada jest w was samych. Policzcie się i skupcie, a świat cały zadrży przed wami. Będziecie wtedy dyktować prawa, zasiadać w parlamencie, a nawet i w rządzie. Wszystko od was zależy, czy chcecie jeść chleb czarny czy biały. Wszystko się nagiąć musi do waszych praw i żądań, bo wy jesteście wszechwładni.

Zaczęły się odzywać pojedyńcze głosy zadowolenia. Rosły powoli i nieznacznie. Szmer tych głosów podobny był do zapalania się rozsypanego prochu. Ziarnka pryskały ogniem tu i ówdzie, ale wybuchu nie było. Przeważna część zgromadzenia milczała. Słowa mówcy były piękne i mile łechtały po nerwach, ale nie wskazywały celu do którego iść trzeba. Mimo to oklaskano mówcę, który zwolna jak arcykapłan schodził z trybuny.

Miejsce jego zajął teraz mężczyzna wysokiego wzrostu o siwiejących włosach. Twarz

miał inteligentną, rysy ostre i usta sarkastycznie zaciśnięte.

— Mówiono tu — ozwał się cichym głosem — o waszych prawach, o prawach pracy. Słuszne to rzeczy, ale daleka jeszcze droga nim to wszystko na waszą korzyść się rozwiąże. O tem więc dzisiaj mówić nie będę, kiedy wam będzie dobrze, ale chcę was przestrzedz przed tem, co wam dzisiaj zagraża.

Głębokie milczenie zapanowało w zgromadzeniu.

— Już przed kilkanastu laty — mówił dalej mówca — powiedział był nasz Moltke, że dla utrzymania zdobytych ziem na Francji musimy przez lat pięćdziesiąt stać w pogotowiu z bronią u nogi. Otóż stoimy dotychczas w tem pogotowiu, które pożera miliony. W miarę jak nieprzyjaciel nasz w siły się wzmaga, powiększamy i my nasze pogotowie wojenne, co nowych wymaga milionów. I tak rosną miliony w miliardy, liczba naszych wojsk także rośnie, a setki tysięcy najzdrowszych ludzi odrywają się od pracy produktywnej. Stąd zastój w produkcji narodowej, nędza wdziera się tam, gdzie był dostatek, a bilans niedoborów podatkowych rośnie z roku na rok!

W zgromadzeniu ozwały się głosy potakujące.

— Jakżeby to inaczej wyglądało, gdyby owe miliardy, wyrzucone na pogotowie wojenne, zwróciły się do warstatów produkcji narodowej, gdyby robotnik za swoją znojną pracę miał lepszy chleb w domu, gdyby jego rodzina, odpoczywając raz w tygodniu, mogła użyć jednej z tych przyjemności, jakich tysiące innych, szczęśliwszych używają! Tego wam życzę z duszy i serca, ale, aby to się stało, musicie pierwej głosami waszymi zaprotestować przeciw wnioskowi rządu o powiększenie wojska i przyzwolenie nowych milionów na to wojsko.

Jednogłośny okrzyk rozległ się po sali. Tysiące rąk machało w powietrzu, tysiące czapek i kapeluszy oddawały cześć mówcy za jego życzliwe słowa.

Przez długi czas nie ustawała wrzawa, wreszcie jak wir na głębi skręciły się głowy i powoli zaczęły ku drzwiom się posuwać. Z otwartych na rozcierz podwoi wybuchała na ulicę szara masa, gdzie się na kilka odnóg dzieliła.

Odnogi te, zrazu posuwające się luźnie skupiały się coraz więcej w zbite grupy. Każda z tych grup szła swoją drogą, jakby wszyscy do jednego dążyli celu. Byli to po części ludzie jednego zawodu, związani pożyciem towarzyskiem, a między nimi było wielu takich, któ-

rych łączyły jedne hasła obozu. Dążyli oni na swoje codzienne zborne miejsca, aby tam prowadzić dalej rozmowę i agitacją przedwyborczą.

XXV.

Za jedną z tych grup szedł spiesznie Witold, nie patrząc na nich. Grupa ta rozprawiała głośno między sobą, często słychać było groźbę lub przekleństwa. Od czasu do czasu podniosła się ku niebu żelazna ręka jakby do przysięgi, a za nią podnosiły się i inne. Głuchy szmer rozlegał się wtedy w całej grupie, jakby odgłos nadciągającej burzy.

Witold chciał wyprzedzić tę gwarliwą masę i skinął na dorożkę. Dorożkarzowi wskazał ulicę i numer.

Był to numer domu, w którym mieszkała Marta.

Dojeżdżając do tego domu, ujrzał młodego mężczyznę, który właśnie z bramy wychodził. Miał głowę ku ziemi spuszczoną, jakby był w myślach zatopiony. Przeszedł ulicę wpoprzek, a spojrzawszy w okna kamienicy, z której był wyszedł, poszedł zwolna dalej, ku zbliżającej się szarej masie.

Był to Karol Szolc. Witold poznał go. Zmarszczył brwi i szybko wszedł do bramy kamienicy. Za chwilę był w pokoju Marty.

Marta siedziała na sofce przy małym stoliku. Oparła ręką głowę i patrzała przed siebie zamyślona. Na jej twarzy były ślady przebytego silniejszego wzruszenia. W oczach dopalał się jeszcze gorączkowy płomień, który przed chwilą buchał tam silnem ogniskiem.

Witold chłodno powitał siostrę.

— Przyszedłem do ciebie z radosną nowiną—ozwał się, patrząc z uwagą na Martę—ale musiałem jak na złość kogoś spotkać, który mi radość moją zamącił.

— Zapewne Karola — odpowiedziała Marta z ujmującym uśmiechem.

— Tak jest, zacnego twego kuzynka, który jest prawdziwą zmorą dla mnie i dla swego brata.

— Przecież ty nie potrzebujesz się go obawiać, bo ci w drogę nie wchodzi—a Henryk może mimo tego zostać Hofratem, jeżeli na to zasłuży.

Nastało milczenie. Witold usiadł wygodnie na fotelu i zapalił cygaro. Marta tymczasem pozbierała nuty rozrzucone na fortepianie i zamknęła fortepian.

— Dlaczego zamykasz — zapytał Witold—

przecież ja także lubię śpiew i muzykę, nietylko twój zacny kuzynek.

— Jesteś dzisiaj dziwnie sarkastycznym,— odpowiedziała Marta, marszcząc czoło, — a to nie daje mi dobrego wyobrażenia o radosnej nowinie z którą przyszedłeś.

— To tylko chwilowy skutek wrażenia jakiego doznałem na widok twego kuzynka.

— Pocóż używasz wyrazu „twego", tak samo jest moim jak i twoim.

— Coś tylko po matce....

— Matkę mieliśmy wspólną.

— Przyznam się, że to powinowactwo nie jest tak bliskie, abyśmy do niego gwałtem przyznawać się chcieli.

— Rozumie się inaczejby wypadło, gdyby przy takiem powinowactwie był tytuł i bogactwo.

— W stosunkach ludzkich to wiele znaczy, a jednego i drugiego lekceważyć nie można.

— Myślałam, że obecność twoja przyniesie mi ulgę w troskach i zmartwieniach moich, ale twój niestosowny sarkazm rani mnie jeszcze bardziej.

Marta odeszła od fortepianu. Przyłożyła chustkę do oczu, a pierś jej podnosząca się nierówno, okazywała że płacze. Witold wstał, a ująwszy jej rękę, pocałował.

— Nie bądź dziecinną,—zawołał,—przecież mówimy otwarcie z sobą, a żadnych tajemnic ubocznych niema między nami. Właśnie przyszedłem do ciebie z tem, co jeszcze jest tajemnicą przed światem.

— A ja mogę ci powiedzieć to, co jeszcze jest tajemnicą przed tobą.

Marta odjęła chustkę od oczu i spojrzała na brata. Po jej twarzy sączyły się jeszcze łzy ciepłe, usta były zarumienione wzruszeniem. Witold patrzał na nią z uwagą. Widać było, że wzruszenie siostry i jemu się udzieliło. Kochali się przecież jak rodzeństwo.

— Mówisz, jakbyś już kochała swego kuzynka.

— Nie przeczę temu,—odpowiedziała Marta z pewną odwagą,—chociaż o tem między mną a nim nigdy mowy nie było.

— Poczciwe te kobiece serca! — z uśmiechem zawołał Witold,—w braku godniejszego gotowe pierwszego lepszego kochać z litości. Serce trzeba przecież czemś nakarmić, choćby na kilka tygodni! Czemu nie zwróciłaś go do Henryka?

— Pozostawiam go w jego sferze, do której ja nigdy nie wejdę.

— Mówisz jak nieboszczyk dziadunio.

— Pamięć dziadunia powinna być tobie świętą.

— Przecież sfera, do której wszedł Karol, nie jest spuścizną po dziadku naszym. Mówię o sferze zawodu i wierzeń.

— Właśnie nad tem ostatniem boleję i to sprawia mi wielkie zmartwienie.

— Nie wyleczysz go, szkoda tylko twoich umartwień.

Nastąpiło dłuższe milczenie. Witold przechadzał się po pokoju, wydmuchując z cygara gęste chmury dymu. Wyznana tajemnica siostry podrażniła go nieprzyjemnie. Myślał nad tem, o ile ona marzeniom jego może wpoprzek stanąć. Nie był jednak dzisiaj tak bardzo skłonnym do pessymizmu, bo sam czuł się szczęśliwym. Łagodnie więc zapatrywał się na to, co od Marty był usłyszał. Stosownie do życzeń swoich mniemał, że to chwilowa jej mrzonka, która przeminie, jak przemijają zwykłe afekta kuzynek do kuzynków. Przypomniał sobie, że i on niegdyś czule wpatrywał się w oczy kuzynek, że i jemu niejedna kuzynka w pocałunkach swoich więcej dawała, niżeli powitanie zwykłe między krewnymi. Wszystko to przeminęło jak przemija deszcz i pogoda kwietniowa.

To też uspokojony znacznie, zbliżył się do

Marty. Wziął ją za rękę i posadził przy sobie na sofie.

— Dobre masz serce moja Marto, — rzekł do niej,—jeszcze w dzieciństwie słynęłaś z tego. Nie chcę mówić o tem, co cię dzisiaj zajmuje, bo sam czas pokaże czem to jest. I ja o moich mrzonkach nie mówiłem ci wiele, bo nie wiedziałem co z nich będzie. Dzisiaj jednak przyszedłem ci powiedzieć, że stanąłem u mety, gdzie moje marzenia stały się rzeczywistością. Hrabina Ida przyrzekła mi swoją rękę.

Marta odsunęła się nagle od brata.

— Jakto,—zawołała, jakby w przestrachu,— hrabina Hohenest przyrzekła ci oddać rękę?

— Rękę i serce,—uzupełnił Witold.

— Rękę i serce,—powtórzyła Marta, jakby tym słowom jeszcze wierzyć nie chciała.

Nastała dłuższa pauza.

— Czyż ciebie to nie cieszy. — zapytał po chwili Witold.

— Jeżeli to twoje szczęście stanowi,... to i owszem, cieszę się z tego.

— Ale tak mówisz, jakbyś w to szczęście nie wierzyła.

— Tak jakbyś i ty może nie uwierzył w moje szczęście. Każdy ma inne wyobrażenie o szczęściu.

— Szczęście jest tam, gdzie serce z rozsądkiem w parze.

Marta zamyśliła się, a pierś jej podniosła się westchnieniem. Po chwili spojrzała na brata okiem kochającem i zapytała:

— Czy sfera obca, w którą wchodzisz, a nam tak nieprzyjazna nie obrazi twoich uczuć, z mlekiem z piersi matki wyssanych, nie skrzywi twoich wierzeń ugruntowanych w tradycjach wiekowych?

Rozjaśniła się twarz Witolda, oczy zapłonęły.

— Właśnie mogę być dumnym z tego, — zawołał w uniesieniu,—jeżeli te obce wpływy, dotąd niekorzystne dla naszych wierzeń zużytkuję na naszą korzyść.

— Czyż to potrafisz?

— Ida mnie kocha, pójdzie za mną tam, gdzie ja pójdę.

— Czy jej pozycja materjalna....

Witold położył palec na ustach, jakby chciał siostrze nakazać milczenie. Marta zdawała się nie widzieć tego.

— Jakże byłabym szczęśliwą,—szepnęła niby do myśli swoich,—gdyby Karol szedł za mną tam gdzie ja chcę.

Witold nie słyszał tych słów. Zbliżył się w tej chwili do drzwi i otworzył. Obejrzał się po

przedpokoju czy niema służącej, aby się przekonać, że tego o czem mówić będzie nikt nie usłyszy.

Zadowolony wrócił do Marty.

— Mam ci powierzyć pewną tajemnicę, — rzekł cichym głosem,—ale przyrzeknij mi, że o tem przed nikim mówić nie będziesz.

Marta zdziwiona spojrzała na brata.

— Jeżeli ci na tem zależy?...

— Na tem zależy moje szczęście.

Marta uczuła już połowę tego szczęścia, o którem jej brat miał mówić, zarzuciła mu obie ręce na szyję i serdecznie go uściskała.

Witold jeszcze raz obejrzał się po pokoju i powoli zaczął jej opowiadać to, co o hrabinie Idzie od Henryka był słyszał. Rozumie się, że koloryt w jego opowiadaniu był jaśniejszy, a prawdopodobne domysły okazały się w jasno nakreślonych konturach.

Marta była odurzona tem opowiadaniem. Wrażliwa jej wyobraźnia wykończyła w pośpiechu to, czego brat nie był dopowiedział. Nieszczęśliwa Ida zajaśniała przed nią aureolą ofiary, męczennicy. Wyrzucona ze sfery swego urodzenia sierota była podobną do owej błędnej gwiazdy, która nie mając biegu uprawnionego, rozbija się w miljony świecących aerolitów!... Uczuła nagłą sympatję dla niej i byłaby ją

w tej chwili do swego serca przycisnęła, gdyby przed nią stała. W braku nieszczęśliwej banitki przycisnęła brata serdecznie do serca. Łzy, przeznaczone dla biednej Idy, błysnęły w jej oczach.

— Weź je, — zawołała w rozczuleniu, podając bratu czoło do ucałowania,—weź te łzy moje dla biednej, nieszczęśliwej Idy.

W tej pięknej chwili szlachetnego uniesienia, weszła służąca z herbatą. Rozmowa rodzeństwa musiała przejść do rzeczy powszednich.

XXVI.

Nie przeczuwała Marta, że podczas jej rozmowy z bratem stał ktoś po drugiej stronie ulicy i patrzał w jej okna. Był to Karol Szolc, który, wyszedłszy od niej, nie mógł tak prędko rozstać się z tą atmosferą, w której czuł się tak szczęśliwy. Były to tak dziwnie jasne chwile w jego życiu, z których nie umiał sobie zdać sprawy. W gorącym mózgu jego toczyły się ustawicznie jakieś ponure myśli, rodziły się i upadały rozmaite plany, wiązały się urojone zdarzenia najbliższej przyszłości. Za wiele było w nich tonów ponurych i zarazem jaskrawego oświetlenia. Olśniewały i odurzały go te kontrasty, w których roskoszują natury demoniczne. Włożył się już był do tych roskoszy, a jednak chwile spędzone u Marty tworzyły jakąś dziwną pauzę, w której dusza jego zażywała pewnego spoczynku.... Spoczynek ten dla niego był tak słodki i tyle mieścił w sobie uroku, że, budząc się do rzeczywistości, niechętnie oczy otwierał. Chciał jeszcze dalej śnić i marzyć, chciał słuchać tej oddalonej melodji, płynącej do jego duszy z poza świata, a która nie była niczem innem, jak tylko echem słów muzyki i pieśni, które mu Marta śpiewała. Właśnie dzisiaj śpiewała mu kilka pieśni Niemcewicza o rycerskich królach. Rycerskość ta zajaśniała przed nim jak światło bengalskie i długo bawił się niezwykłą barwą tego światła. Stał na ulicy i patrzał w okno Marty, ale światło, które z jej okna wychodziło, było zwykłe, podobne do świateł innych okien. Po niejakim czasie spuścił głowę, bo zdawało mu się, że go ciemność ogarnęła.

— Inne wieki, inne światła, — rzekł niby do myśli swoich i powoli puścił się ulicą, którą miał przed sobą.

Szedł powoli jak człowiek, idący bez celu. Ludzie przechodzili koło niego, dorożki przesuwały się jak błyskawice. Nic nie widział, nic nie słyszał.

Nagle uderzyła o jego ucho pieśń dobrze mu znana. Śpiewano ją w okazałym lokalu, którego okna wychodziły na ulicę. Była to pieśń patrjotów:

«Deutschland über alles».

Przykre uczucie przebiegło po twarzy Karola, śpiesznie poszedł dalej.

Po niejakim czasie z drzwi restauracji, gdzie się mieszczaństwo zwykło schodzić, usłyszał chór stugłostwy, który śpiewał:

«Heil dir im Siegeskranz».

I przy tej pieśni przyspieszył kroku, aby jaknajprędzej zostawić ją za sobą.

Teraz ujrzał w dali czerwonawe światło, wydobywające się z suteren. Światło to przecinało ulicę wpoprzek. Na sto kroków od tego światła zatrzymał się, jakby walczył ze sobą czy ma iść dalej. Zdaje się że w duchu prowadził monolog, bo ruszał ustami i ręką gestykulował.

Na tle czerwonego światła zamajaczyły teraz dwie postacie. Powoli zbliżały się do niego. Nagle uczuł na ramieniu ciężką dłoń i obaczył twarz towarzysza z fabryki.

— Szolc — zawołał towarzysz — tam czekają ciebie jak zbawienia. Powiedziano, że nie przyjdziesz, dlatego wyszliśmy, aby cię odszukać.

Dziwnie zelektryzowała go ta twarda ręka, która na jego ramieniu spoczęła.

— Idę z wami—zawołał stanowczym głosem — idę zacni moi towarzysze.

I wszyscy trzej puścili się ku czerwonemu światłu.

Była to ta sama suterynowa gospoda, w której widzieliśmy go już wśród biesiadników. Dziś była ona szczelnie napchana. Gęsty dym spuszczał się od pułapu aż do stołów. Kilku biesiadników stało jakby chcieli mówić, ale wrzawa i zgiełk nie dały im przyjść do słowa.

Dopiero gdy Karol Szolc i dwaj jego towarzysze w pośrodku stanęli, uciszyło się zgromadzenie. Zaczęto witać przybysza, jedni podawali ręce, drudzy podnosili czapki i kapelusze.

— Niech nam Szolc coś powie! — zawołali najbliżsi.

W okamgnieniu dały się słyszeć dalsze głosy, a dźwięk szklanek nakazywał powszechne milczenie. Podniesiono mówcę na stołek a zgromadzenie uciszyło się.

Twarz Karola, dotąd zamyślona i melancholijna, okrasiła się silnym rumieńcem. Z oczu strzeliły blaski demoniczne.

— Towarzysze czarnego chleba — zawołał, podnosząc silną dłoń do góry, chcecie abym do was przemówił, a przecież dzisiaj przemawiali już inni, że nie macie się spodziewać tak prędko poprawy waszego losu i zalecali wam cierpliwość. Inni odpowiedzieli, że już przebrała się miarka tej cierpliwości, i że już nadszedł czas, abyście byli niecierpliwi! Do was należy przyjąć jedno albo drugie, ale pozwólcie mnie zwrócić waszą uwagę w inną stronę.

Głucha cisza zaległa całe podziemie.

— Oto przechodząc przed chwilą ulicą, usłyszałem z okien mieszczańskich restauracyj pieśń: *„Deutschland über alles“*. Pozwólcie, niech wam powiem czem właściwie jest dla nas ten hymn chwały bojowej? Oto pół miliona naszych braci poległo na polu walki, miliardy naszych pieniędzy rzucano pod nogi boga wojny.... i cóżeśmy na tem zyskali? Czy nasz chleb stał się bielszy? Czy jest w nim mniej ości i plewy? Czy ręce nasze, które na ten chleb pracują, mają więcej odpoczynku? Czy za twardą naszą pracę płacą nam więcej?... Nie! Oto tylko ci, którzy naszych braci na bój wiedli dostali nagrody, a nam kazano tylko śpiewać pieśń: *„Heil dir im Siegeskranz“*... Na pokrzepienie dano nam polewkę patrjotyczną, pieśń: „Deutschland über alles“, którą przy wiadrach wina śpiewa najedzone mieszczaństwo! Chcą abyśmy byli dumni z krwi poległych braci naszych, abyśmy poili się i sycili otuchą, że jesteśmy wielkiem państwem, które nawet w Afryce murzynom prawa dyktuje!... Czy ta duma omaści czarny chleb robotnika, czy mu ujmie pracy, która życie jego pożera?... A teraz idźmy dalej: Oto krew naszych braci zdobyła szmat ziemi na nieprzyjacielu i powiadają nam, że musimy pół wieku stać ciągle pod bronią, aby tę ziemię zatrzymać. Wobec grozy odwetu, jakim dyszy pokonany nieprzyjaciel, każą nam coraz więcej zbroić się, warsztaty opróżniają się z najdzielniejszych robotników, a pozostali muszą miliony płacić na nowe uzbrojone hufce!... I jakiż stąd pożytek dla was towarzysze czarnego chleba?... Pewien bogobojny jegomość gorszył się tem, że podczas mowy kaznodzieja, który stał na ambonie, gryzła mysz deskę u jego podnóża. Bezbożna mysz! Ależ tej myszy nie chodziło w tej chwili o kazanie, bo jej głód dokuczał, bo ona musiała szukać pożywienia. Mogą tak i o nas mówić, że nie słuchamy patrjotycznego pienia: „Deutschland über alles“, bo nam głód dokucza, bo szukamy pożywienia dla naszych głodnych rodzin!... Ni jadła ni napoju nie da nam pycha narodowa, bo ją odczuwają tylko ci, którzy są syci i napojeni. Dobra jest ona jak

cukry po obfitym obiedzie!... Ludziom, którzy pracują o głodzie i chłodzie jest każdy bratem, który tak jak oni pracuje. My wzajem powinniśmy uściskać te dłonie, bo to są dłonie naszych sprzymierzeńców, ale nie wrogów. Jeżeli ci tam w górze chcą się bawić w zabawki wojskowe i pychę podbojów, to my na to nie możemy poświęcać naszych braci, nie możemy oddawać naszych ostatnich fenigów. Gdy przeciw powyższym zachciankom postawimy nasze głosy wraz z głosami nam równych, wtedy nastąpi złota era pojednania wszystkich ludów.

Ozwały się grzmoty oklasków. Młodego entuzjastę obniesiono na barkach. Setki rąk ciężkich i narobionych podniosły się do góry jakby do przysięgi.

Karol usiadł wreszcie przy stole. Pot kroplisty staczał mu się zpod włosów, a na twarzy pobladł z nadmiaru wzruszenia.

Tymczasem podniósł się inny mówca. Miał twarz śniadą i gęste brwi czarne, zpod których strzelały ogniem ciemne oczy. Z wymowy wyglądał na cudzoziemca, albo przynajmniej na takiego, który dłuższy czas przebywał zagranicą.

— Słyszeliście towarzysze — zawołał, podniósłszy rękę — co wam mój zacny poprzednik powiedział, a ja tylko chcę dokończyć to, na

czem on przerwał. Oto wszystko coście słyszeli, powinniście zamieścić w waszej codziennej modlitwie, ale oraz prosić Boga, aby się to spełniło. Ale Bóg nie dopomoże, jeżeli ręki do tego sami nie przyłożycie. Niedość jest cierpieć i czekać. Trzeba dać znaki życia, czem można. Ludzie, którzy mają odziedziczoną ziemię, dobywają z niej chleb pługiem i motyką; wydziedziczeni muszą go zdobyć czem innem. Wszystko co powstało z ziemi i na ziemi, stworzyła ręka robotników. Rozpierają się tam pasożyty bez pracy — to wszystko nam należy. To nasze dziedzictwo po naszych ojcach i praojcach, którzy znojną swoją pracą te dzieła powznosili...

Gdy skończył nastała cisza.

Mówca znikł wśród tłumu, powoli zaczynało się wypróżniać podziemie. Maruderzy zostali jeszcze, a była ich spora liczba. Ugrupowali się około szpakowatego towarzysza, z szeroką blizną na czole. Był to znany ojciec Marcin. Przy nim stał nieodstępny jego towarzysz, tak zwany wyrostek Fryc. Gładka bezwłosa twarz jego miała dziś wyraz pewnego podrażnienia umysłu, w szarych oczach gorzał ogień ponury. Słowa mówców zrobiły na nim widocznie głębokie wrażenie.

Ojciec Marcin trzymał krótką fajeczkę w

zębach i raz poraz wydmuchiwał chmury dymu

— Dobrze mówił ten drugi—rzekł do pozostałych towarzyszy — ale czas abyśmy stąd wyszli.

Przez pół otwarte drzwi dostała się rzesza na tylną ulicę. Księżyc w pełni oświecał wyniosłe dachy i wspaniałe kolumny, które tę ulicę w głębi zamykały. Do tych kolumn wyniosłych z obu stron przypierała szara masa domów trzypiętrowych.

XXVII.

Wśród tych dni burzliwych, które nad stolicą zawisły, świeciło nad Witoldem jasne słońce. Codziennie prawie przychodził do Idy z kosztownym bukietem. Siedział przy niej, patrzał w jej oczy rozmarzone lub słuchał słodkiego jej śpiewu. Ciocia Herminja zostawiała ich najczęściej samych albo z kapitanową, która umiała być także bardzo dyskretną. Słodkie takie chwile przedłużały się często późno w noc. Narzeczeni używali w całej pełni owych błogich marzeń przedślubnych, zawieszonych w czystych eterach podniebnych. Żadna troska, żadna cierń życia

nie wykluła się z tych sfer tęczowych, żadna potrzeba rzeczywistości nie zbudziła ich z tych marzeń. Chyba tylko brzęk talerzy w pokoju stołowym, lub szelest sukni kapitanowej. która herbatę przyrządzała, budził zakochanych do życia na ziemi. Niechętnie poddawali się oni temu jarzmu rzeczywistości, a jeszcze niechętniej słuchali cioci Herminji, która za swój obowiązek uważała zebrać dla nich kronikę dnia dzisiejszego od rana do wieczora.

Kapitanowa żyła połową szczęścia Idy. Kochała się także w Witoldzie z przyjaźni dla Idy. Wiedziała jakie przekąski lubi i takie kładła mu obficie na talerz. Nalewała mu wina ulubione i sama je także piła, aby mu okazać swoją sympatję. Opowiadała nieraz o śnie owej nocy, zaraz po pierwszem poznaniu Witolda. Ów błędny rycerz, który uśpioną królewnę pocałunkiem do życia budził, był podobny do Witolda, a zaklęta królewna wyglądała tak samo jak Ida. Przy tej sposobności w zastępstwie rycerza, całowała i ściskała Idę, a Witold na razie godził się z uśmiechem na takie zastępstwo.

Witold występował teraz stosownie do swojej roli okazale. Przyjął sobie strzelca za lokaja i ubrał go w pokaźną liberję. Jeździł karetą ze strzelcem na koźle. Strzelec przynosił Idzie bukiety, drobne podarunki lub listy. Ciocia

Herminja kraśniała radością na widok munduru strzeleckiego, który nawet często figurował w przedpokoju na jej wieczorkach. Witolda służba nazywała grafem, a ciocia Herminja używała do służby także tego tytułu.

Witold nie miał nic przeciw tej niewinnej uzurpacji towarzyskiej. Fundusik pozostały z rodzinnego majątku wystarczał mu do tej roli na czas jakiś. Z tego powodu nie poruszał nigdy kwestji przyszłości, zostawiając ją na później. Rozmowa z ciocią Herminją, prowadzona w sposób dyplomatyczny utwierdzała go w jego domysłach, i na tem dzisiaj poprzestawał. I ciocia Herminja poprzestawała na tem, co na własne oczy widziała, i czego się z tego domyśliwała. Cieszyła się szczęściem Idy i była pewną, że Ida zrobi partję jaknajlepszą. Czasami tylko mąciła ten spokój idealny kapitanowa. Mówiła z upodobaniem o dworach polskich, które za życia swego męża widywała. Podobało się jej życie w tych „Schlossach“, jak je z niemiecka nazywała. Witold umiał zręcznie rozmowę tak pokierować, że nigdy do takiego „Schlossu“ się nie przyznał, a jednak wiele o nim rozmawiał.

Tym sposobem biegły chwile pogodnie. Żadna chmurka nie wychyliła się na niebo szczęścia, jakiego doznawali. Prozę życia odłożono na

później. a nawet i prozaiczniej usposobiona kapitanowa nie miała nic przeciw temu.

Do szczęścia tego małego grona przybył teraz nowy sprzymierzeniec.

Marta odwiedziła Idę.

Długo się namyślała, ale jej serce szlachetne przemogło. Wyjaśnienia, a raczej domysły brata co do jej pochodzenia były powodem, że uczuła dla niej wielką sympatję. Uczyniła to również z przywiązania dla jedynego brata, który w tej biednej ofierze widział jedyne szczęście swoje. Jej pojawienie się w salonie hrabiny Herminji było istną uroczystością.

Marta zachwyciła wszystkich. Jej uroda, dystynkcja i talenta chwyciły wszystkich za serca. Ida pokochała ją jak siostrę, a gdy razem przy fortepjanie duet zaśpiewały, przelewały się wszystkich serca z radości.

Tylko na rauty wieczorne nie chciała Marta przychodzić, chociaż ciocia Herminja bardzo na to nastawała. Obiecywała jej powodzenie niesłychane, a nawet stawiała horoskopy zaszczytnych podbojów. Marta zasłaniała się żałobą i na tem musiano poprzestać.

Pewnego dnia odprowadził Witold Martę do domu. Witold był w złotym humorze. Ida była czarująca. Miała strój istnej rusałki. Szeroka fałdzista suknia błękitnej barwy otaczała jej

piękne kształty, jakby falą wód morskich, z których ongi wyłoniła się Afrodyta. Śpiewała ulubioną jego piosenkę, a ciocia Herminja nie szczędziła chłodników i innych słodyczy. Do tego kapitanowa oświadczyła mu, że Martę prawie tak samo kocha jak Idę i rozwodziła się nad tem, jak one obydwie będą w swoim czasie na wielkim świecie.

Marta była zamyślona. Widocznym zbytkiem otoczona, Ida budziła w niej jakieś myśli niemiłe. Świat wytworny, wysoka skala życia i te blaski wyszukanej elegancji zbyt jaskrawo odbijały od jej własnych marzeń. Marzyła o skromnym szczęśliwym zakątku, w którymby jej życie słodko upływać mogło, gdy tymczasem Ida bujała jak widmo urocze w świetle bengalskiem, które wymaga wielkiej fortuny. Nadzieje Witolda mogły wprawdzie być słuszne i blaski zbytku mogły mieć źródło niewyczerpane. Jakże jednak wyda się ona, Marta przy tych blaskach? Czyżby nie lepiej było być obcą tym blaskom i do nich się nie zbliżać?

Gdy oboje do domu przyszli, a Witold dla odpoczynku na sofie usiadł, zasępiła się twarz Marty na widok zadowolenia, jakie jaśniało w oczach Witolda.

— Jak ci się podobał dzisiejszy strój Idy,—

zapytał Witold, patrząc rozmarzonym wzrokiem przed siebie.

— Bardzo ładny, gustowny,—odpowiedziała z lekkiem westchnieniem.

— Ona zawsze umie się ubrać, i to w niej zachwyca, że potrafi zróść się ze swoim ubiorem. Na wieczorku u barona Raffa miała krótką sukienkę podpinaną kwiatami jak pasterka *à la Vatteau*. Ruchy jej i uroda przypominały wtedy istną pasterkę. Niektórzy myśleli, że to przebrana za damę pensjonarka, która rolę swoją doskonale odgrywa.

— Jest wiele niezwykłej poezji w jej całem zachowaniu, co się rzadko wydarza w towarzystwach niemieckich.

— Błękitna.... lazurowa krew płynie w jej żyłach!

Oczy Witolda rozjaśniły się bardziej i zawiesiły w powietrzu, jakby na jakimś obrazku.

— Bardzo nerwowa kobieta,—odpowiedziała Marta,—co mówi, uczuwa głęboko, a jak śpiewa to jest sama pieśnią wcieloną, jak to widać po jej twarzy. Najczulszy przełom myśli i uczuć zmienia jej twarz i rysy, ściemnia lub rozjaśnia oczy. Zdaje się nawet, że i ręce jej wtedy inaczej wyglądają, a biust jej nabrzmiewa lub zapada się stosownie do wrażeń lub uczuć doznanych. Taka kobieta musi być szczęśliwa—

a najmniejsza boleść będzie dla niej wielką, a nawet może ją zabić.

Witold zmarszczył czoło przy tych słowach i zamyślił się.

— Dobrze odgadłaś Idę,—odpowiedział po chwili, to też ja kocham ją całą duszą i pragnę uczynić ją szczęśliwą.

Marta uśmiechnęła się nieznacznie.

— Cieszę się, — rzekła, — że raz przyszła kreska na Matyska. Dotąd bowiem inaczej się odzywałeś. Podkreślałeś zawsze, że miłość musi być prawie synonymem rozsądku. Dzisiaj gdy się zakochałeś śpiewasz inaczej.

Witold ucałował rękę Marty.

— Czyż dzisiaj mijam się z rozsądkiem,— zapytał z rumieńcem szczęścia.

— Nie powiem tego.... ale tak.... potrosze.

— Jakto potrosze? — zawołał Witold, marszcząc brwi. — W czemże miałbym się mijać z rozsądkiem?

— Mówią, że zakochani nie widzą granicy rozsądku—tak samo jak i ja nie mogę dojrzeć tej granicy, o której ty przy sposobności mi mówiłeś.

— Zupełnie co innego co się widzi i co ręką namacać można, a co innego jakieś powątpiewanie o tem, co nie jest dostatecznie jasnem.

Przyznasz przecie sama, że inaczej tych Hohenestów sobie wytłomaczyć nie można.

Marta nic nie odpowiedziała. Nastała chwila milczenia.

— Czy myślisz jeszcze o tem, — zapytał Witold.

— Myślę o Idzie. Jak ona pragnie szczęścia. Mówiła mi, że za majora wyszła z namowy krewnych, i że teraz dopiero wybrało jej serce.

Witold wyrzucił głowę do góry, a pierś jego podniosła się wysoko.

— Czy mówiła, że kto i teraz jaki wpływ na jej wybór wywierał?...

— Przeciwnie, zostawiono jej wolną wolę, a z jej wyboru okazano nawet pewne zadowolenie.

Witold wstał, podgarnął włosy i przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Pamiętaj tylko, — rzekła z uśmiechem Marta,—abyś jej marzeń nie zawiódł.

— Bądź pewna, że nie zawiodę i wierzę, że ona także mnie nie zawiedzie.

Witoldowi tak jakoś pełno było teraz w piersi, że zapragnął szerszej przestrzeni, aby odetchnąć.

Pożegnał siostrę i wyszedł na ulicę.

XXVIII.

Gdy Witold do sieni hotelu wchodził, zatrzymał go odźwierny, podając mu kartkę.

— Baron Raff,—rzekł z ukłonem, — czeka w salonie wspólnym.

Witold wbiegł szybko na schody.

Baron Raff czytał w salonie gazetę. Oczy jednak jego wychodziły poza gazetę i przypatrywały się gościom, z których jedni czytali, a drudzy rozmawiali ze sobą. Gdy ujrzał Witolda we drzwiach, wstał od niechcenia i przeszedł się po pod oknami salonu. Potem niby przypadkiem ujrzał Witolda, podał mu rękę i rzekł nieco ciszej:

— Przychodzę pana odwiedzić, ale nie tutaj, tylko we własnem jego mieszkaniu.

Witold otworzył drzwi i obaj wyszli na drugie piętro.

Witold miał teraz ładne kawalerskie mieszkanko, stosowne do zajętej pozycji. Składało się ono z przedpokoju, z saloniku z elegancją urządzonego, za którym był pokój sypialny.

W przedpokoju wyprostowany jak żołnierz powitał ich strzelec i otworzył drzwi do saloniku.

Gdy obaj na fotelach usiedli, podał gospodarz cygara.

— Czy potrzeba panu strzelca na co — zapytał baron, zapalając cygaro — mógłbym się za nim wstawić, abyś go wysłał na przechadzkę.

— Dlaczego?—zapytał zaciekawiony Witold.

— Nie lubię, aby lokaje słyszeli rozmowę swoich panów. Przy dobrym humorze, można sobie różnych rzeczy pozwolić, co wpływa na ujmę naszej powagi dla służby potrzebnej. Ja zwykle w domu moim przestrzegam tego.

— Nic łatwiejszego, będzie z tego zadowolony.

Witold przychylił teraz palcem srebrną gondolę, która na stole stała, a wahając się zadzwoniła dwa razy. Strzelec stanął u proga. Witold wyjął z portmonetki złoty pieniądz.

— Masz tutaj dzisięcio-markówkę — rzekł do strzelca — kupisz dwa bukiety u wiadomego ci ogrodnika. Jeden z nich zaniesiesz do hrabiny Idy, a drugi oddasz mojej siostrze.

Strzelec salutował po wojskowemu i wyszedł.

Tymczasem baron Raff przeszedł się po saloniku i rzucił okiem nieznacznie do sypialnego pokoju. Nie ujrzał tam żadnych drzwi. Wróciwszy do gospodarza, usiadł przy nim.

Zrazu mówiono o rzeczach powszednich, o gazetach, które wojną grożą i wyborach, które zapowiadają niezwykłe burze i huragany.

— Niewiele wiesz o tem, mój zacny panie—

rzekł baron z uśmiechem — bo kogo amor na łódce wiezie po modrych falach, ten nie dba o to jakie potwory tam w głębi być mogą. Hrabina Ida jest tak zachwycająca, że przy niej i sam archanioł zapomniałby do nieba powrócić.

Witold rozśmiał się z zadowoleniem i uścisnął rękę barona.

— A cóż dopiero mówić o zwykłym człowieku — odparł z widocznym tryumfem; cóż ja mam powiedzieć, który w niebie nie byłem, a kraj, z którego pochodzę, nie wygląda w dzisiejszych stosunkach na niebo!

— Zupełnie się z tem zgadzam, i bądź pan pewny, że nietylko w obecności pana tak mówię.

Tu podał baron rękę Witoldowi, który serdecznie ją uściskał.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

— Wybory — mówił po chwili baron — jak się zdaje będą bardzo burzliwe. I nic dziwnego. Nowe państwo, złączone pod jedną główną koroną, nie ma jeszcze zagojonych szwów chirurgicznych, które je w jedną całość łączyć mają. Przyznam się, że i nóż głównego chirurga niezawsze był oględny. Tu i owdzie podwiązano niepotrzebnie arterje, a niektórą nawet niebacznie przecięto. Szew, choćby kuśnierski tutaj nic nie pomoże, rany nie zgoją

się tak prędko, a obawiać się jeszcze należy ropienia podskórnego, a może nawet i gangreny.

Były dygnitarz Welfów wstał z fotelu i gorączkowo przeszedł się po pokoju. Z płowej jego łysinki wychodziła jakby para, która wyżej zapalała się w jakiś ognik błękitnawy. Tak przynajmniej wydało się Witoldowi, a może to był tylko błękitny dymek hawańskiego cygara. Czas niejaki trwało milczenie.

— Tamerlana — mówił po chwili baron, jakby do własnych myśli — Dżyngishana, i innych światoborców nazwano w ich czasach tem, czem się być wydawali, t. j. burzycielami państw i narodów. Dzisiejsza filozofia dziejowa, widzi w nich bicz boży, pod którym miała ludzkość się odrodzić. Nie wiem zaiste jak dzisiejszych wielkich ludzi nazwą potomni. To jednak pewno, że ich nie nazwą odrodzicielami. *Utinam sim falsus vates!*

Witold zatrzymał barona w coraz szybszym pochodzie po pokoju i podał mu rękę.

— Mimo że amor łódką moją kieruje — rzekł z uśmiechem serdecznym — zgadzam się zupełnie z panem.

— Rozumie się — odpowiedział baron — mamy jedne i te same powody. Przecież nieraz z ziomkami pana stajemy w jednym sze-

regu. I to właśnie jest powodem, że dzisiaj do pana przyszedłem.

— Witold spojrzał z uwagą na barona. Baron z jakąś miną tajemniczą wziął go za rękę i zaprowadził do kanapy. Obaj usiedli przy sobie.

— Niektóre sprawy są nam wspólne — rzekł baron — a nawet i szwy, jakimi nowe państwo spojono, dolegają nam wzajem. Nie potrzebujem taić się przed sobą i ukrywać to, co nas boli. Z tego samego powodu musimy się wzajemnie chronić przed niebezpieczeństwem, które zagrażać może.

Niemałe zaciekawienie malowało się teraz na twarzy Witolda. Ton uroczysty, jakim baron przemawiał, i odpowiedni temu wyraz twarzy, który coś niezwykłego obiecywał, kazał Witoldowi domyślać się czegoś nadzwyczajnego. Z uwagą patrzał na niego.

— Jestto rzeczą zwyczajną — zaczął baron—że sprawy publiczne, omawiane w zgromadzeniach publicznych i w dziennikach przenoszą się także do kółek prywatnych. Gdy działa niemieckie Paryż bombardowały, niepodobna było wtedy rozprawiać o Goethem i Schillerze lub śpiewać pieśni Schuberta. Otóż i dzisiaj gdy się kilku ludzi zejdzie, mówi się o tem, czem atmosfera przesiąkła.

Rozśmiał się Witold i uderzył barona po kolanie.

— Czy to aluzja do mnie — zawołał wesoło — że na salonach hrabiny Hohenest nie mówię o polityce?

— Pan masz absolucję — odpowiedział z uśmiechem baron — bo i ja na miejscu pana i w takich warunkach, byłbym niemy jak ryba. Ale tu o co innego chodzi.

Baron zatrzymał się tutaj i spojrzał uważnie dokoła, jakby się chciał przekonać czy go nikt nie słucha.

— Na salonach pani Hohenest — mówił dalej nieco ciszej — bywa wiele gości. Bywają nawet tacy, których znam z nazwiska, to nie wiem czy tych nazwisk nie przekręcam. Czyś pan nie spostrzegł między nimi takich, którymby, jako ludziom niebardzo honorowym zaufać nie można?

Zdziwiony spojrzał Witold na barona.

— Nie zastanawiałem się nad tem — odpowiedział — bo mi nawet to do głowy nie przyszło.

— W kwestjach dzisiejszych są i takie, na które zgodzić się nie można. Wśród walki o nie zapala się człowiek i często wybiegnie na usta słowo, które miało wewnątrz pozostać.

Inaczej mówi się w parlamencie, a inaczej przy kieliszku szampana.

— Nie mogę zrozumieć, o co tu chodzi.

— Chodzi o to, aby te słowa gorętsze ulatniały się wraz z pianą szampana, a nie dochodziły do tych, dla których nie były przeznaczone.

— Czyż to być może?

— Czyniono mi wymówki co do słów moich, które raz na raucie byłem wypowiedział. Dlatego radziłbym hrabinie Herminji, aby w zaproszeniach była więcej wybredną. Przecież honorowych adwersarzy obawiać się nie możemy. Przeciwnie możemy mieć dla nich nawet szacunek, a z ich maksymami spierać się do upadłego. Oto co miałem panu do powiedzenia.

Witold przyrzekł, że zwróci na to uwagę, sądzi jednak że może baron wziął jakieś niejasne aluzje za wymówki.

Na tem skończyła się rozmowa.

XXIX.

Nadeszły dni wyborów. Przed pełnem zgromadzeniem stanęli kandydaci. Niektórzy byli już poprzednio wybrani, jako ludzie zaufania

publicznego. Obiecali oni wyborcom wiele, bardzo wiele. Kupcom i większym przemysłowcom obiecali korzystne traktaty z ościennemi państwami; urzędnikom podwyższenie płacy, a najliczniejszej grupie, której głosy zazwyczaj przeważały, to jest drobnym rękodzielnikom i wyrobnikom obiecali wywalczyć prawa lepszego chleba.

Owi posłowie w ciągu swego mandatu nie wywiązali się ze swoich przyrzeczeń, albo nie w całej rozciągłości. Powtórzyli więc dzisiaj swój program dawniejszy i przyrzekli pozostać mu wiernymi.

Zgromadzenie przyjęło ich słowa obojętnie. Dzisiaj już mu one nie wystarczały. Agitacje i przemówienia różnych mówców na zebraniach rozbudziły między nimi większe nadzieje, szersze wywołały pragnienia. Kandydaci więc dzisiejsi licytowali się wzajemnie, który z nich więcej przyrzeknie. Wynajdywano rany społeczne, które w gangrenę przejść mogą, nicowano urządzenia państwowe, zachęcano do walki klasowej, a po zwycięzkiej walce obiecywano raj na ziemi. Wydziedziczonym z praw do życia obiecywano równouprawnienie, potrzebnych do bytu dostatków.

Zgromadzenie słuchało tych przyrzeczeń z gorączką, zapalały się głowy, oczy błyszczały ogniem, a grube narobione ręce ściskały się

w pięście. Wierzono, że ich nędza i bieda pochodzi od tych, którzy zdobyli większe dostatki, lub do nich przyszli urodzeniem. Przeciw tym obiecali kandydaci walczyć i nie spocząć póty, póki dla nich praw równych nie zdobędą.

Rozumie się, że zgromadzeniu najwięcej podobali się ci, którzy najwięcej dawali. Większość zapisała sobie ich nazwiska i z niemi pospieszyła do urn wyborczych.

Pozostali jednak nieprzejednani. Dla nich było to jeszcze za mało. Uśmiechała się im rzucona myśl wszechwładztwa. Potężni liczbą, chcieli zdobyć dla siebie niesformułowane dotąd prawo bytu, a nawet i prawo rządów. Wtedy mogliby tworzyć ustawy i urządzenia, któreby im miały wynagrodzić krzywdy wiekowe. Nasłuchano się tyle o tych krzywdach i uwierzono w nie. Każdy wierzył, że jest pokrzywdzony i pragnął wynagrodzenia za tę krzywdę. Pragnienie to w miarę przeszkód, przechodziło w nieokreśloną żądzę zemsty.

Karol brał gorący udział w tym ruchu. Po całych dniach słuchał rozpraw w zgromadzeniach publicznych, a wieczory przepędzał w tłumnych zebraniach w tej lub owej gospodzie. Przemawiał często i zachęcał do upragnionej walki o polepszenie losu tych, którzy pracują.

Zmęczony trzechdniową agitacją chciał wieczorem wypocząć. Wypoczynek mógł tylko znaleźć u Marty.

Była ona dla niego jakby oaza wśród pustyni. Wiedział jednak, że dla podróżnych w pustyni jest taka oaza chwilowym tylko wypoczynkiem, po którym trzeba znowu brnąć w piasku wśród spiekoty, jak brnął dotąd.

A ten choć tak krótki wypoczynek miał dla niego urok niezwykły. Stawał się na tych chwil kilka prawie innym człowiekiem. Inne horyzonty, inne nieba otwierały się przed nim. Pierś inaczej oddychała wtedy, oczy inaczej patrzały. Polubił to chwilowe wytchnienie, ale na to tylko, aby z tem większą siłą wrócić do swoich myśli burzliwych. Po każdem takiem wytchnieniu przybywało mu więcej energji, zdawało mu się, że ręce jego wydłużają się i grubieją, że rośnie w olbrzyma i że kiedyś będzie mógł jak oślepiony Samuel wstrząsnąć kolumną, która ongi zabiła tysiące Izraela.

Marta właśnie co przyszła z odwiedzin Idy. Była podniecona rozmową z nią i z bratem. Widziała dwoje ludzi szczęśliwych, ale postać jej odbijała jakoś dziwnie od tego szczęścia. Wolałaby nie zbliżać się do nich i wyrzucała sobie, że to nastąpiło. Nadzieje i pragnienia Idy wybiegały wysoko, zamysły i marzenia Witolda bujały jeszcze wyżej. Wobec jednych

i drugich jakże skromną była jej postać z cichem pragnieniem małego zakątka szczęścia. Jakaż łączność może nadal być między bratem a siostrą? Czyż nie lepiej rozdzielić się dzisiaj z tą łącznością, kiedy ona jeszcze nie jest w tak jaskrawej sprzeczności? Czyżby nie lepiej było dla niej i dla Karola, gdyby, wyrwawszy go z dzisiejszej sfery, oddaliła się od świetlanej sfery brata i poszła gdzieś daleko, gdzieby nie potrzebowała widzieć może szczęśliwszych od siebie?

Przywiązanie jednak do brata, z którym wzrosła w jednych pieszczotach rodzicielskich, nie pozwalało jej z nim się rozłączyć. Czułaby się sierotą, pozbawioną wszelkich uczuć rodzinnych. A przecież te uczucia są najtrwalsze. Ona w nich wzrosła, one stanowią część jej życia. Zbyt boleśnie pozbawić się tego, co do nas przyszło, co weszło w naszą istotę!...

Czy Karol mógłby jej to wszystko wynagrodzić, czy dzisiejsze jego młode porywy mogłyby wejść na inną drogę?

Takiemi myślami zajęta, długo chodziła po pokoju. Wreszcie siadła do fortepianu i machinalnie zaczęła grać melodję jednej z tych pieśni, które często Karolowi grała lub śpiewała. Była to pieśń o Bolesławie Chrobrym.

Otworzyły się drzwi, do pokoju wszedł Karol.

Marta pobiegła ku niemu.

— Nie przestawaj grać, — rzekł do niej, całując ją w rękę, — nie szczędź mi tej pociechy, kochana Marto, jakiej zawsze u ciebie doznaję. W głowie mojej wre i kipi jak w parowym kotle, a pieśń ta sprawia mi roskoszne ukojenie.

Marta odgarnęła mu włosy z czoła.

— Dlaczegóż w tej głowie rozniecasz taki ogień, który wszystkie twe siły trawi? Przecież wiesz, że jak z jednej strony ogień jest dobroczynny, tak z drugiej strony może sprawić niemałe spustoszenie. Wiesz, że zbyt wysoka temperatura rozsadza kocioł parowy i kaleczy tych, dla których pracować miała!...

Karol z uśmiechem słuchał tych słów, które już znał na pamięć. Nieraz słyszał je, ale z Martą nie sprzeczał się o nie. Był przekonany, że dalej sięga myślą od kobiety, dla której to wydaje się gorące, co jego twardą rękę oziębia.

— Proszę cię Marto, — rzekł po chwili, — graj dalej, lub zaśpiewaj. Lemonjada jest dobra także, choćby dla chwilowego ochłodzenia.

Marta uderzyła go po ramieniu.

— Jesteś niepoprawny, — odpowiedziała z ujmującym uśmiechem, — ale ja jestem cierpliwą.

Siadła przy fortepianie, Karol usiadł przy niej.

— Czy chcesz Bolesława Chrobrego, czy o księciu Józefie?

— Wolę Chrobrego. Był rycerzem, który walczył i zwyciężał. Powrót naszych sztandarów z bohaterem zabitym napawa mnie smutkiem.

— Niezawsze bohater jest zwycięzcą.

— Ale z jego grobu wystrzeliła gwiazda idei.

Marta drgnęła. Nastało dłuższe milczenie.

— Czemuż nie śpiewasz, — zapytał Karol, przyciskając do ust jej rękę, — czemuż twoja ręka tak gorąca?

— Przeszła mi przez głowę myśl złowroga.

— Co za myśl?

— Nie pytaj!... Zaśpiewam ci Chrobrego.

Marta wzięła kilka cichych akordów, które coraz więcej rosły pod jej białą ręką, wreszcie złączyła się z nimi pieśń, w której mniej było melodji, a więcej opowiadania.

Karol podparł ręką głowę i słuchał. Zmarszczone jego czoło wygładzało się powoli, gorączkowy rumieniec twarzy znikał, tylko w oczach palił się ogień łagodny. Przy zwycięzkich pochodach króla-bohatera podniósł głowę do góry i szeroką dłonią podgarnął włosy.

Marta skończyła pieśń, a ręce jej spoczęły na kolanach. Karol milczał, jakby dalej słuchał tej pieśni, która drżała jeszcze w strunach stalowych i w słojach drzewa.

— Piękna pieśń, chociaż melodja nieco jednostajna. Właśnie dlatego uwydatnia ona tem więcej wzniosłe słowa poety.

— Cóż cię uderza w tej pieśni,—zapytała Marta, patrząc mu w oczy.

— Postać króla-bohatera.

— Ale cała pieśń jest owijana uczuciem patrjotyzmu, który jest najszczytniejszy ze wszystkich uczuć.

Uśmiechnął się Karol.

Przebijają z niej ideały owych czasów, w których żył poeta.

— Czyż dzisiaj te ideały straciły na uroku?

— Przynajmniej należą już do historji, inne czasy, inne hasła!

— Jakież hasła nowe mogły zastąpić dzisiaj poświęcenie dla bliźnich?

— Patrjotyzm jest to idea państwowa, a dzisiaj chodzi nam o pewne jednostki, które razem tworzą grupę, dobijającą się praw swoich pokrzywdzonych. Pierwej chodziło o laury, a dzisiaj toczy się walka o chleb dla nędzarzy.

— Czyż to nowe hasło na naszej ziemi wyrosło?

— Jest ono dzisiaj hasłem całego świata, a my przecież w tyle pozostać nie możemy.

— Nie przeczę temu, że od tego prądu nie powinniśmy się uchylać, ale czyż nam godzi się dla niego samego wyrzec się nabytków całej naszej przeszłości.

Karol machnął ręką.

— Wiele tam fałszywego złota, fałszywych blasków, a to co piękne i czyste, nigdy nie zaginie.

— Być może — ale w szeroko rozłożonym ogniu wiele rzeczy zaprzepaścić się może.

— Co żyć nie chce, niech ginie.

— Ale jest przykazanie: «*nie zabijaj*», choćby to było słabe i nie mogło się bronić.

— Ogniska rozłożone na całym zachodzie!

— Pocóż palić w cudzym piecu własnym, kilkuwiekowym nabytkiem?

— Któż pali?

— Ty!

Karol spojrzał z uwagą na Martę. W jej oczach gorzał płomień, twarz płonęła Była tak piękna, jak nigdy. Wziął jej rękę i gorąco ucałował.

— O, ty piękny mój prokuratorze,—zawołał z roskoszą,—nie oskarżaj mnie o takie straszne zbrodnie, bo, patrząc na ciebie, gotów jestem przyznać się do wszystkiego, a przecież w grun-

cie nie jestem takim zbrodniarzem, za jakiego mnie masz.

Marta położyła mu ciepłą rączkę na ramieniu.

— Może jeszcze gorszym, niżeli sądzisz. — odpowiedziała z czarującym uśmiechem.

Karol spojrzał na nią.

— Czy ty wiesz,—mówiła dalej Marta, a uśmiech jej przybierał wyraz złowróżbnej Kassandry, — czy ty wiesz, że nałożone ogniska, w które dmuchasz, mogą przekroczyć granice swoje i wszystko naokoło w pożogę obrócić.

Karol zerwał się na nogi i wyprostował. Podniósł rękę do góry, jakby nią piorun chciał rzucić.

— Lepsze pożogi i zgliszcza od tego co jest dzisiaj,—zawołał głosem stanowczym i spuścił rękę na fortepjan, aż struny zajękły.

— Wiem że ztąd wychodzi źródło twoich rojeń i myśli, które cię trawią.... Ale czy to kogo zbawi?

— Szlachetne pobudki muszą wydać owoc szlachetny.

— Czy ty jesteś w towarzystwie samych szlachetnych?... czy nie znajdą się i tacy, którzy twoję szlachetność zaprowadzą tam, gdziebyś nigdy być nie chciał?

— Walcząca ludzkość składa się nieraz

z różnych zaciężnych, ale łatwo ich rozróżnić i odepchnąć od siebie.

— Oby się inaczej nie stało!

— Zostaw to predestynacji dziejowej.

Karol wymówił te słowa dobitnie, a Marta uznała za stosowne zaprzestać na dzisiaj dalszej polemiki w sprawie, którą więcej z intuicji znała, niżeli rozumem zgłębiała.

Zresztą stara piastunka pojawiła się z herbatą i przekąską. Potrzeba było z nią trochę pomówić i dla czulszych stron serca nieco czasu zostawić.

XXX.

Była już późna godzina, gdy Karol wyszedł na ulicę. Miał jeszcze do jednej gospody pójść, ale nie poszedł. Rozmowa z Martą podrażniła go i jeszcze nie mógł się uspokoić. Nigdy jeszcze nie dotknęła Marta tak szeroko jego wierzeń dzisiejszych. Jej słowa jakoś głębiej sięgnęły do jego duszy i poruszyły tam strunę, która umilknąć nie chciała.

Podobne słowa słyszał nieraz od niej, przebrzmiewały jednak dosyć prędko. Były to słowa kobiety, dźwięczne i piękne, ale nie sięgały głębiej jak mniemał. Czuł się wyższym od niej

i z uśmiechem uprzejmem przyjmował to, co mu kobieta powiedzieć mogła. Wierzenia jego były wyższe nad strunę uczucia, które go do tej kobiety wiązało. Tak rozumował sobie.

Dzisiaj jakoś inaczej mu się to wydawało. To, co od niej dzisiaj usłyszał, szło za nim, ciągnęło się jak pajęczyna, której się nie mógł pozbyć. Myślał o tem, wynajdywał różne argumenta przeciwne, lecz nadaremno.

Według swego mniemania szedł drogą prostą i uczciwą. Szlachetne pobudki prowadziły go, a cel do którego dążył musiał być także szlachetny i godny uznania. Temu celowi poświęcił wszystko, co dotąd mógł poświęcić, a poświęciłby jeszcze więcej, gdyby tego od niego wymagano. Zapatrzony w gwiazdę swoich wierzeń, zmierzał prosto ku niej, nie patrząc na żadne inne. Prowadziła go ona przez ciernie i głogi, pomiędzy skały i urwiska — inne obiecywały mu miękki trawnik i kwiaty roskoszne, nie zboczył na nią, tylko szedł prosto, i nie byłby się nawet zawahał skoczyć w przepaść, gdyby się była przed nim otworzyła.

Dzisiaj ogarnął go jakiś niepokój. Marta powiedziała mu, że, idąc dalej tą drogą, może wejść na ścieżkę, na której pełzają gady i potwory.

Przecież on dotąd ich nie widział. Słyszał

nieraz o tem, ale miał to za pobożną legendę, wymyśloną przez ludzi innych wierzeń. Zresztą innej drogi nie widział i w inne nie wierzył.

Skądże dzisiaj ten niepokój? Czyżby miał się zachwiać? Czyżby opuściła go odwaga, która dotąd go nie odstępowała? Czy upadł na duchu, zmęczony tą mozolną drogą?

Takie pytania zadawał sobie i nie mógł na nie odpowiedzieć. Coś mu mąciło te odpowiedzi, coś mu ich nawet wymówić nie dało....

Może to Marta zachwiała w nim te wierzenia swoim roskosznym uśmiechem? Może to jej oczy, które tak jasno świecą przed jego duszą, zamgliły tę gwiazdę przewodnią, za którą dotąd tak odważnie podążał?...

W takim razie, gdyby tak było w istocie, mógłby, a nawet powinien wyrzec się widoku tych oczów czarujących i tego roskosznego uśmiechu. Do ofiar, które dotychczas złożył na ołtarzu swoich wierzeń, mógł dołączyć i tę ofiarę, chociażby była bardzo bolesną. Mógł oddalić się od Marty na czas jakiś, nawet nazawsze, jeżeli tego wymaga ów cel, jaki sobie założył!...

Myśl ta była jednak bardzo bolesna. Targała mu wszystkie subtelne włókna, które serce jego wiązały do serca Marty. A Marta była mu tak życzliwą, nie zważała na różnicę położenia,

kochała go miłością siostry rodzonej. Czyż ona sama może mu wynagrodzić to, czem on dotąd żył przez długie lata, i co się stało już potrzebą jego życia? Czyżby sumienie nie czyniło mu z tego powodu wyrzutów nigdy nieukojonych?

Nie, on musi wytrwać, musi iść dalej tą drogą, którą szedł dotąd, bo to droga jedynie dzisiaj możliwa, a inne zamknięte!...

Takie myśli toczyły się w głowie Karola, gdy mijał jednę ulicę po drugiej. Wreszcie zdążył do domu.

W pokoju zapalił lampkę. Spojrzał na stół, który był zarazem biurkiem i warsztatem. Leżały na nim rysunki rozmaitych narzędzi rolniczych i gospodarskich.

Na drugim końcu stołu, gdzie był mały warsztacik ślusarski, stały małe modele maszyn i misternie wyrobione ich części składowe.

Wszystko to było mu dzisiaj jakoś obojętne. Dawniej do późna w nocy siadywał przy tej pracy, kreślił nowe pomysły i ulepszenia, a nawet szkicował pobieżnie jakieś nowe wynalazki.

Dzisiaj nie usiadł przy stole, nie wziął ani cyrkla, ani pióra do ręki. Ponurym wzrokiem zmierzył cały pokój, jakby po ciemnych kątach szukał owych płazów i gadów, o których mó-

wiła Marta. Długo chodził po pokoju, jakby chciał się fizycznie zmęczyć, ale nadaremnie.

Wysiłek fizyczny rozgrzewał mu krew, która jak lawa napłynęła do mózgu. Nerwy wyobraźni drgały zdwojonem życiem. Tworzyły się tam jak w kalejdoskopie różne obrazy i widma, które prędko znikały, aby innym ustąpić miejsca. Jedne były jasne i roskoszne jak niebo lipcowe, inne ponure i mgliste, a zpoza mgły wychylały się brzydkie i wstrętne. Odpędzał je ręką, jak się odpędza brzęczące komary lub osy zjadliwe, ale one, umykając na chwilę, wracały znowu w podwójnej liczbie.

Wreszcie usiadł na sofie i podparł ręką głowę. Niepokój jego wzmagał się jeszcze więcej. Nigdy jeszcze nie doznał podobnego uczucia. Zaczął się obawiać, czy to nie jest przeczucie czegoś, co mu zagraża, a o czem on nie wie...

Wprawdzie mogły mu zagrażać różne niebezpieczeństwa, ale o nich nieraz już myślał i był na nie przygotowany. Spokojnie patrzał na nie, jak patrzali pierwsi wyznawcy wiary na wznoszący się pod nimi stos drzewa, który ich miał spalić na popiół. Te bowiem popioły, rozniesione wiatrem po najdalszych zakątkach ziemi, miały się stać życiowym zarodkiem tego, za co owych wyznawców spalono.

Mimo tej wiary swojej nie mógł się uspokoić.

Na zegarze wybijała godzina po godzinie, niepokój jego nie ustawał. Ucho jego stało się drażliwe na każdy oddalony turkot powozu, na stuk chodu idących po ulicy spóźnionych przechodniów.

Wreszcie usłyszał kroki kilku idących, które z oddalenia zbliżały się ku domowi, w którym mieszkał.

Kroki te zatrzymały się na chwilę przed bramą... po chwili usłyszał je znowu na schodach.

Sprawiły na nim dziwne wrażenie. W kamienicy było wielu mieszkańców, często można było słyszeć ich kroki po schodach, a jednak nie sprawiały one takiego wrażenia, jakiego doznał w tej chwili...

Wkrótce otworzyły się drzwi. Do pokoju weszło kilku ludzi. Mogło ich być pięciu lub sześciu.

Pierwszego, który szedł na czele, poznał po śniadej twarzy i brwiach zrośniętych. Był to ów mówca, który niedawno przemawiał w gospodzie do robotników. Inni byli mu nieznani, oprócz gołobrodego młodzieńca, którego w gospodzie często widywał przy boku ojca Marcina. Ci, których nie znał, mieli odzież wyszarzaną i nie jednostajnie dobraną. Twarze ich

były wstrętne, malowały się na nich cynizm i pewna buta.

— Mistrzu słowa i pilnika,—ozwał się gość o śniadej twarzy, — przychodzimy do ciebie w ważnej sprawie, która jest wspólną naszą sprawą.

— Czegóż żądacie odemnie?—zapytał Karol z niemiłem uczuciem.

— Bagateli, — odpowiedział śniadej twarzy przewódca,—a resztę sami zrobimy.

— Jakaż to bagatela?

Mniemany przewódca milczał czas niejaki. Czarne oczy jego, w których gorzał ogień ponury, przesunęły się zwolna po modelach maszyn, leżących na stole.

— Spodziewam się,—mówił dalej,—że sprawa nasza wspólna ma w tobie nietylko mistrza słowa, ale że będziesz także jej mistrzem, gdy to słowo w czyn zamienić potrzeba. Oto stoją przed tobą ludzie, którzy się przed niczem nie zawahają, których odwaga wypróbowana. Po słowach muszą nastąpić czyny.

— Jakież to mają być czyny?

— Była mowa o tem, abyśmy dali znak życia, aby o nas nie zapomniano. Te oznaki muszą najprzód trwogą przejąć naszych adwersarzy, bo tylko pod grozą trwogi możemy coś

osięgnąć. Postrach i śmierć to hasło naszej chorągwi.

Karol spojrzał z uwagą na przybyłych. Postawa ich, nie wyłączając młodego Fryca, była śmiała i wyzywająca.

— Postrachem i śmiercią chcecie wojować,— odpowiedział Karol z odwagą,—w jaki to sposób ma się odbyć ta wojna?

— Właśnie ty mistrzu sporządzisz nam ten dzisiaj używany sposób przez naszych współbraci.

Krew uderzyła Karolowi do głowy.

— Wy zbrodniarze i złoczyńce,—krzyknął,— wy nazywacie mnie mistrzem?

— Przecież od słowa niedaleko do czynu,— odpowiedział spokojnie przewódca, — a gdy pierwsze strzały walki mają nastąpić, to mniejsza o to, jaka ręka proch zapala!

Towarzysze przewódcy patrzali butnie na Karola.

— Sprawa szlachetna nie potrzebuje rąk zhańbionych. Precz z takiemi rękami!

— Dlaczego precz?—zawołał jeden z towarzyszy,—jeżeli ręce nasze otworzą kasę bogatych, to i wy, którzy macie czyste ręce możecie z nich brać!

Zachwiały się nogi pod Karolem. Wstręt, jaki w tej chwili uczuł na widok tych mnie-

manych towarzyszy, nie dał mu słowa wymówić. Patrzał osłupiały i nieruchomy jak posąg.

— Nam wszystko jedno,—zawołał przewódca, — kto rzuca żagnie, byle tylko wszystko zniszczyć, zburzyć i w popiół obrócić. Oto nasze hasło!

— To wasze hasło,—powtórzył Karol jak automat.

— Nasze wspólne hasło, mistrzu!

— Precz odemnie!—zawołał gromkim głosem Karol,—precz, nie jestem waszym!

— A więc przeniewiercą? — syknął przewódca.

W ręce jego błysnęła zabójcza broń.

Rozległ się głuchy strzał. Karol chciał wyciągnąć rękę po zabójcę, ale ręka opadła bezwładnie.

Zachwiał się i runął na ziemię.

Przewódca patrzał przez kilka chwil ponurym okiem na Karola, który jakby bez życia leżał u nóg jego.

Towarzysze spojrzeli po sobie z zapytaniem, czyby nie lepiej było stąd uciekać. Młody Fryc patrzał na przewódcę, jakby był zachwycony jego bohaterskim czynem.

— Trafiony w ramię,—rzekł po chwili przewódca, wlepiwszy oczy w strugę krwi, która na posadzkę hojnie spływała.

— Możeby poprawić? — zapytał pierwszy towarzysz, wskazując na głowę ofiary.

— Aby nie robić stuku mam nóż,—dorzucił drugi.

Przewódca zrobił ręką znak zaprzeczenia.

— Nie trzeba,—zawołał,—niech żyje. Dostał naukę, jak się karze tych, którzy nie z nami. Może to poskutkuje.

— W takim razie wyda nas sądowi, — zauważył pierwszy towarzysz.

— A spryt i nogi od czego? Nikt nie słyszał strzału, nikt nas nie widział.

— Gdzież ja pójdę,—zapytał Fryc,—i cóż ojcu Marcinowi powiem?

— Do ojca Marcina nie wracaj, — odparł rozkazująco dowódca.—Gdzieś się rodził?

— Daleko stąd... nad Dunajem.

— To idź nad Dunaj i weź się do pracy.

— A gdy mnie zapytają kto jestem?

— Nazywasz się *głód,* a idziesz po *chleb.*

— A gdy chleba nie dostanę?

Kroki na schodach przerwały dalszą rozmowę.

Stali chwilę w milczeniu, póki kroki nie uciszyły się, poczem w milczeniu i ostrożnie wymknęli się z pokoju.

W pokoju został sam Karol. Pierś jego podnosiła się krótkim oddechem, ale był bezprzytomny.

Drgające światło lampy przesuwało się zwolna po jego twarzy, która powoli przybierała barwę umierającego. Oczy otworzyły się kilka razy szeroko i znowu zamknęły. Prawa ręka usiłowała podnieść się do góry, ale upadła bezwładnie na ziemię.

A na ulicy nie ustawał zwykły ruch karet i dorożek, i z nieba patrzał księżyc spokojnie na dachy i kominy.

XXXI.

Legacyjny radca miał zwyczaj po każdym raucie u hrabiny Herminji Hohenest odwiedzać swego zacnego przyjaciela, który był tajnym radcą i piastował urząd wysoki, tuż przy boku wielkiego kanclerza.

Po ostatnim raucie wybrał się był właśnie radca na te odwiedziny Excelencji.

Wyszedł z domu zdrów i czerstwy. Twarz miał uśmiechniętą jak zawsze, gdy wiedział, że ludzie na niego patrzą. Uśmiechem tym, przez który przeglądała uczciwość i dobroduszność, zjednywał sobie serca ludzi. Znano na ulicy jego kapelusz z szerokiemi kresami, wysokie białe kołnierzyki i białą chustkę zawiązaną w węzeł kunsztowny.

Tak samo ubrany szedł dzisiaj przez ulicę, kłaniał się znajomym i nieznajomym ze zbytniej grzeczności, a wszystkim z drogi ustępował, kto tego pierwej nie uczynił.

Przeszedł szczęśliwie jedną ulicę i drugą, i już był niedaleko bramy brandeburskiej, w pobliżu której znajdowało się biuro Excelencji— gdy nagle uczuł zawrót głowy i upadł na chodnik. Zbiegli się ludzie, a gdy doraźny ratunek był bez skutku, przeszukano jego kieszenie aby się dowiedzieć, kto jest i gdzie mieszka. Nadeszła wreszcie straż policyjna, przywołano lekarza — ale ten stwierdził tylko... śmierć przez apopleksję.

Nazajutrz, gdy Henryk Szolc dosyć późno przyszedł do swego biura, zastał radcę w pewnem podrażnieniu. Twarz jego była ożywiona, oczy patrzały na Henryka bardzo życzliwie.

— Wczoraj wieczorem—ozwał się radca— posyłał po mnie Excelencja, mój dawny kolega szkolny. Długo rozmawialiśmy z sobą. Był zasmucony nagłą śmiercią legacyjnego radcy, a potem przeszliśmy do rozmowy weselszej. Wypytywał mnie o podwładnych w mojem biurze, a gdy na ciebie mój młody przyjacielu kolej przyszła, długo o tobie ze mną rozmawiał. Pytał po kilkakroć czy można tobie zaufać. Rozumie się, że wydałem ci świadectwo *cum*

magna laude. Zdaje mi się, że czeka cię jakiś awans, i przeniesienie do wyższej klasy. Wierzaj mi zacny mój towarzyszu, że to mnie ucieszyło, a jak się z tego „Lorelei“ cieszyć będzie, to się przekonasz, gdy jutro na kawę poobiednią przyjdziesz.

Zaciekawiły Henryka te słowa radcy.

— Cóż pan radca sądzi o tem? — zapytał.

— To się sam dowiesz. Kazał tylko ci powiedzieć, abyś dziś przed południem był u niego.

Henryk spojrzał na zegarek.

— W takim razie niewiele czasu do stracenia — odpowiedział i zamyślił się nad tem, jaki może być skutek jego odwiedzin u Excelencji.

Po chwili obaj z radcą wrócili do zwykłych zajęć swoich, radca przeglądał papiery, a Henryk starał się także to samo robić. Machinalnie brał jeden arkusz po drugim, przesuwał po nim oczyma, ale nie wiedział co czytał. Znana postać Excelencji z brelokami na brzuchu stała ustawicznie przed nim. Chciał coś z jego twarzy wyczytać co tam w głębi mózgu się ukrywa, ale nie mógł, wszelkie jego domysły były daremne, jeden po drugim upadał. Straszyła go myśl przeniesienia do innego biura, bo swego radcę polubił. Mniemał jednak, że radca bez ważnych przyczyn nie puści go od siebie, chyba

tylko wtedy, gdyby to było z jego awansem... A gdyby wypadek z Karolem...

Takie myśli niepokoiły go przez całą godzinę. Poczem wstał i zaczął się zbierać, aby wykonać rozkaz Excelencji.

— Szczęść ci Boże — rzekł za odchodzącym radca — a wracaj z dobrą nowiną.

Henryk wyszedł na ulicę.

Tajemniczy wypadek brata, którego właśnie rano w szpitalu był odwiedził, nasuwał mu różne domysły. Czuwająca przy nim Marta nie pozwolała go wypytywać o ten wypadek. Również i lekarz uważał za stósowne, aby choremu nie przerywać snu, który po długiej gorączce nastąpił. Marta była zdania, że to się stało wskutek nieostrożnego obejścia się z bronią, a Karol mimo wielkiej gorączki potwierdzał to poruszeniem głowy.

Różne jednak mogły być domysły. Wprawdzie o tym wypadku oprócz doktora i Marty jeszcze nikt nie wiedział, ale mogło to było dojść do uszu Excelencji, który dla wyjaśnienia tej sprawy kazał mu stanąć przed sobą.

Niedobre przeczucia ogarnęły go. Nie wiedział co to była za sprawa i co na razie miał odpowiedzieć, gdyby Excelencja o to zapytał. Przed radcą nic o tem nie mówił, bo nie

uważał tego za stósowne. Skądże mógłby się Excelencja dowiedzieć?

Takiemi myślami zajęty, zbliżył się wreszcie do okazałego gmachu, na frontonie którego błyszczał złoty napis.

Z niedobrem przeczuciem wszedł na schody marmurowe.

Zapytany odźwierny, kazał mu chwilę czekać, a potem otworzył podwoje.

Henryk stanął przed Excelencją.

Wysoki o siwych włosach a średniej tuszy Excelencja wstał z fotelu i zbliżył się do Henryka. Patrzał na niego czas niejaki w milczeniu, jakby sprawdził rysopis wydany przez radcę. Grube jego usta, pod wąsem przystrzyżonym poruszały się, jakby z sobą rozmawiał, ale żadne słowo z nich na jaw nie wyszło. Przez wypukłe okulary nie można było dojrzeć jego oczu, ani widzieć gdzie patrzą. Po wymówieniu kilku słów na wstępie, stał Henryk w milczeniu, a niedobre jego domysły zaczęły się wzmagać.

Po niejakim czasie, uśmiechnęła się martwa twarz Excelencji.

— Chciałbym z panem poufnie o czemś pomówić — rzekł z uśmiechem pewnego przymilenia. Pan radca, jako bezpośredni przełożony

pański, powiedział mi, że jesteś pan ze wszech miar godny mego zaufania.

Henryk ukłonił się za taki zaszczyt. Excelencja wrócił do swego fotelu, a Henrykowi wskazał krzesło tuż przy fotelu stojące.

Henryk usiadł nieco uspokojony co do swoich domysłów, ale tem więcej rozciekawiony postawą i jakimś tajemniczym uśmiechem Excelencji.

— Mogę panu z góry oświadczyć — zaczął po niejakim czasie Excelencja—że jestem jaknajmocniej przekonany o jego lojalności i wypływających stąd wymaganiach państwowej służby. Pod tym względem jesteś mi pan polecony przez radcę jaknajgoręcej.

Henryk ukłonił się znowu i odpowiedział, że, obrawszy sobie zawód służby państwowej, stara się zawsze zadość uczynić obowiązkom tej służby.

Excelencja patrzał przez wypukłe swoje okulary czas niejaki na Henryka, aby się przekonać, czy to co mówił nie jest tylko czczym frazesem. Z uśmiechem nieco ironicznym zaczął po chwili:

— Przystępuję zaraz do rzeczy. Młode nasze państwo, choć tak wielkie i potężne, potrzebuje nieustannej baczności i pracy. Wielkie niesłychane w dziejach zwycięstwa, genjusz najdziel-

niejszego z królów i rozum jednego z najodważniejszych doradców korony, jakiego dzieje zaznały, zjednoczyły w jedną całość potężny szczep germański. Daremnie o to kusiły się rozumy dawniejszych polityków, daremnie chciano tę jedność przeprowadzić za pomocą umów i protokółów pojedyńczych państw niemieckich. Stworzona na takich papierowych podstawach jedność niemiecka chwiała się wśród różnorakich prądów, a pierwszy lepszy silniejszy podmuch mógłby był ją rozbić na drobne szczątki, które, pozostawione bez steru, nie mogłyby się oprzeć naparciu nieprzyjaciela. Dopiero kataklizm dziejowy, jakim była zwycięska nasza wojna z wiekowym nieprzyjacielem, dopiero oręż niemiecki i krew niemiecka mogła tak wielkie i potężne stworzyć państwo, jakie są dziś Niemcy.

Excelencja spoczął tutaj, patrząc z uwagą jakie wrażenie sprawiły jego słowa na młodym urzędniku tego wielkiego państwa. Henryk słuchał z uwagą, a twarz jego spokojna nie zdradziła żadnej myśli, któraby powyższym słowom była przeciwna. Excelencja mówił po chwili dalej:

— Wielkie i potężne jest nasze państwo, ale jak powiedziałem jest młode. Kilka dziesiątek lat nie stanowi jeszcze wieku, w którym państwa dojrzewają. W pierwszych czasach two-

rzyły się państwa dosyć szybko. Zabór zbrojny, krótkotrwały przymus wystarcza, aby państwo stworzyć. Dzisiaj trzeba się liczyć z nabytkiem i tradycją dziejów kilkowiekowych, i ostrożnie się z tem obchodzić. Najszczytniejsze uczucie patrjotyzmu niezawsze dzisiaj wystarcza, aby w nowym porządku rzeczy zapomnieć o tem, co było wczoraj. A ktoby tym wspomnieniom chciał zbyt szorstko w drodze stanąć, ten musi się liczyć z niebezpieczeństwem, jakie podobna taktyka wywołać może.

Po niejakiej pauzie prawił dalej:

— Wiesz pan dobrze, że nie tak dawno jeszcze jak na ziemi niemieckiej panowało prawie niezależnie trzydzieści sześć głów ukoronowanych niemieckich. Luźny, więcej dyplomatyczny, węzeł wiązał je w Rzeszę. A jeżeli dziś wiekopomne zwycięstwa nasze stworzyły z tych państw oddzielnych jedno państwo pod koroną cesarską, to naturalnym sposobem nie mogły jeszcze wygasnąć tak prędko wspomnienia wczorajsze udzielności królów naszych i książąt. Te wspomnienia dają się czuć najwyższemu rządowi państwa przy każdej sposobności. Najmniejsze zaciśnienie węzła nowej wspólności państwowej natrafia na pewne przeszkody, z któremi liczyć się trzeba. Nieprzyjazne żywioły naszej zjednoczonej potęgi

rozdmuchują te drobne często przeszkody w silniejsze prądy dawnego separatyzmu. Tu i owdzie objawiają się zachcianki dawnej udzielności, które dzieło zjednoczenia naszego tylko osłabiać mogą. Wprawdzie nie wchodzą te prądy jak na dzisiaj w rachunek, ale przy pierwszem niebezpieczeństwie z zewnątrz mogły naszej jedności zaszkodzić. Otóż o te prądy, rozsadzające naszą jedność, chodzi nam dzisiaj przedewszystkiem.

Excelencja umilkł tutaj i zaczął się bawić swemi brelokami. Od czasu do czasu patrzał na Henryka. Twarz Henryka była spokojna i poważna.

Po chwili mówił Excelencja dalej:

— Prądy te, nieprzyjazne jedności państwowej, wyzyskiwane także przez prądy społeczne, objawiają się w różny sposób. Głównym ich zbiornikiem jest prasa opozycyjna w kraju, i prasa nam nieprzyjazna zagranicą. Jedna i druga informują nas dostatecznie, z czem walczyć mamy. Inna rzecz z prądami, które nurtują kraj, niewidzialne i nieuchwytne dla urzędu prasy publicznej. Kryją się one po domach prywatnych, w zgromadzieniach przygodnych, piwiarniach i salonach.

Po czole Henryka przebiegła jakaś myśl niemiła.

— Niech Pan nie myśli — mówił dalej Excelencja—aby nam chodziło o to, kto i jak mówi o sprawach publicznych, aby potem mówiącego pociągnąć do odpowiedzialności. Zdanie przeciwne naszemu wolno każdemu wypowiedzieć, każdemu wolno to i owo krytykować, nawet błędy rządu w sposób właściwy podnieść — za to nie pociąga się nikogo do tłómaczenia. Nam chodzi tylko o prostą informację, bo, aby skutecznie rządzić, trzeba znać głosy rządowi nieprzychylne, bądź dla naprawy tego w czem się zbłądziło, bądź dla oświecenia tych, którzy co do zamiarów rządu są w błędzie.

Henryk ściągnął brwi, jakby się czegoś obawiał. Spokojna twarz jego ożywiła się niepokojem.

— Informacje takie — mówił dalej Excelencja — nie są urzędowe, ale poufne. Jestto w interesie rządu chronić takie organa informacji od cienia podejrzliwości, którą tak chojnie szafuje opinia publiczna. Prawdziwy patrjotyzm odwraca się z pogardą od popularnych obwinień, znajdując sowitą nagrodę w spokojnem sumieniu i przekonaniu, że pełni to, co dla dobra państwa jest pożyteczne.

Excelencja zrobił tutaj dłuższą pauzę, patrząc przez wypukłe okulary na Henryka.

Henryk chciał być spokojnym, ale coś mu pierś rozpierało, a nad czem zapanować nie mógł.

— Czyś pan dobrze zastanowił się nad tem— zapytał Excelencja—czyś dobrze zrozumiał to, co powiedziałem?

— Zdaje mi się, że zrozumiałem — odpowiedział dosyć spokojnie Henryk — tylko nie wiem jeszcze do czego się to odnosi?

Excelencja uśmiechnął się.

— Oczywiście odnosi się to do pana.

— Do mnie? z zadziwieniem zapytał Henryk.

— Pan jesteś człowiekiem światowym, masz stosunki i znajomości rozleglejsze, od równych sobie, bywasz po różnych domach i salonach, gdzie się spotykają ludzie wybitniejszych stanowisk. W takich zgromadzeniach, choćby tylko przygodnych omawiają się wszystkie kwestje bieżące. Różne wydarzenia oświetlają się inaczej, jak to rząd widzi, odzywają się pragnienia i wymagania, o których my nie wiemy, a nakoniec tworzą się nawet pewne programy opozycji przeciw rządowi. Otóż dokładna informacja rządu o tych prądach, jemu nieznanych, byłaby nam bardzo potrzebną.

Rumieniec przebiegł po twarzy Henryka.

— Excelencjo, śmiem się zapytać czy powyższa propozycja mieści się w sferze moich

obowiązków służbowych, czy też wychodzi poza tę sferę?

— Rozumie się, wychodzi poza sferę obowiązków służbowych. Pan bywasz w pewnym domu, który jest naszym domem zaufania. W domu tym nie napotkasz pan żadnej przeszkody w pełnieniu swoich poleceń. Przeciwnie doznasz pan nawet opieki w tym względzie. W tym domu zbiera się towarzystwo z różnych nam nieprzyjaznych obozów. Byłoby nam bardzo potrzebne wiedzieć co te obozy mówią.

Usta Henryka zadrgały, ale przygryzł je.

— Jeżeli to, jak mówi Excelencja, leży poza sferą moich obowiązków służbowych, nie mogę się tego podjąć w żaden sposób.

— Chciej mnie pan zrozumieć — żywo zawołał Excelencja — tu nie chodzi o żadne donosy, o żadne szpiegowanie, bo do tego mamy ludzi innych. Nam chodzi przedewszystkiem o poufną informację, o powiadomienie nas o tem, o czem wiedzieć nie możemy, a takie zlecenia może tylko wypełnić człowiek o rozległej i bystrej inteligencji.

Henryk milczał i słuchał co Excelencja dalej powie.

— Właśnie ubył nam jeden taki współpracownik. Nagła śmierć zabrała go niespodzianie. Był to mąż wysokiego patrjotyzmu i wysokiej

rangi. Nikt nie mógł go posądzić, aby był zwykłym donosicielem. Życzyłbym sobie, abyś pan w tym wypadku zajął jego miejsce i od czasu do czasu informował nas o życzeniach i pragnieniach obozów nam nieprzychylnych, z któremi my przecież pogodzić się chcemy.

Henryk zrozumiał teraz wszystko. Wiedział o jakim domu Excelencja mówi, i czem zjednał sobie jego zaufanie. Mroźny prąd przebiegł po jego nerwach.

— Propozycja Excelencji — odpowiedział głosem o ile mógł spokojnym — leży poza sferą moich obowiązków służbowych, a że z siostrzenicą gospodyni tego domu żeni się mój krewny, więc propozycji tej, jak Excelencja sam raczy mi przyznać, w żaden sposób przyjąć nie mogę.

Ze zdziwieniem spojrzał Excelencja na Henryka.

— Przecież radca mówił mi, że pan jesteś z pochodzenia Niemcem.

— Być może — ale urodziłem się nad Notecią, a ród mój oddawna jest spokrewniony z mieszkańcami tego kraju.

Excelencja nic na to nie odpowiedział. Wypukłe jego okulary zasłaniały mu oczy tak, że nie można było widzieć gdzie patrzą.

— Jeżeli tak — ozwał się po chwili — to

rozmowa nasza skończona. Przypominam tylko panu to, co na wstępie byłem powiedział, że rozmowa nasza była poufną.

Na czole Excelencji uwydatniły się teraz pionowe zmarszczki, jakie zazwyczaj na posągach cechują czoło gromowładnego Jowisza.

Podniósł się z fotelu, a Henrykowi zdawało się, że był wyższy, niżeli wtedy gdy go witał.

Henryk skłonił się i odszedł.

XXXII.

Marta siedziała w swoim pokoju na sofie. Przed nią leżała na stole chustka, od łez zmoczona. Po pokoju szerokimi krokami przechadzał się Witold.

— Fatalne zdarzenie — mówił jakby do swoich myśli — tego jeszcze potrzeba było do tej sielanki twojej. Wiadomość o tajemniczym wypadku rozejdzie się po dziennikach, świat się dowie, że Karol Szolc jest rodzonym bratem państwowego urzędnika tegoż nazwiska... no, moim i twoim krewnym, jak dziewiąty kół w płocie. Zdziwią się Hohenesty, gdy się o tem dowiedzą. Piękna perspektywa! Hrabina Herminja gotowa drzwi zamknąć przed nosem.

— Jeżeli tylko dlatego — odpowiedziała żywo Marta — że biedny Karol był naszym krewnym, to nie masz czego tych drzwi tak bardzo żałować.

— Ależ Marto, chciej zważyć, że za temi drzwiami mieszka kobieta, którą kocham i bez której nie mógłbym nawet myśleć o szczęściu.

Marta rozśmiała się przez łzy.

— Cieszy mnie, że uznajesz prawa serca, do czego dawniej nie byłeś tak bardzo pohopny.

— Nie przeczę temu, nie znałem tajemnic, jakiemi tylko serce kobiety rozporządza. Dziś wierzę, że bez miłości Idy byłbym najnieszczęśliwszym w świecie.

— A uznawszy raz prawa serca, musisz także uznać je w innych. I memu sercu nie zaprzeczysz także praw jego.

Witold chodził czas dłuższy po pokoju. Marta przyłożyła chustkę do oczu i zaczęła płakać.

Witold zatrzymał się przed nią.

— Nic bym nie miał przeciw temu — ale tak się to jakoś nieszczęśliwie mota, że zaczynam się obawiać o moje nadzieje. Ten dziwny wypadek z Karolem, to prawdziwy pomysł szatana.

— Niedaleko odszedłeś od prawdy — rzekła Marta, ocierając oczy chustką.

— Więc ty wiesz — zapytał śpiesznie Witold.

— Tyle ile z oderwanych słów w gorączce mogłam zrozumieć.

— Cóż mówił?

— Mówił, że... przyszły do niego złe duchy i chciały go porwać w otchłań wiecznego zamętu... że z nimi iść nie chciał, bo nigdy nie chadzał razem ze złoczyńcami i z zbrodniarzami, że ma ręce czyste i białe, a jeśli chciał się poświęcić, to za sprawę piękną i wzniosłą.

Witold słuchał z uwagą.

— Cóż to może oznaczać, — zapytał.

— Przecież wiesz na jakie wszedł drogi. Nie swojski prąd popchnął go na nie, ale miał przekonanie, że czyni dobrze, że się dla innych poświęca. Przyznasz, że złe, samolubne serce poświęcać się nie będzie dla drugich, że był zacny i poczciwy. W młodym porywie nie wiedział, gdzie go ta droga zaprowadzić może i z kim się na niej spotka. Otóż spotkał się na niej prawdopodobnie z owymi złymi duchami, których hasłem jest wszystko zniszczyć. A że z nimi iść nie chciał, dowodzi wypadek jaki zaszedł. To może wpłynąć na jego ozdrowienie, byle tylko wyzdrowiał.

Marta wybuchnęła tu płaczem i zasłoniła

chustką oczy. Pierś jej podnosiła się bolesnem łkaniem, ręce drgały od wielkiego wzruszenia. Witold chodził bezmyślnie po pokoju. Nie wiedział co na to wszystko odpowiedzieć. W głowie jego mieszało się wszystko, jak barwy i kształty w kalejdoskopie. Żadnej myśli nie mógł uchwycić, wszystkie wątki rwały się.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Henryk.

Henryk był blady, czoło miał zmarszczone. Gorączkowo chwycił Martę za rękę.

— Jak się ma Karol, — zapytał.

— Jest mu lepiej, — odpowiedziała Marta, ocierając oczy, — gorączka przeminęła. Lekarz zapewnia, że przebieg rany jest normalny. Kula uwięzła w muskułach, kości nie nadwyrężyła. Do dwóch tygodni będzie mógł szpital opuścić.

Na dalsze jego zapytania opowiedziała co się dowiedziała od Karola, gdy mówił w gorączce.

Henryk odetchnął głęboko.

— Daj Boże, aby ozdrowiał, —dodał do słów Marty, jakiemi opowiadanie swoje zakończyła.

Spojrzał teraz na Witolda. który stał, jakby nic nie widział i nie słyszał. Nie mógł jeszcze myśli pozbierać, czuł tylko w duszy wielki niepokój i trwogę.

Henryk chciał coś powiedzieć, ale zamilkł. Żal mu było Witolda, który nie wiedział, jaki

grom wisi nad jego głową. Czynił sobie wyrzuty, że sam popchnął go na tę drogę, z której teraz miał go zawrócić. Domysły o Hohenestach okazały się fałszywe, a to co dzisiaj mógł sumiennie uważać za prawdę było wstrętne. Przypomniał sobie pierwszą swoją missję do tego domu, a teraz widział jasno z jakiego funduszu ten dom był utrzymywany. Przypomniał sobie owe wieści z czasów pojedynku, w którym poległ mąż Idy.

Wszystko to, jako też i propozycja Ekscelencji wzburzyło w nim krew i rozdrażniło wszystkie nerwy. Nie mógł w tej chwili spokojnie z Witoldem rozmawiać. Po kilku małoznaczących słowach usiadł na sofie, jakby chciał odpocząć.

Tymczasem Witold zaczął znowu chodzić po pokoju.

I on jeszcze nie mógł myśli pozbierać, a wyznanie Marty groziło według jego mniemania marzeniom, z któremi teraz już się zrósł zupełnie. Do tego niepokój wewnętrzny wzmagał się coraz więcej i zdawało mu się, że widzi nad sobą grom, który wkrótce w niego uderzy.

Po dłuższem milczeniu odetchnął Henryk głęboko.

— Przychodzę z niedobrą nowiną—rzekł, patrząc w ziemię, — ale nie wiem od czego zacząć.

Witold zatrzymał się nagle.

— Jeżeli zła nowina,—odpowiedział gorączkowo,—to powiedz odrazu. Czuję, że coś nad nami wisi. Im prędzej się dowiemy, tem lepiej.

Henryk spojrzał na Martę, która miała łzy w oczach. Nie miał odwagi spojrzeć na Witolda.

— Najprzód muszę wam powiedzieć,—rzekł po chwili milczenia, że prawdopodobnie mój urząd utracę.

Marta rzuciła się ku niemu.

— Czy wiedzą już o Karolu? — zapytała i zaparła oddech.

— Obawiałem się tego, — dorzucił Witold, patrząc z wyrzutem na siostrę.

Henryk uśmiechnął się smutnie.

— Karol nie wchodzi tu w grę,—odpowiedział,—jeszcze o nim nie wiedzą.

— Więc cóż? — zapytali naraz oboje.

Henryk odetchnął kilka razy, jakby się namyślał. Po chwili zaczął:

— To, co wam powiem, mówię poufnie, gdybym tego nie uważał za rzecz sumienia, nigdybym o tem nie wspomniał... Dzisiaj przed południem wezwał mnie do siebie tajny radca X. i uczynił mi pewną propozycję, niezgodną z mojem przekonaniem i honorem. Odrzuciłem ją—rozumie się, będą stąd dla mnie skutki niedobre.

— Cóż to za propozycja?

— Abym bywał w pewnym domu, w którym odbywają się liczne zebrania, i donosił mu o czem goście na tych zebraniach mówią.

— Jakto?—krzynęli na raz oboje,—chciał z ciebie zrobić szpiega?

— Ekscelencja nazwał to patrjotyzmem — patrjotycznem powiadomieniem rządu, czego opozycja żąda.

— Wszak na to są inne drogi—parlament, prasa i delegaci rządu na różnych publicznych zebraniach,—zawołał Witold w podrażnieniu.

— A zresztą policja,—dodała z oburzeniem Marta.

— Chcianoby wiedzieć,—mówił dalej Henryk,—co w prywatnych domach mówią i czem się zabawiają w salonach, do których policja wstępu nie ma.

— Chcieli, abyś był cywilnym policjantem!

— Takiego policjanta nazywają „mężem zaufania“. Informuje on zazwyczaj sfery rządowe o tem, o czem tam nie wiedzą.

— Przynajmniej nam taka rola nie przystoi. Masz słuszność, żeś tę propozycję odrzucił. Tytuł „mąż zaufania“ nie jest bynajmniej dla nas zaszczytny,—zauważył Witold.

— Niemniej też i tak zwany „dom zaufania“, w którym miałem pełnić takie obowiązki.

— Cóż to jest „dom zaufania“,—zapytała Marta.

Henryk patrzał chwilę na Witolda, jakby się namyślał.

— „Dom zaufania“, — rzekł po chwili, — jestto dom, utrzymywany po większej części pieniędzmi z funduszu dyspozycyjnego, z którego się rachunku nie składa.

Witold drgnął, jakby jakaś niemiła myśl przeszła mu przez głowę. Marta otworzyła szeroko oczy i zaparła oddech.

— Jakiż to fundusz dyspozycyjny, — zapytała Marta, a oczy jej otworzyły się jeszcze więcej.

— Niektórzy z ministrów,—mówił zwolna Henryk,—mają na pewne tajne cele fundusze przyznane, którymi rozporządzają według własnego uznania. Głównem źródłem do tajnych politycznych celów są dzisiaj miljony, zabrane hanowerskiemu królowi. Stanowiły one jego osobisty majątek. Ponieważ król nie chciał się zgodzić na dzisiejszy ustrój państwa, skonfiskowano mu ten majątek. Wielki kanclerz państwa zarządza tym funduszem, z którego publicznie rachunku nie zdaje. Tak zwany więc „fundusz Welficki“ idzie na tajne cele polityczne, na zwalczenie prądów separastycznych wewnątrz państwa. Z tego funduszu czerpią dzienniki i

różne w sferze towarzyskiej wysoko postawione osobistości, dla agitacji w widokach najwyższego rządu. Niemniej z tego funduszu utrzymywane są tak zwane „domy otwarte“, w których gromadzą się ludzie z rozmaitych obozów. Otóż w takim „domu zaufania“ ma rząd swoich „zaufanych“, którzy mu donoszą, co się tam mówi i robi.

— Jakie to wstrętne! — krzyknęli naraz Witold i Marta.

— Wstrętne i brzydkie,—dorzucił Henryk.

— Podłe i nikczemne, — dodał Witold, i obrócił się szybko ku drzwiom, jakby nie chciał, aby mu z twarzy coś wyczytać miano.

I rzeczywiście można było tam coś wyczytać. Czoło jego zmarszczyło się, jak czoło starca, oczy stały się wązkie i ukośne. Jakaś myśl straszna zapaliła się w mózgu i paliła jak pali ogień piekielny. Zaczął szybko chodzić po pokoju.

Henryk spojrzał znacząco na Martę i ruchem głowy wskazał na Witolda. Podniósł ramiona do góry i nagle je opuścił.

Zaszkliły się oczy Marcie, rumieniec okrył czoło. Widziała mimiczne znaki Henryka, i zdawało się, że po części odgadła.

Podniosła obie ręce do góry i załamała dłonie.

— To być nie może, — zawołała,—nie, to być nie może.

Witold nie widział jej, bo w tej chwili ku drzwiom kroki zmierzał.

— Wszystko być może, — zawołał niby do myśli swoich.—Dlaczego być nie może?

Obrócił się nagle i błędnem okiem spojrzał na nich.

— To byłoby okropne!—wołała Marta, łamiąc ręce,—temu nie uwierzę, choćby mi kto powiedział.

Henryk milczał.

— Widzisz,—zawołał Witold do Marty,—on milczy... a najstraszniejszą odpowiedzią jest jego milczenie.

Marta rzuciła się Witoldowi na szyję.

— Nie, nie,—zaszlochała.—Henryk nic nie odpowiedział.... on tego powiedzieć nie może!

— Powiedzieć nie chce, — odrzekł ponuro Witold,—ale ja już słyszałem to w jego słowach, które był wypowiedział.

Głuche milczenie nastało. Słychać było jak trzy piersi głęboko i ciężko oddychały, słychać było prawie, jak trzy serca niespokojnie biły...

Dały się słyszeć kroki na schodach. Zbliżały się coraz wyraźniej do pokoju. Przy drzwiach zatrzymały się nagle.

Słychać było teraz wyraźne pukanie do drzwi.

Witold szybko otworzył drzwi. Przed drzwiami stał służący hotelowy z listem w ręku.

— Baron Raff przysłał ten list,—rzekł posłaniec,—z wyraźnem poleceniem, aby go natychmiast doręczyć panu.

Witold pochwycił list i gorączkowo rozdarł kopertę. Zamknął drzwi i zaczął czytać. Sine pręgi wybiegły na twarz, oczy poczerwieniały.

— Wszystko prawda, wszystko stracone,— zawołał, — upuścił z rąk list i rzucił się na fotel.

Oparł głowę o poręcz, oczy zasłonił rękami.

Marta podjęła list i zaczęła czytać.

— Ależ tu stoi,—zawołała,— że Ida nic o tem nie wie, że jest niewinną, że to tylko jej ciotka...

Zerwał się z fotelu Witold. Twarz miał krwią nabiegłą.

— Któżby śmiał powiedzieć, że Ida jest winną, — krzyknął namiętnie, — któżby śmiał rzucić kamieniem na jej białą szatę?—ona o niczem nie wiedziała, ona była pewną, że to ręka dobroczynna, nagradzająca dawne zasługi rodu.

— Mam także przekonanie, a nawet pewne dowody, że hrabina Ida nic nie wiedziała,— dodał Henryk.

— Może to jeszcze wszystko nie jest prawdą,—ozwała się z boleścią Marta.

— Niestety, jest prawdą, — odpowiedział Henryk.—Nagła śmierć legacyjnego radcy na ulicy, dostarczyła dowodów. Przy ratunku znaleziono w jego kieszeni notatnik, odebrany potem przez policję, z którego dowiedziano się o jego stosunku do domu Hohenestów. Mówiono o tem zaraz po wypadku.

Marta zaczęła płakać. Witold rzucił się na fotel. Pierś jego zapadła, głowa pochyliła się ku ziemi. Z piersi wychodził oddech ciężki i chrypliwy.

Milczenie trwało długo. Nikt teraz nie śmiał słowa przemówić do złamanego takim ciosem Witolda. Pozostawiono go samemu sobie. Witold siedział tak długo i patrzał przed siebie szklanemi oczami. Powoli zaczęły w oczach błyskać małe iskierki, powoli zaczęła się twarz jego ożywiać.

Wstał nagle i wziął kapelusz.

— Gdzie idziesz? — zapytała Marta, zastępując mu drogę.

— Do Idy,—odparł Witold.

— Cóż jej powiesz?

— Że ją kocham jak zawsze i kochać nie przestanę.

— Przecież jej nie powiesz o tem co wiesz?

— Uchowaj Boże, nie powiem, ona o niczem nie wiedziała, jestem tego pewny.

— Toby ją zabić mogło.

— Wolałbym wprzódy zabić jej ciotkę!

— Tylko proszę cię nie rób żadnej awantury.

— Przeciwnie udam, że o niczem nie wiem.

— A pocóż tam idziesz?

— Pożegnać idę, bo wyjeżdżam.

— Gdzie?

— Do Monte-Carlo!

Marta rzuciła mu się na szyję.

— Co też ty mówisz? Po cóż tam jedziesz?

— Chcę wygrać miljon, z miljonem wrócić i zabrać Idę ze sobą.

— Czyż bez miljona tego uczynić nie możesz?

— Nie mogę. Ida potrzebuje do szczęścia miljona. Wychowała się w dostatkach, a ja również zrobiłem jej nadzieję dostatków.

— Jeżeli cię kocha, przystanie na szczęście w skromnych granicach.

— Nie mogę i nie powinienem tego od niej żądać. W mojej roli muszę wytrwać w jakiej ona mnie znała.

— Możesz przegrać co masz!

— Wtedy... nie obaczysz mnie więcej.

Wyrwał się z objęć Marty i wybiegł.

Marta chciała podążyć za nim, ale Witold

był już na dole. Skoczył do nadjeżdżającej dorożki i zniknął.

— Chodźmy do szpitala,—rzekł Henryk do zapłakanej Marty.

— Chodźmy,—odpowiedziała prędko,—z jednego nieszczęścia uciekamy do drugiego.

Wyszli oboje.

XXXIII.

Ida od samego rana oczekiwała Witolda. Przysłał jej piękny bukiet ze storczyków i białych róż i obiecał, że niebawem sam przyjdzie. Ustawiła bukiet w japońskim dzbanuszku, napełnionym świeżą wodą, ucałowała róże i storczyki i dłuższy czas wciągała w siebie ich woń subtelną.

Była dzisiaj bledsza, niż zwykle. Oczy miała omglone, otoczone ciemną obrączką. Noc przepędziła niespokojnie. Wieczorem siedział długo Witold. Rozmawiała z nim, grała mu i śpiewała ulubione jego piosenki francuskie. Gdy odszedł długo zasnąć nie mogła. Czuła się szczęśliwą, a jednak jakiś niepokój ogarniał ją. Zdawało się jej, że jest zanadto szczęśliwą, że Witold zanadto ją kocha, a ona może za mało jest mu wzajemną. Miłość jego warta jest większej miłości, niżeli jej słabe serce dać może. Marzyła: gdyby była królową, usiadłby on przy niej na tronie... a tak, cóż ona mu dać może? Chciała być przynajmniej dla niego piękną!

Spojrzała teraz do zwierciadła. Biała kaszmirowa matinka, niebieskim atłasem podwlekana, nie była jej dzisiaj do twarzy. Wyglądała zbyt blado i zmęczoną. Zawołała służącą i kazała sobie podać czarną jedwabną bluzkę, ubraną różowym atłasem.

Gdy w tem nowem przebraniu do zwierciadła spojrzała, była z siebie zadowoloną. Jej twarz blada i złotawe włosy odbijały teraz od czarnej barwy bardzo ładnie. Tu i owdzie wydobywający się różowy atłas urozmaicał ciemne ramy, które otaczały jej biust uroczy. Z bukietu, który jej przysłał Witold, wyjęła biały pączek róży i zatknęła do włosów. Spojrzała jeszcze raz do zwierciadła i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Cóż dać może Witoldowi? Daje mu siebie, a z siebie była teraz zadowoloną.

Wyszła do salonu i przeszła się kilka razy. Duże zwierciadła odbijały jej postać wiotką. Jedno zwierciadło podawało ją drugiemu, i zdawało się, że cały salon napełniły te urocze, nieuchwytne rusałki.

Spojrzała na zegar. Zegar wskazywał dwunastą. Dlaczegoż on nie przychodzi? Zwykle przychodził wcześniej. Czy mu się co nie stało? Może zachorował.

Kobiece serce wynajdywało teraz coraz to inne przeszkody od małych i drobnych aż do poważnych. Niepokój ogarniał ją i zwiększał się z każdym kwadransem. Wyglądała przez okno, czy nie obaczy znanej hotelowej remizy... nasłuchiwała pod drzwiami, czy nie usłyszy na schodach dobrze znanych kroków, wszystko nadaremnie. Po ulicy toczyło się mnóstwo karet, po schodach wychodzili i schodzili rozmaici ludzie, ale Witolda nie było.

Czuła teraz większy niepokój. Cóż znaczy ten niepokój? Przecież nieraz spóźnił się Witold o godzinę lub dwie, a przecież nie była tak niecierpliwą jak dzisiaj. Umiała to sobie jakoś wytłomaczyć i przebaczała mu chętnie. Dzisiaj idzie to jej z oporem. Powinien był przyjść, dlaczego nie przyszedł? Powinien był spieszyć do niej, aby obaczyć jak w tej toalecie wygląda, jak od tej czarnej bluzki odbija jej twarz biała i jasne złotawe włosy, jak dobrze jest tej róży w tych włosach... dlaczegóż nie przyjdzie, dlaczegoż już tutaj go niema?

Minęła godzina, mija i druga, Witolda niema. Cóż się z nim stało? Tętna jej biją coraz

niespokojniej, w uszach słyszy ich głuchy szum coraz wyraźniej...

Ale teraz słyszy coś więcej. Słyszy kroki na schodach. Są one niepewne, jakby ktoś poraz pierwszy tutaj przychodził...

Ozwał się dzwonek... sama otwiera drzwi. To posłaniec z listem.

Ida wyrywa mu list... ale na adresie jest: „hrabina Herminja“, obcą ręką napisane. Oddaje posłańcowi list, wskazując mu inne drzwi.

Wraca do salonu i znowu chodzi od okna do drzwi. Co to jest, że jego niema?

Siada do fortepianu i zaczyna grać. Przy pierwszych akordach przychodzi jej na myśl, że w liście, pisanym do cioci Herminji, może coś być o Witoldzie. Może jej nie chciano donosić... Może dopiero przez ciocię Herminję ma się dostać do niej jakaś smutna, złowroga wiadomość!...

Zerwała się z krzesła i pobiegła do drzwi. Przy drzwiach zatrzymała się. Przecież się nic jeszcze nie stało i stać nie mogło, pocóż z taką gorączką biegnie do ciotki?

Wróciła do salonu, aby się uspokoić. Niedorzeczny niepokój, ciotka mogłaby się przestraszyć, jak się przestraszyła wczoraj, gdy opowiadała swój sen złowrogi.

Spokojniejsza opuściła salon. Przeszła przez

kilka pokojów i otworzyła drzwi do pokoju cioci Herminji.

Ciocia Herminja siedziała przy biurku jeszcze nieubrana. Krótkie kosmyki siwych włosów oszpecały jej twarz brzydką jeszcze bardziej. Twarz ta miała teraz wypieczone rumieńce, a gorączką rozżarzone oczy, patrzały właśnie na jakieś pismo. Świeżo rozdarta koperta, leżąca na dywanie, wskazywała Idzie, że to jest list przyniesiony przez posłańca.

Gdy Ida we drzwiach się pojawiła, ciocia Herminja pomięła list kurczowo i wsunęła do bocznej kieszeni.

— Czy ciocia list odebrała?—zapytała Ida niespokojnie.

— Czy cię to dziwi?—odpowiedziała szorstko hrabina,—wszak tyle listów odbieram.

Gdy te słowa wymawiała, drgały jej usta kurczowo, a ręce chwytały coś, czego na biurku nie było.

Szorstka odpowiedź podrażniła Idę.

— Myślałam, że w tym liście będzie coś o mnie,—zapytała cicho.

— Takie listy przychodzą wprost do ciebie, a mnie pozostaw moje, — odrzekła gniewnie hrabina Herminja i szybko wstała od biurka.

Przebiegła kilka razy cały pokój wszerz i wzdłuż, jakby czegoś szukała, ale widocznie

nie szukała niczego. Był to tylko ruch gorączkowy, jakby chciała uciekać od niemiłych myśli, które po przeczytaniu listu w jej głowie powstały. Ida odeszła do swego buduaru.

W buduarze roskosznie i z przepychem urządzonym, zrobiło się jej jeszcze smutniej. W tak złym humorze już dawno cioci nie widziała. Przypominało to jej czasy, gdy zasobów większych nie było i trzeba się było ograniczać. Skąd dzisiaj ten humor u cioci? Dlaczego Witold nie przychodzi? kozetka, kanapka, niski taborecik, wszystko przypominało jej tutaj Witolda. Tu siedział, tam rozmawiał, czegóż go dzisiaj niema?

Wreszcie zaturkotały koła i zatrzymały się przed oknami. Ida pobiegła do okna. Nie zobaczyła zwykłej hotelowej remizy i stangreta w białych rękawiczkach, ale starą, błotem obryzganą dorożkę. Z dorożki wysiadł Witold.

Z rumieńcem wyszła do niego i podała mu obie ręce.

— Dlaczegóż tak długo dajesz pan czekać na siebie — zawołała z wyrzutem, a oczy jej zwilgotniały, jakby od łez ukrytych.

— Dlatego,—odpowiedział z gorączką Witold, — aby moja najdroższa powoli przyzwyczajała się do mojej dłuższej nieobecności.

— Cóż to jest?—zawołała z niepokojem.

Witold ucałował jej rękę i kilka chwil rozczulony patrzał w jej oczy.

Przecież wiesz moja piękna hrabino,—odpowiedział z uśmiechem, że w życiu często i nieraz na dłuższy czas będziemy się może rozłączać.

— Ja na to nie pozwolę, — odpowiedziała, trzymając go kurczowo za rękę, — ja z panem zawsze i wszędzie muszę być razem.

Witold ucałował jej obie rączki i zwolna zaprowadził do kanapki. Usiedli oboje.

W milczeniu patrzali czas niejaki na siebie. Szafirowe oczy Idy otwierały się szeroko, jakby całego Witolda ogarnąć chciały, od czasu do czasu pojawiały się w nich łzy, ale wnet cofały się wgłąb. W twarzy Witolda było coś, co ją czyniło nieśmiałą. Dzisiaj ona nie mogła nad nim panować, mogła być tylko niewolnicą.

Witold pochłaniał ją swemi oczyma. Nigdy nie miała dla niego więcej uroku, jak teraz. Ta blada twarz z okiem szafirowem, otoczona jakby złotawą aureolą, odbijała cudownie od czarnych ram bluzki. Pierś jej falowała gorączkowo, drobna jej rączka drżała w jego dłoni.

— Tak dziwnie patrzysz na mnie,—ozwała się prawie szeptem,—dlaczego tak patrzysz?

— Bo dzisiaj widzę cię poraz pierwszy... w takim kontraście,—odpowiedział Witold.

— Jakiż to kontrast?

— Czarne z białem.

— Czy ci się to podoba?

— Białe mi się podoba—do czarnego mam wstręt.

Ida powstała szybko z kanapy.

— To pójdę się przebrać, jeżeli cię czarny kolor razi.

Witold przyciągnął ją łagodnie za rękę.

— Zostań jak jesteś, zostań w tem, w co cię ubrała nieubłagana ręka... twojej szatny. Zawsze mi się podobasz bez względu na to, co twoje zacne, anielskie serce otacza.

— Nigdy tak do mnie nie przemawiałeś.

— Bo nigdy nie myślałem o tem, abyś mogła być w tak cudnej harmonji z czarną barwą.

— Wszak blondynkom w czarnym kolorze jest bardzo do twarzy.

— Prawda... ale w sferze moralnej niedobre jest takie zestawienie.

— W sferze moralnej czarna barwa równa się złemu i podłości.

— Jaką mój biały anioł brzydzi się? Nieprawdaż?

— Jak możesz jeszcze o to pytać!

Witold patrzał dłuższy czas w oczy Idy. Widział tam szczerość i czystość anioła. Na

ustach Idy igrał uśmiech spokojny i pogodny, ów nieomylny kwiat czystego sumienia.

Pochwycił jej obie rączki i zaczął okrywać gorącymi pocałunkami.

— Kocham cię moja najdroższa, — szeptał śród pocałunków,—kocham cię dzisiaj jeszcze bardziej, i kochać nie przestanę.

— Czy ten kontrast z czarną barwą tak cię dzisiaj usposabia,—zapytała z uśmiechem Ida.

— Tak, ten kontrast dodaje ci tego uroku, który mi towarzyszyć będzie, gdy ciebie nie będę widział.

Twarz Idy zbladła.

— Dlaczego tak mówisz? Dlaczego nie masz mnie widzieć?

— Na kilka... lub kilkanaście dni odjeżdżam.

— Odjeżdżasz? Gdzie, naco i poco?—niespokojnie zapytała Ida.

— Interesa moje wymagają tej podróży.

— Interesa twoje?

— Interesa moje i twoje najdroższa.

Uśmiech łagodny przebiegł po twarzy Idy.

— Rozumiem mój najdroższy, — odpowiedziała Ida z roskosznem wejrzeniem,—chcesz nam przygotować gniazdko. ...Czy koniecznie musisz aż sam odjeżdżać?

— Muszę. Są interesa, które samemu załatwić potrzeba koniecznie.

Ida zamyśliła się. Łagodny smutek owionął jej twarz. Witold pociągnął ją za rękę ku sobie.

— Ale ty najdroższa będziesz zawsze myśleć o mnie?

— Czy jeszcze możesz o tem wątpić?—wyszeptała Ida tak blisko jego twarzy, że uczuł gorący jej oddech.

Pochwycił jej ręce i zaczął je całować.

— Kiedyż chcesz jechać? — zapytała po chwili.

— Dzisiaj, zaraz. Im prędzej odjadę, tem prędzej wrócę.

— Trzeba zadzwonić, aby ciocia przyszła.

Witold drgnął na te słowa, ale nim przeszkodzić zdołał, Ida już zadzwoniła.

Wszedł służący.

— Zawołać panią hrabinę.

— Pani hrabina właśnie tylko co wyszła.

Witold odetchnął.

— Widzę, że nieba mi sprzyjają,—zawołał wesoło, — że jeszcze dłużej możemy sam na sam zostać.

I zostali dłużej sam na sam.

Turkot powozu zbudził Witolda wśród słodkiej rozmowy. Spojrzał na zegarek i zerwał się szybko.

— Czas ostateczny, moja najdroższa, pociąg wkrótce odchodzi.

Ida rozpłakała się.

— Mówisz — za tydzień, — załkała.

— Za tydzień, lub dwa, — odpowiedział i wybiegł z pokoju.

Ze schodów wrócił się. Ida siedziała z chustką przy oczach.

— Czyś co powiedziała, gdym stąd wychodził?—zapytał Witold, podchodząc ku niej.

— Nic nie powiedziałam, — odpowiedziała Ida ze łkaniem,—bo nie chcę cię wbrew twej woli dłużej zatrzymywać.

— Zdawało mi się, żem słyszał jakieś ostatnie twe słowa.

— Jakie słowa?

— Mówiłaś, że mnie nigdy już nie obaczysz... ale nie, to było tylko zbłąkane echo tego, cośmy z sobą mówili. Nieprawdaż?

— Tak, zbłąkane echo... ale dziwne to echo...

— Echa są jeszcze dziwniejsze—bądź zdrowa moja najdroższa.

Z oczu Witolda strzelił promień ponury. Gorączkowo ucałował jeszcze raz jej rączki i wybiegł.

XXXIV.

Długo siedziała Ida na sofie, trzymając chustkę przy oczach. Pierś jej podnosiła się i opadała

a z pod koronkowej chustki wychodziło ciche, ledwie dosłyszane łkanie.

Po niejakim czasie wstała i otarła oczy. Serce zaczęło bić spokojniej. Odjazd Witolda wydał się jej koniecznym, jeżeli interesa tego wymagały. Wszak to w życiu często się zdarza. Tydzień lub dwa nie jest tak wiele, a gdy wróci uczuje roskosz podwójnie. Czas ten poświęci muzyce i książkom, a gdy czasem potrzeba byłoby zapłakać, to przecież nieraz już płakała i jeszcze płakać będzie. Wszak życie to uśmiech i łzy, boleść i zachwycenie.

Takiemi myślami starała się uspokoić, i poczęści jej się to udało. Przestała płakać i powoli zaczęła się wkoło siebie oglądać, czemby się teraz zająć. Wzięła książkę, przeczytała tytuł i odłożyła. Wzięła drugą, wzięła trzecią i czwartą—i wszystkie na bok odsunęła. Rozłożyła najnowszy żurnal, ale widok strojów dziwacznych przeraził ją. Rzuciła go na stół.

Wreszcie przystąpiła do fortepianu. Na fortepianie leżały właśnie francuskie śpiewki, które Witold tak lubił. Z pomiędzy nich wychyliła się znana piosenka: „*Si vous n'avez rien à me dire*". Piosnkę tę śpiewała w pierwszych dniach Witoldowi bardzo często z figlarnym uśmiechem. Potem śpiewała mu ją jako wspomnienie dni niepewnych, marzeń niewypowiedzianych. Do tej

piosnki ciągnęło ją teraz. Usiadła do fortepianu i zaczęła śpiewać. Urwała nagle i zamyśliła się.

— On dzisiaj tak wyglądał, — myślała sobie,—jakby miał mi coś powiedzieć... Cóżby mi miał powiedzieć? Przecież powiedział, że mnie kocha, i że kochać nie przestanie. Cóż więcej może mnie interesować?

Znów siadła do fortepianu. Zpod jej rąk wyszła inna melodja. Była to pieśń Schuberta z tekstem francuskim: „*Voici l'instant suprême, l'instant de nos adieux!*". Pieśni tej nie lubił Witold, ale ona sama często ją śpiewała. Dziś jest sama, dlaczegoż jej zaśpiewać nie może?

Zaczęła śpiewać. Pieśń smutna, melancholijna wybiegła teraz z jej ust... Tak wielki i szczery smutek wiał z tej pieśni, jakby tego, którego ukochała, na wieki miała pożegnać, a nadzieję połączenia się z nim tam za gwiazdami, skąd ta jutrzenka błyska, oddała z wyrazem prawdziwego zachwycenia.

Po tej pieśni posmutniała nagle.

— Zawsze to smutno żegnać się nazawsze,— pomyślała sobie, – a nawet ta nadzieja złączenia się poza grobem, jest tutaj na ziemi smutna, bardzo smutna! Cieszyć się tem, co po śmierci nastąpi, jest smutną pociechą!... Ale czemuż takie myśli teraz mi przychodzą? Przecież nikt nie umiera, a do śmierci daleko!

Wstała od fortepianu i zaczęła się przechadzać po pokojach. W każdym pokoju zatrzymała się przy czemś, aby się rozejrzeć. Tu stał bukiet od niego, dzisiaj przysłany z białych róż i storczyków. Stała chwilę przy nim, oglądając go na wszystkie strony. Tam dwie papużki „*Inseparables*" otworzyły do niej dzióbki. Podała im cukru i biszkoptów. Poszła dalej. Tam między oknami kanapka przed jardinjerką. Tu siedziała nieraz z Witoldem... Tam znowu bilardzik pochyły z dzwonkami. Nieraz po obiedzie grywali o zakład...

Wszystkie pokoje obeszła, wszystko obejrzała, ale uspokoić się nie mogła. Cioci hrabiny Herminji nie było, a służący często zapytywał, czy obiad podać. Ida nie myślała o obiedzie, kazała czekać.

Powoli biegły kwadranse, jeszcze powolniej biegły godziny. Ogarniał ją coraz większy niepokój. Dziwne myśli przychodziły jej do głowy. Witold tak dziwnie dzisiaj rozmawiał W jego słowach było coś, czego pojąć nie mogła. To nie była zwykła rozmowa, jaką zazwyczaj się bawili. Słowa Witolda ukrywały coś, co w niedojrzanej głębi zostało. Czyż fala jasna i perlista nie ukrywa w głębi różnych potworów? Cóżby słowa Witolda mogły ukrywać?

— Czyż chciałby mnie porzucić? — rzekła

głośno do myśli swoich, — przecież tego nie mógłby uczynić!... Czy stanęła jaka przeszkoda w drodze do naszego połączenia się? Jakaż by to mogła być przeszkoda? Nie, to być nie może. Niepotrzebnie myślę o tem! Precz z tą myślą!

I zaczęła znowu chodzić po pustych pokojach. Hrabiny Herminji jeszcze nie było.

— Cóż się z ciocią Herminją mogło stać, że nie przychodzi? Zwykle jest punktualną, wie kiedy obiad, nie spóźnia się ani minuty. Cóż ją mogło dzisiaj tak długo zatrzymać? Nie mówiła mi o żadnych interesach ani sprawunkach?

Tu nagle zatrzymała się.

Przyszedł jej na myśl posłaniec z listem. Na cioci Herminji sprawił ten list dziwne wrażenie. Jej twarz pałała gorączką, oczy świeciły ogniem, gdy ją o ten list zapytała, odpowiedziała szorstko i gniewnie. Tak nigdy jej nie odpowiadała, tylko wtedy gdy im brakowało pieniędzy. Dzisiaj są pieniądze, skądże ten humor cioci Herminji? Cóż mogło zajść, co ją w taki humor wprawiło?

Takie myśli zaczęły ją coraz więcej nagabywać. Wyobraźnia posuwała te myśli coraz dalej ku brzegom, za któremi otwierała się jakaś przepaść bezgłębna. Nieokreślone złe przeczucia ogarnęły jej duszę. Czuła trwogę i przestrach, a nie mogła dojrzeć niebezpieczeństwa, któreby jej zagrażać mogło...

Wypiła szklankę wody. Przypomniała sobie, że w czasie żałoby często napadała ją taka trwoga i taki przestrach przejmował. Lekarze widzieli w tem nieprawidłową funkcję serca, a jako lekarstwa zalecali spokój i dobry humor.

— Zapewne,—myślała sobie,—pochodzi stąd także i ta trwoga nieokreślona. Gdy przyjdzie wesoła kapitanowa to wszystko odejdzie. Obiecała przyjść przed wieczorem.

A chodziła dalej po pokojach, wyglądała przez okno i podsłuchiwała pod drzwiami czy kroków jednej lub drugiej nie usłyszy.

Na ulicy widziała karety i dorożki, widziała ludzi przechodzących, ale cioci Herminji nie było. Na schodach słyszała także różne kroki, ale nie były to znane jej kroki ani cioci Herminji, ani kapitanowej.

Wreszcie już zmierzch zaczął zapadać. Przeszła przez cały szereg pokojów i weszła do pokoju cioci Herminji. W pokoju tym nie było nikogo, tylko dwa portrety Hohenestów, które wisiały na ścianie, patrzały na nią. Ich twarze żołnierskie zdawały się coś mówić do niej, ale ona tego nie słyszała. Uczuła tylko jeszcze większą trwogę, jeszcze większy przestrach ogarnął ją.

Chciała wyjść z pokoju, chciała uciekać od tych spojrzeń marsowych—gdy nagle jej małe pantofelki zawadziły o jakiś zwitek papieru, który leżał na dywanie. Podjęła ten zwitek i wybiegła do swego buduaru.

Tam przy oknie rozwinęła zmięty papier. Był to widocznie list, przyniesiony przez posłańca. Coś ją ciągnęło do przeczytania tego listu, który ciocia Herminja tak prędko przed nią ukryła... Nie mogła się powstrzymać. Zaczęła czytać.

Po pierwszych wierszach twarz jej poczerwieniała, a potem zbladła. Zbladła coraz więcej i stała się tak białą jak papier. Usta zaczęły sinieć, tylko w oczach zapalił się ogień złowrogi...

Nagle krzyknęła i upadła na ziemię.

Wbiegła służba—poczęto ratować omdlałą—Ida była nieprzytomną.

Zawołano lekarza—użyto możliwego ratunku—przytomność Idy nie wracała.

Pierś jej oddychała nierówno. Czasami zatrzymywał się oddech, a czasami przyśpieszał. Lekarz stwierdził chorobę serca.

Wróciła ciocia Herminja, przybiegła kapitanowa, obydwie rzuciły się z płaczem do ratunku, ale Ida była ciągle nieprzytomna.

Czasami otwierała oczy, i wymawiała słowa odrzeczne—ale nie poznawała nikogo.

Blisko sofy, na której Ida teraz spoczywała, spostrzegła kapitanowa zmięty list na ziemi, podjęła go i przeczytała. Treść tego listu nie była dla niej jasną, ale czegoś się domyśliła. Uklękła przy Idzie, podniosła jej spuszczoną rękę do swego czoła i zaczęła płakać.

Ida otworzyła oczy. W tych oczach był blask jaśniejszy, jakby przytomność jej wracała.

— On mówił, — wyszepnęła ledwie dosłyszanym głosem,—że brzydzi się czarną barwą, ale to co białe kocha i kochać nie przestanie... Czarna podłość otaczała mnie... Piłam z jej czarnego kielicha... ale moje sumienie czyste... Nie widziałam tego co czarne, bo ono kryło się przedemną!... Ale on kocha mnie i kochać nie przestanie!... Wróci za tydzień, za dwa... Tak przyrzekł... a jak go ujrzę, będę zdrowa!

Słowa jej urywały się coraz więcej i były tak ciche, że ich usłyszeć nie można było. Oczy gasły coraz więcej, martwa, złowroga bladość okrywała jej lica. Pierś podnosiła się coraz slabiej... wreszcie zdawało się wszystkim. że zasnęła.

— Cicho, niech śpi!—zawołała kapitanowa, układając jej rękę wygodniej i nakrywając ją chustką,—niech śpi... sen głęboki pokrzepi ją.

A całując ją w czoło, szepnęła jej do ucha:

— Śpij, śpij, zaklęta królewno — przyjdzie twój rycerz i obudzi cię pocałunkiem!

Cicho, na palcach wynieśli się domownicy.

Została tylko kapitanowa.

Wzięła jeszcze raz zmięty list do ręki.

— Fundusz Welficki!—rzekła niby do myśli swoich i spojrzała na śpiącą Idę.

Marmurowy spokój jej twarzy przeraził ją. Krzyknęła i upadła przy niej na kolana.

. . . .

XXXV.

Gdy nazajutrz rano Henryk do biura przyszedł, zastał radcę już siedzącego w fotelu. Przed nim leżał papier urzędowo zwinięty. Radca patrzał na ten papier, pogrążony w myślach. Miał czoło zmarszczone, a na twarzy przebijała się jakaś boleść. Nie słyszał nawet, kiedy Henryk przyszedł. Dopiero kilkakrotne pozdrowienie tegoż zbudziło go.

— Ach!—zawołał, podając mu rękę—przyszedłeś mój młody towarzyszu, ale przyszedłeś po to, aby się dowiedzieć o dwóch ciosach, które cię naraz trafiły.

Henryk spojrzał zdziwiony na radcę. Wiedział, że przebieg jego rozmowy z Ekscelencją nie wyda dobrych owoców. Na to był już przygotowany. O drugim jednak ciosie nie wiedział, ani nawet mógł się domyślić.

Radca patrzał na niego czas niejaki z współczuciem.

— Ha, cóż robić? — rzekł po chwili,—służba jest służbą.

I podał mu urzędowo zwinięty papier.

Henryk wziął papier i przebiegł go oczyma. Uśmiechnął się gorzko.

— Dymisja moja z urzędu dzisiejszego, — rzekł do radcy,—i propozycja przeniesienia się do innej gałęzi służby w prowincji nadreńskiej.

Radca nic nie odpowiedział, tylko kiwał głową i stulał ramiona. Były to zwykłe jego odpowiedzi na pewne rozporządzenia rządowe.

— Wiedziałem o tem mój przyjacielu jeszcze wczoraj przed wieczorem,—rzekł, podając Henrykowi rękę,—i bądź pewny, że cię szczerze żałuję. Bądź co bądź, karjera twoja zwichnięta, nawet mnie ofuknął wczoraj Ekscelencja, za to, żem ci wydał świadectwo jaknajlepsze.

— Bardzo mnie to boli,—odpowiedział Henryk,—że z mego powodu spotkała pana radcę nieprzyjemność, ale ja inaczej postąpić nie mogłem. Od urzędnika można wymagać to, co do jego urzędu należy, ale...

Radca przerwał mu gestem ręki.

— O tem już nie mówmy,—zawołał,—należy to do przeszłości.

Dłuższy czas trwało milczenie. Henryk patrzał zamyślony na urzędowy papier, który mu jego dymisję obwieścił, a radca chodził po pokoju, patrząc od czasu do czasu na swego byłego pomocnika. Przez lat kilka był on powiernikiem, zwierzał mu się z myślami swemi, poglądami na bieg świata, o czem nigdy z nikim nie mówił. Dzisiaj traci go, dzisiaj zostanie sam, albo Ekscelencja przyśle mu kogoś, którego będzie się musiał wystrzegać.

Ta boleść utraty powiernika owładnęła go teraz, a do niej przyłączyła się jeszcze większa, o której Henryk jeszcze nie wiedział. Pierwszy cios zniósł tenże jeszcze odważnie, ale czy zniesie cios drugi, jaki mu właśnie miał radca zadać.

Długo chodził po pokoju, aby nabrać odwagi do tego drugiego ciosu. Żal mu było Henryka, ale poczuwał się do obowiązku powiedzieć mu o tem, o czem on jeszcze nie wiedział.

Zatrzymał się przed Henrykiem i wziął go za rękę.

— Mój zacny młody przyjacielu,—rzekł do niego, — widziałem z niemałą pociechą, żeś pierwszy cios zniósł odważnie. Spodziewam się,

że z równą odwagą zniesiesz to, co ci teraz powiem.

Henryk zaparł oddech. Różne domysły przebiegały mu przez głowę. Przyszedł mu na myśl brat ranny w szpitalu... Czyż miało mu grozić więzienie? Czy zaszło co gorszego jeszcze w tej sprawie o czem on wcale nie wie?

Radca wytrzymał go długo w tej niepewności. Zdawało się, że zbierał w myśli słowa, aby go jak najmniej niemi zranić.

— Twój krewny,—ozwał się po chwili,— stracił swoją narzeczoną. Może lepiej dla niej że umarła. Epizod życia skończony. Ty jednak o swoim epizodzie młodości nie będziesz tak mógł powiedzieć!

Henryk z zadziwieniem spojrzał na radcę. Słów jego nie mógł zrozumieć.

— Nie wiem o czem pan radca mówi?—zapytał ciekawie, patrząc na smutną twarz jego.

Radca uśmiechnął się dobrodusznie.

— O, wiesz ty dobrze, — rzekł z uśmiechem,—o czem ja mówię, ale wy młodzi bawicie się w dyplomację, aby się nie przyznać do porażki. Jestto zawsze porażka bolesna.

— Jaka porażka?

— Każdy z was, rozmawiając z młodą dziewczyną która nie jest brzydka, snuje sobie różne rojenia, a jeżeli ta dziewczyna daje do pozna-

nia, że może być mu wzajemną, to zaraz wyobraźnia wasza zapala pochodnie hymenu! A co, czy nie prawda?

Hennyk patrzał ciągle na radcę.

— Być może że prawda, — odparł, nie wiedząc do czego radca zmierza.

— A widzisz że trafiłem! Pocóż to udawać niewiniątko? Są to rzeczy bardzo naturalne.

Henryk nie mógł jeszcze nic zrozumieć.

Radca zaczął chodzić po pokoju.

— Bardzo naturalnem jest, — mówił zwolna,—że młody człowiek na widok nieszpetnych oczów młodej panny uczuwa szybsze bicie serca, a jeżeli spostrzegnie że i u niej to samo się dzieje, zaczyna ją kochać, chociaż tego słowami nie wygłasza. Żona moja wiedziała o tem, że nasza „Lorelei“ wpadła ci w oko, a ty najlepiej wiesz, że się jej także bardzo podobałeś. Co dalej między wami było w to nie wchodzę. Zapewne marzyliście oboje o bliskim ślubie... a przyznam ci się, że i ja o tem marzyłem i czekałem tylko twego awansu, który by ci pozwolił zaprowadzić „Lorelei“ do własnego domu.

Ironiczny uśmiech zadrgał na ustach Henryka.

— A teraz,—mówił dalej radca,—przygotuj się na cios bolesny. Twoja dymisja popsuła

nam szyki. Żona i dzieci wymagają ustalonego bytu. Nie weźmiesz więc za złe, że nasza „Lorelei“ musiała przestać marzyć o tobie.

— Bardzo rozsądnie zrobiła,—odpowiedział Henryk, ukrywając uśmiech ironiczny.

— Wczoraj, — mówił radca z powagą, — wczoraj — przy kolacji — przyjęła oświadczyny pana registratora!

Henryk chciał wybuchnąć śmiechem, ale bolesny wyraz twarzy radcy wstrzymał go od tego.

— Najserdeczniejsze życzenia zasyłam jej,— zawołał w poważnym nastroju Henryk,—życzę jej aby była z nim szczęśliwą!

Radca patrzał z rozrzewnieniem na Henryka.

— Jesteś prawdziwym bohaterem, — rzekł do niego, podając mu rękę,—nie wiedziałem, że tak odważnie zniesiesz ten cios drugi. Są ludzie, którzy dopiero w nieszczęściu wytwarzają w sobie siłę w duszy!

W tej chwili ozwał się dzwonek elektryczny. Radca stał chwilę, jakby przestraszony. Ten dzwonek budził w nim zawsze pewną trwogę.

Pozapinał guziki munduru, poprawił halsztuk i wyszedł gdzie go dzwonek wołał.

Henryk mógł teraz swobodnie pomyśleć o tych swoich ciosach, które go naraz trafiły. Na jeden z nich był przygotowanym, drugi przyszedł niespodziewanie. Chciał się śmiać

z tego drugiego ciosu, ale jakoś nie mógł. Nie było mu nader przyjemnie usłyszeć rekuzę, o którą nie zapytywał. Wyrzucał sobie, że niepotrzebnie bywał częściej w domu radcy i rozbudził tam domysły, o których sam nigdy nie myślał. Pocieszał się tylko tem, że nikt z jego bliższych znajomych o tem się nie dowie.

Wśród tych rozmyślań wrócił radca. Miał rumieniec na twarzy i resztki włosów na łysinie pomierzwione.

— Czy wiesz zacny kolego... tak... tak, kolegą teraz jesteś,— zawołał, zamknąwszy starannie drzwi za sobą,—czy wiesz, że i ja dostałem dymisję?

— Dymisję?—zapytał Henryk. zdziwiony.

— Tak... powiedziano mi, że już służę zadługo... że jestem stary... a że emerytura za pasem... abym się podał do spoczynku!

— I cóż pan radca zrobi?

— Zrobię to, co mi kazano. Ale nie myśl zacny przyjacielu, abym bardzo płakał za temi czterema ścianami. Cieszę się nawet z tego, że raz stąd wyjdę, że te dzwonki elektryczne nie będą mnie więcej przerażały trwogą! Wyobraź sobie... ten wielki mąż... nie ujmuje sobie nikogo, ale każdego przeraża. Słuchają go z bojaźnią. Teraz dopiero odetchnę.

— Bardzo mi przykro, — rzekł Henryk,— jeżeli z mego powodu...

— Nie, nie, — przerwał radca, — na to się już dawno zanosiło. Nie umiem być takim, jakim dzisiaj być potrzeba. Siliłem się, zadawałem gwałt sobie, przez czterdzieści lat nie mówiłem prawie z ludźmi, ale widać, że to nie pomogło. Dzisiaj odetchnę i pofolguję sobie!

I gorączkowo zaczął chodzić po pokoju.

— Myślałem już nawet przed rokiem o tem,— mówił jakby do myśli swoich,—ale żona moja i rodzina była temu przeciwną. Myśleli, że dosłużę się jeszcze jakiegoś wyższego orderu. Otóż dostałem dzisiaj order! Ale to nic. Pofolguję sobie teraz. Zbliżę się do przyjaciół mojej młodości, z którymi roiłem nad uzdrowieniem ludzkości. Oni popisali grube książki, a ja w grubych aktach gniłem!... Ale ja nie gniłem! Okażę im dowody tego. Pracowałem w skrytości, kryłem się nawet przed rodziną... ale teraz wrócę do tej pracy publicznie. Wiele się w głowie nazbierało, a tego przecież pod korzec chować nie można. Zawsze może w tem być ziarnko, które padnie na dobrą glebę i wyda owoc!

I znowu chodził, a chodził teraz prędzej.

— Gdy o tem myślę, — mówił dalej, — to zdaje mi się, że jestem młodszy, że sił mi

przybywa, i że będę mógł jeszcze długo pracować nad tem, co mnie w najmłodszych moich latach najbardziej zajmowało. Zapiszę się do literackiego kółka moich byłych towarzyszy.

Henryk zbliżył się do radcy i podał mu rękę.

— Teraz kolej na mnie,—zawołał,—powiedzieć to samo panu radcy, com od niego był usłyszał. Jesteś pan prawdziwym bohaterem. Nietylko zniosłeś cios niemiły, ale odmłodniałeś po tym ciosie.

— Obaczysz,—zawołał wesoło radca,—gdy będziesz czytał o tym „bohaterze“.

— O bohaterze?

— O „bohaterze wieku“!

— Czy o „wielkim mężu“?

Radca położył palec na ustach na znak milczenia.

Rozmowa ustała. Woźny przyniósł różne papiery i depesze.

XXXVI.

We dwa tygodnie potem, mały pokoik Marty miał wiele gości. Na sofie siedział Witold z podpartą na ręce głową. Miał twarz bledszą niż zwykle, a na czole zarysowało się kilka zmarszczek. Niemała boleść przeszła po tej twarzy i zostawiła na niej widoczne ślady. Obok niego pochylony nad albumem siedział Henryk. Odwracał kartki i przypatrywał się rozmaitym krewnym, których nie znał. Przy fortepianie siedziała Marta. Na jej twarzy, smutkiem owianej, widać było pewną radość i rozpromienienie. Przy niej na niskim taborecie siedział Karol w nią wpatrzony. Twarz jego była blada, rękę jedną trzymał na temblaku, ale widać było z ożywienia, z jakiem rozmawiał z Martą, że młode siły prędko wracają.

— Więc to jest ta ciotka,—ozwał się Henryk, wskazując na kartę fotografji,—która ma wam po najdłuższym życiu swojem zapisać majątek.

Witold machnął ręką.

— Nie chcę w tej chwili myśleć o tem,—odpowiedział zapatrzony w powietrze.—Śmierć nie daje nam nigdy nic dobrego, a zabiera to, co nam było najmilsze!

— Stało się — odpowiedział Henryk — nie mówmy o tem co już nie wróci.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

— Chleb po nieboszczykach nie zawsze jest smaczny — ozwał się Witold.

— I chleb żony — zauważył Henryk.

— I z wygranych pieniędzy—dodała Marta.

Szczęście, że cię mój telegram zatrzymał nim do rulety przystąpiłeś.

— Ale za jaką cenę! — zawołał Witold i przyłożył rękę do gorącego czoła.

— Dosyć—zauważył Henryk—nie mówmy o tem co było, ale co będzie?

Nastała krótka pauza.

— Karol dobrą myśl poddaje—ozwała się Marta. Chce założyć w kraju fabrykę narzędzi rolniczych i maszyn. Jeżeli to co nam po rodzinnym majątku zostało oboje w tę fabrykę włożymy, możemy jej wróżyć dobre powodzenie.

— Myśl dobra — zawołał porywczo Henryk — ziemia nasza wysuwa się u nas z rąk naszych rolników, a utrzymać tę ziemię jest świętym obowiązkiem. Przez marnotrawstwo i i nieoględne gospodarstwo pozbywamy się tej ziemi!

— A dostarczyć tej ziemi dobrych narzędzi, i ułatwić rolnikom nabywanie ich, jest nawet zacną myślą.

— A chleb wydobyty z ojczystej ziemi jest najzdrowszy—uzupełnił Karol z entuzjazmem, jemu właściwym.

— A co będzie z owemi nowemi prądami ludzkości?—zapytał Witold, patrząc na Karola.

— Zostawić je tym narodom, które ludzkości przodują — odpowiedziała z uśmiechem

Marta i czekać spokojnie aż one same do nas przyjdą. Importowany towar i importowane idee są dla nas za drogie.

Witold wstał, podszedł do Marty i Karola.

— A więc dobrze—założymy fabrykę maszyn i narzędzi rolniczych w kraju!

I obojgu podał ręce.

Uściskali się serdecznie.

— A ty?—zapytał zwrócony do Henryka.

— Ja — odpowiedział Henryk smutno — ja pójdę za chlebem... nad Ren. Do czasu muszę i na taki przystać, bo innego nie mam.

Teraz weszła stara piastunka Marty i zaczęła nakrywać stoł do wspólnej wieczerzy.

Twarz jej była uśmiechnięta. Oczy miała ciągle zwrócone na Martę i Karola.

— Jaka to piękna para będzie! — myślała sobie w duchu — któżby się był spodziewał, że ten mały chłopczyna, który dla małej Marci kwiatki zbierał!...

Patrzała tak z rozrzewnieniem na Witolda i Henryka, a prosiła Boga, aby przy swoich wychowankach do śmierci pozostać mogła.

XXXVII.

W tym samym pociągu, w którym niedawno jechał Witold, aby na ostatnią kartę swego

szczęścia wszystko co miał postawić — jechał także młody robotnik z twarzą nieporosłą, którego szare oczy marzyły także o tem, co mu ostatnia karta jego przynieść może.

Był to młody Fryc, ów marzyciel o różnych rozgłośnych sławach, któreby na niego uwagę świata zwrócić mogły. Z tych chorobliwych marzeń jego nic mu dzisiaj nie zostało. Nie mógł zostać ani artystą, ani aktorem sławnym, ani wieży nie dano mu pokrywać, na którejby go ludzie podziwiać mogli.

Przez cały tydzień pracował od świtu do nocy. Po raz pierwszy pracował z pewną ochotą i z pewną roskoszą nawet, bo pracował na to, aby za uzyskaną zapłatę powzięty zamiar mógł wykonać.

Dzisiaj ma już środki do tego i jest w drodze do celu. Szczęście rozpiera mu pierś, a tęczowe marzenia biegną przed nim jak złociste motyle.

On będzie sławnym, cały świat dowie się o nim. Powiedziano mu, że może zginąć, ale zginie za ideę odrodzenia się ludzkości. Świat jest zły i zmurszały, tuczą się na nim tylko pasożyty, mieszczaństwo w kamiennych pałacach swoich wzięło górę, i uciemięża lud pracujący! On będzie mścicielem tych pracujących, a imię jego odtąd zasłynie na chorągwiach tych, których dotąd karmiono czarnym chlebem!

Szare oczy Fryca migotały przy tych marzeniach jak dwie złowrogie iskry, które wiekową budowę społeczeństwa podpalić miały. Wyobrażał sobie jak roskosznie będzie wyglądał taki widok ponury. Nieraz, dzieckiem będąc, patrzał z roskoszą na pożary wielkich budynków. A cóż dopiero pożar całego społeczeństwa?

Powiedziano mu, że cała armja robotników ma wystąpić do walki przeciw tym, którzy dotąd ich ciemiężyli. Rozrzucone posterunki tej armji mają pojedyńczo bój poczynać, aby zająć obszar jak największy. Jak rozrzucone ziarnka prochu pojedyńczo się zapalają, tak mają te posterunki rozpoczynać bój, a jeśli upadną, inne mają na ich miejscu powstawać!

— Jakiż to widok będzie tej grozy, gdy ziemia zadrży w swoich posadach, gdy skamieniałości wiekowe pryskać będą i rozsypywać się w proch marny.

Ta roskosz Nerońska, ten ogrom zniszczenia świata, wydała mu się najsłodszą muzyką w jego duszy zdziczałej!

Przez wązkie okno patrzał teraz na okolice, przez które pędził pociąg. Litość go brała na widok ludzi pracujących w polu przy pługu, lub kopiących rowy. Widział w nich niewolników, którzy karki swoje podali pod jarzmo

za marny pieniądz. Z wyżyn jego idei odrodzenia przez śmierć ludzkości, jakże nędznym był dla niego widok drobnej zapobiegliwej pracy ludzkiej! Tam robotnicy w pocie czoła składają mały domek. Jedni ciosają drzewo, drudzy dłubią dziury, aby to drzewo związać.

— Do czegóż ta praca prowadzi — myślał Fryc — chyba do tego, aby człowiek sam na siebie zrobił więzienie jak ślimak skorupę, i aby w niem o głodzie i chłodzie się zamknął, podczas gdy inni okazałe pałace budują.

Pociąg przejeżdżał przez jakieś miasto. Okazałe domy i pałace migały mu przed oczyma.

— W tych murach, wzniesionych ręką robotników siedzi pasożytne mieszczaństwo i nic nie robi. Używa owoców z naszej pracy, a nami pogardza.

Pociąg przesuwał się teraz przez parki i ogrody.

Roskoszne ogrody urządzili sobie — myślał dalej Fryc — a to wszystko ręką robotnika. Tu używają chłodu gdy, im słońce dopieka, podczas gdy robotnik nie ma kąta w którymby spokojnie do snu mógł się ułożyć.

Teraz mijały się pociągi. Jeden z nich długi jak ów mityczny wąż morski, suwał się od północy. Miał grzbiet czarny, który w słońcu połyskiwał się jak djamenty. To ładunek kamiennych węgli, wydobytych z kopalni północnych.

Fryc patrzał długo na ten pociąg zanim się skończył.

— Ileż to rąk naszych łupało ten czarny kamień w głębi ziemi—pomyślał sobie w duchu, ileż to trudu i potu kosztowało, aby ten czarny kamień wydobyć na światło dzienne! Ile życia idzie na marne, gdy się powietrze w tych czarnych norach zapali! Ileż sierot i wdów zostaje po zabitych pracownikach w nędzy i rozpaczy... a bogaty mieszczanin nic o tem nie wie. Czarny kamień ogrzewa mu powietrze, którem roskosznie oddycha i gotuje mu smaczne potrawy! Czyż on przy tem pomyśli, ile znoju i potu wsiąkło w każdą tę czarną bryłę, ile życia przy tem poszło na marne!...

Takie myśli roiły się po głowie Fryca. Nie był to wyrok jego własnej duszy, tylko jakieś echa z rozmów na zebraniach w gospodzie suterynowej, lub przeczytanych przy świecy łojowej dziennikach, sprawie tej poświęconych.

Luźne słowa z tych wspomnień wiązały się w jego głowie w dziwny łańcuch myśli. Podniecona wyobraźnia chwytała te myśli, nadając im jakąś dziko-romantyczną plastykę.

Była to romantyczność złego.

Wreszcie zatrzymał się pociąg, dobiegłszy do kresu.

Była to stolica naddunajska, rodzinna ziemia Fryca.

Tu ujrzał świat, tu przybył teraz, aby rachunek z nim zrobić.

Wysiadł z wagonu i podążył prosto ulicą, która się przed nim otwierała.

Długo szedł tą ulicą, głodny był i spragniony, ale nie wstąpił nigdzie aby się posilić. Wszedł na drugą ulicę i trzecią, choć głód i pragnienie dokuczały mu coraz więcej. Nie myślał o ciele swojem, ale o wielkiem dziele odrodzenia ludzkości przez zagładę.

Dziwił się tylko, że ludzie nie patrzą na niego. Przecież on niesie w swojej głowie wielką ideę, przecież on ma zostać wielkim bohaterem i otrzymać miejsce w kalendarzu walczących o chleb braci swoich! Czyż ludzie są tak ślepi, że go nie widzą? Przechodzą koło niego jak koło zwyczajnego człowieka, a przecież ten człowiek wkrótce stanie się głośny na całą stolicę.

Zadługo było mu czekać na tę sławę. Zatrzymał się na placu obszernym, na którym roiło się od przechodniów. Powozy, karety i dorożki ciągnęły się długim szeregiem. Nadjeżdżały i znikały jak cienie w niknących

obrazach. Tam po drugiej stronie placu nadciąga kolumna wojska z muzyką na czele. A ponad dachy i kominy sterczą dwie rzeźbione jak koronki wieżyce nowej świątyni.

Przepyszny widok! Cudownie piękne tło, na którem może się dać poznać całej stolicy.

Zatrzymał się przy latarni, jakby kogoś oczekiwał. Twarz jego o płowej barwie zaczęła się ożywiać. Szare oczy zapalały się coraz więcej. Na grubych ustach igrał uśmiech nieokreślonej roskoszy, jakiej oczekiwał...

Nadszedł ku niemu staruszek o rumianej uśmiechniętej twarzy. Dobroduszność patrzała mu z oczów, łagodnie spojrzał na Fryca, który szybko postąpił ku niemu.

— Jestem głodny! — zawołał Fryc butnie.

Staruszek uśmiechnięty zatrzymał się.

— Co mówisz mój, przyjacielu? — zapytał przyłożywszy rękę do ucha.

— Jestem głodny! — krzyknął Fryc.

— Młody jesteś, — rzekł łagodnie staruszek,—możesz przecie na chleb zarobić. Dam ci zarobek—jak się nazywasz?

— Nazywam się „głód“, a walczę o „chleb“!

Fryc spojrzał teraz wokoło. Wielu ludzi patrzało na niego. Wyprostował się, dobył z kieszeni rewolwer i strzelił.

Staruszek zachwiał się i padł na ziemię.

— Nazywam się „głód“ i walczę o „chleb“! — zawołał Fryc jeszcze raz głośno do wszystkich, którzy go teraz otoczyli.

Twarz jego była rozpromieniona, oczy błyszczały szczęściem, liczny tłum cisnął się teraz do niego—tysiące oczu były ku niemu zwrócone...

Poczuł żylastą rękę na swojem ramieniu. Była to ręka robotnika.

— Złoczyńco, coś zrobił?—zapytał robotnik.

Fryc spojrzał na niego z politowaniem, jak wielki prorok patrzy na tych, którzy go nie rozumieją. Chciał mu coś odpowiedzieć, ale go słowa nie stało czasu. Dziesięć rąk chwyciło na.

Stał na miejscu, nie uciekał i nie opierał się.

Nadeszła straż i uwolniła go z pomiędzy tłumu.

Teraz pod opieką straży szedł, gdzie mu iść kazano.

Stąpał z dumą, jak bohater i patrzał z dumą na tysiące widzów. Na jego rozpromienionej twarzy malowało się najwyższe szczęście — tryumf zdziczałego umysłu.

. . . .

. . . .

W sądzie stawiał się hardo. Patetycznie odpowiadał na zapytania. Dziwną była jego wymowa. Bardzo mały miał zasób nauki, niewiele

inteligencji, wychowanie zaniedbane. Mowa jednak jego miała jakiś polot niezwykły, zaledwie znane mu słowa umiał wiązać w jakiś szyk polemiczny przeciw społeczeństwu i jego ustawom. Były tam pewne błyski, niby proroka, niby obłąkańca. Zbrodnię popełnioną oświetlał pewnem światłem romantycznem i był pewny, że sława o nim zabrzmi po całym świecie.

Zasmucił się tylko na chwilę, gdy po wyroku wprowadzono go na rusztowanie.

Spodziewał się licznych tłumów, ułożył sobie przemowę do nich, roskoszował się już naprzód, jaki to będzie wspaniały widok i śmierć jego zapali tysiące!...

Tymczasem tego wszystkiego nie było. Rusztowanie stało w podwórzu więziennem. Oprócz straży, delegata trybunału, kilkunastu potrzebnych świadków, nie było innych widzów.

Smutek jego trwał jednak krótko.

— To nic — zawołał z uśmiechem — świat cały dowie się o mnie z dzienników!

Z odwagą, z uśmiechem na ustach, a dumą na czole, wszedł na rusztowanie.

. . . .

Delegat trybunału patrzał z uwagą na delikwenta.

— To najniebezpieczniejszy rodzaj złoczyńcy—rzekł do towarzysza—*romantyk zbrodniarz!*

XXXVIII.

Radca Abelarius, jak był zapowiedział, rzeczywiście odmłodniał. Wprawdzie było zrazu zmartwienie w rodzinie, że nie dostał żadnego wyższego orderu. Ale w końcu pogodzono się z losem.

Radca był teraz rozmowny w kółku rodzinnem, nic go nie krępowało, na nic się nie oglądał. Stanął u kresu życia, niczego się więcej nie spodziewał. Wyszedłszy z atmosfery koszarowej, mógł wrócić do swoich rozmyślań naukowych, z czem się dotąd ukrywał. Zapisał się nawet do kółka pogadanek naukowych, jakie tworzyli dawni jego koledzy i młodzi uczniowie Minerwy.

Osobliwą jego roskoszą było teraz siedzieć przez cały dzień w szlafroku przy biurze, na którem leżały stosy książek i manuskryptów. Teraz mógł się już przyznać do ojcowstwa tych dzieci utajonych, do których należały także wycinki z pism, podpisane pseudonimem. Z lubością układał je teraz w podłużne fascykuły i wiązał grubym szpagatem. Do szczęścia jego należało jeszcze i to, że pan registrator, przyszły zięć jego, otrzymał awans niepośledni. Cieszył się, że urocza „Lorelei“ tak łatwo przywiązała się do nowego ulubieńca, chociaż na wspomnienie

Henryka wzdychał za swoim „młodym przyjacielem“. Trapiła go tylko czasem myśl czy i on tak łatwo wyleczy się z ciosu, jaki go u niego spotkał.

Na pogadanki naukowe uczęszczał regularnie. Brał w nich gorący udział, spierał się o to lub o owo, korzystając z doświadczeń swego życia i urzędu. A gdy mówiono raz o bohaterach różnych wieków, zapowiedział w sposób uroczysty, że na najbliższem posiedzeniu będzie miał odczyt o „bohaterze“ z końca dzisiejszego wieku, który jeszcze potężniejszy, przejdzie na wiek następny.

Wszyscy myśleli, że będzie mówił o wielkim kanclerzu nowego państwa.

Niektórzy emeryci przyjęli tę zapowiedź z entuzjazmem. Przyłączyło się do nich kilku profesorów i dziennikarzy, mały tylko zastęp pozostał na tę zapowiedź obojętnym.

Odtąd siedział radca po całych dniach przy swojem biurku. Dzienniki stołeczne rozgłosiły tę zapowiedź. Rodzina radcy, dowiedziawszy się o tem, miała nadzieję, że przynajmniej teraz po takim odczycie spadnie na ojca rodziny jakieś odznaczenie niepospolite.

Radca Abelarius milczał i na różne zapytania nic nie odpowiadał. Przyjaciele wielkiego kanclerza przychodzili nawet do niego, ofiarując

mu różne szczegóły z życia wielkiego męża wieku. Radca milczał, dziękował, ale na zapytania ich odpowiadał wymijająco.

Wreszcie nadszedł dzień upragniony.

W lokalu przyjaciół pogadanek naukowych zgromadzili się wszyscy członkowie kółka. Stół, przy którym dzisiejszy prelegent miał zasiąść, był oświecony dwoma trzyramiennemi kandelabrami. Na ścianach salki wisiały okrągłe lampy, oświecając jej przestrzeń o tyle tylko, aby prelegenta nie przyćmić.

Wreszcie zjawił się prelegent. Na stole złożył po jednej stronie dosyć okazały manuskrypt, związany przez pomysłową „Lorelei“ wstążką czerwoną. Po drugiej stronie położył jakiś pakiet niedbale bibułą owinięty.

Pakiet ten mniej więcej okrągłego kształtu wzbudził ciekawość słuchaczy. Gubiono się w domysłach coby on zawierał, i jaki mógłby być z niego użytek przy odczycie. Zgodzono się jednak w końcu na to, że szanowny prelegent, wychodząc na odczyt, zrobił po drodze jakiś sprawunek dla rodziny

Radca Abelarius siadł z powagą przy stole. Podłużna twarz jego o siwych włosach, o gorączkowym rumieńcu od wzruszenia, odbijała poważnie od ciemnej ściany za jego plecami. Z tej ściany wychylały się w półcieniu białe

biusta dwóch ostatnich cesarzy, a pod nimi nieco niżej spoglądała na widzów marsowa twarz wielkiego kanclerza.

Radca Abelarius wyjął czerwony fular, rozłożył manuskrypt i zaczął:

— Każdy wiek miał swoich bohaterów, którzy ludzkość wprowadzili na nowe tory. W dawnych wiekach była to najczęściej pewna wielka jednostka, w której skupiało się to, czem społeczność jego na przyszłość żyć miała przez czas niejaki. Jednostki te sprawiały w dziejach pewien ruch potrzebny, za którym szła rzesza. Nie będę wyliczał tych jednostek dziejowych, bo je wszyscy znacie. Przejdę tylko do owych zbiorowych ruchów ludzkości, o których trudno powiedzieć, kto i jak ten ruch wywołał. Wprawdzie sili się historja, aby tej lub owej jednostce ten ruch przypisać, ale pozostanie to zawsze tylko domysłem historji, jakim jest hypoteza w nauce.

Radca odkrząknął. Zdziwienie malowało się na twarzach słuchaczy. Nic dotąd nie usłyszeli z tego czego się spodziewali. Radca mówił dalej:

— Jeżeli na czele pewnego ruchu ludzkości nie widać jakiego wybitnego osobnika, to wtedy jako bohater występuje zbiorowa idea ludzkości. Taki objaw mieliśmy właśnie przy końcu zesz-

łego stulecia, taki objaw przedstawia się nam teraz przy końcu naszego wieku...

...Wielka rewolucja przy końcu zeszłego stulecia miała wielką chorągiew z napisem: Prawa człowieka! Jeden z pierwszych paragrafów nowego jej kodeksu był:

„Wolność jednego człowieka kończy się tam, gdzie się zaczyna wolność drugiego“.

...Za te „prawa człowieka“ wylano wiele krwi, ale mimo to nie określono tych praw, bo one były jeszcze mgliste i nieuchwytne. Co do paragrafu nowego kodeksu „gdzie się zaczyna a gdzie się kończy wolność człowieka“ powstała nowa walka o ten mur graniczny, który miał jednego od drugich oddzielać...

...Wielki ten ruch społeczny wyrzucił wprawdzie na wierzch kilka wybitnych jednostek, ale to nie byli ci, którzy tym ruchem kierowali Jak odmęty wody wyrywają ciężkie głazy i nimi zaporę rozbijają, tak samo i ruch ludzkości posługuje się przygodnymi osobnikami w drodze do swoich celów. Może usłużna historja te i owe nazwiska wyryć na marmurze, ale głębszy myśliciel mniema, że tym nazwiskom nie dostałby się wieniec laurowy, gdyby wewnętrzny ruch ludzkości nie był je na wierzch wyrzucił.

Radca Abelarius spoczął tutaj chwilę. Nie-

znaczny szmer dał się słyszeć między słuchaczami. Wszyscy mniemali, że usłyszą o wielkim mężu wieku. Ciemne aluzje prelegenta obiecywały coś przeciwnego.

Po chwili mówił radca dalej:

— Nowożytny badacz musi na każdej zwrotnicy dziejowej pilnie śledzić ów ruch, który się w społeczeństwie objawia zbiorowo. To nowa rodzi się idea. Zależy więc od tego, czy ta idea ma się rozwinąć spokojnie, czy ma sprawić zaburzenia w organizmie społecznym...

...Każda nowa idea nie znajduje w społeczeństwie gościnnego przyjęcia. Już w pierwszym pochodzie musi ona tu i owdzie porozrywać niektóre włókna tkaniny wiekowej, a czem właśnie nie zaleca się społeczeństwu. Powstaje opór, wznoszą się tamy, które tylko jej siły potęgują. Napiera ona wtedy brutalnie na te tamy, najczęściej rozrywa je i sprawia wokoło spustoszenie!..

Nastąpiła znowu pauza. Słuchacze z rosnącą ciekawością słuchali dalej.

...Otóż należy dobrze przypatrzeć się każdemu powstającemu ruchowi społeczeństwa, a, zbadawszy jego konieczność, nie budować tam i nie stawiać przeszkód, ale ująć go w spokojne a bezpieczne koryto!...

...Jesteśmy właśnie świadkami poczynającego

się ruchu społecznego, który tak samo, jak ów ruch przed stu laty grozi przewrotem społecznym. Co z tego przewrotu wyniknąć może, nie wiemy, ale wiemy, że się przygotowuje i postępuje. Policyjne środki bezpieczeństwa nietylko tu nic nie pomogą ale owszem zarzewie społeczne rozdmuchają.

...W tem zarzewiu rodzi się dzisiaj nowy zbiorowy bohater wieku, który przejdzie na wiek następny. A wiecie wy jak się ten bohater nazywa?

Prelegent rozwinął tutaj ów pakiet tajemniczy.

Widzowie obaczyli bochenek czarnego chleba.

..Oto nowy bohater nowego wieku... a imię jego jest — *chleb!* — zawołał podniesionym głosem radca.

Dziwny szmer dał się słyszeć w zgromadzeniu.

...„Chleb“! — powtórzył radca — i cóż to jest ten „chleb“? „Chleb“ znaczy wiele. U jednych „chleb“ to pozycja świetna, to zbytek życia, dostatki, pensje i ordery!... Służą dla chleba, żenią się dla chleba, dla tego chleba z bakaljami!... Mówię o innym chlebie — o czarnym!

Po chwili mówił dalej:

...Ten nowy bohater zaczyna walczyć o

swoje prawa. Jest on czarny; z ościami i plewą zmieszany, a występuje do walki z tym, który jest biały i bakaljami osłodzony...

...Walka jego zaczyna się brutalnie jak każdy początek odwiecznych walk społecznych.

...Prawa jego, również jak owe „prawa człowieka“ w zeszłowiekowej walce, są mgliste i nieuchwytne. Zaciekła walka może granicę tych praw posunąć tam, gdzie niema już granicy drugiego chleba, ale — zagłada wszystkiego...

...Idea socjalizmu, jaką jest ruch dzisiejszy, przechodzi w anarchię, jeżeli pierwszemu odmówimy praw wszelkich. Nowy bohater wieku może się stać romantycznym rozbójnikiem!...

Szmer między słuchaczami zaczął się wzmagać.

...Nie wypływa stąd, aby tak zwany socjalizm miał koniecznie przejść w anarchię. W zasadzie bowiem anarchizm jest negacją socjalizmu i nie ma z nim nic wspólnego. Może być tylko jego degeneracją, jeżeli ten nowy prąd ludzkości napotka na swojem łożysku zapory i niestosowne przeszkody...

...Cóż więc robić z tym nowym bohaterem, który się narzuca wiekowi, a z taką grozą dzisiaj nam w oczy zagląda?

...Oto obowiązkiem państwa jest przyjąć tego nowego bohatera jako koniecznego gościa, i po-

sadzić go gościnnie przy stole obok innych dawniejszych biesiadników.

...Nie bronić mu sięgać łyżką do wspólnej misy, ale określić ściśle granice tej gościnności i praw jego, aby w uroszczeniach swoich nie sięgał tam, gdzie się zaczyna zagłada całego społeczeństwa...

...Tych granic powinno państwo przestrzegać z odwagą dawnych konsulów rzymskich.

...I w dawnym Rzymie wołała rzesza: „*Panem et circenses*“ a schlebianie tym rzeszom przez Cezarów sprowadzilo upadek państwa!

...Prawa chleba są dzisiaj niewyraźne i nieuchwytne. W jednym kierunku wytwarza się stąd utopia, w drugim zwyrodnienie samej idei w hasła anarchizmu.

...Obowiązkiem państwa jest opanować ten ruch chlebowy i ująć go w swoje ręce.

...Ruchu tego nie można lekceważyć, który, pozostawiony sam sobie, stanie się pożarem.

...Pojedyńcze luźne hasła tego ruchu mogą w zdziczałych umysłach wywołać rządzę pewnej nieokreślonej zemsty, niby za krzywdy wiekowe. A czem się ta zemsta objawia, widzimy dzisiaj ze zgrozą.

.. *Caveant consules ne respublica aliquid detrimenti capiat!*

Radca Abelarius wziął teraz chléb do ręki i zawołał z powagą:

— Witam cię nowy przybyszu, który będziesz bohaterem walczącym nowego wieku. Pamiętaj, aby broń twoja była rycerska, a przyłbica zawsze podniesiona jak na szlachetnego rycerza przystoi. Będziesz rycerzem biednych, w pocie czoła pracujących, ale strzeż się być rozbójnikiem!

Rzekłszy to, zwrócił się szanowny prelegent do ściany, przy której stały biusta dzisiejszych bohaterów państwa, i obok nich położył *chleb*.

Zgromadzeni nagrodzili go oklaskiem, ale nie wszyscy. Na temat przez niego wniesiony, rozpoczęła się dłuższa pogadanka.

Na drugi dzień rozeszła się po dziennikach wieść o tem oryginalnem pasowaniu „chleba“ na rycerza wieku. Niektóre pisma z humorem odezwały się o tym starodawnym obrzędzie pasowania na rycerza, inne nawiązały na ten temat pewne niezbyt jasne konsyderacje.

Rodzina radcy była w rozpaczy, gdy się o tem dowiedziała. Szczególny pomysł ojca rodziny nie tylko, że udaremniał nadzieje orderowe, ale wzbudził trwogę.

Sam radca Abelarius żałował, że tak śmiało

myśli swoje wypowiedział, a żal jego przemienił się w przestrach niemały, gdy około południa ujrzał wchodzącego do siebie niezwykłego gościa.

Był to wyższy wojskowy, który w krótkich słowach przyniósł mu rozkaz, aby natychmiast się ubrał, wziął wczorajszy manuskrypt ze sobą i z nim poszedł.

Radca zdumiał i nie wiedział co to ma znaczyć. Jak automat ubrał się w mundur, manuskrypt włożył w zanadrze i chwiejnym krokiem wyszedł ze swym towarzyszem.

Towarzysz nic przez drogę nie mówił. Radca nie chciał nic mówić, bo się obawiał odpowiedzi złowrogiej. Wolał niepewność, bo ta nie odbierała mu jeszcze lepszej nadziei.

Szli niedługo. Towarzysz zatrzymał się przy powozie, który zdawał się czekać na nich. Zaprosił radcę aby usiadł, a sam zajął miejsce koło niego.

Wjechali w ulicę wspaniałą, drzewami wysadzaną.

Za mostem zatrzymał się powóz. Wysiedli obaj i zwrócili się ku bramie, nad którą widać było kamienne godło państwa.

Przy bramie salutowała ich straż wojskowa.

. . . .

Za dwie godziny wychodził radca Abelarius

z tej bramy cały czerwony na twarzy. Na ustach jego uśmiechniętych malowało się wielkie zadowolenie, a z twarzy promieniejącej ginęły szybko ślady minionej trwogi...

. . . .

Za kilka dni Wielki Kanclerz Państwa ustąpił ze swego urzędu

Radca Abelarius został Hofratem ad honores.

. . . .

We dwa lata potem zażądał parlament rachunków z tak zwanego „Funduszu Welfickiego“.

Użycie jego procentów na tajemne cele polityczne, bez kontroli państwa, zostało zaniechane.

KONIEC.

Zakopane.
Styczeń — Luty
1894.